

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 10/457

1985



• *« La Culture » • Revue mensuelle •*

- J. SZRETT: **PROGRAM OŚWIECENIA NARODOWEGO**
- J. KRAKOWSKI: **CZY PRL POWINNA ZOSTAĆ
CZŁONKIEM MFW?**
- R. KOSTRZEWA - R.N. PERLE: **O NOWEJ POLITYCE
WOJSKOWEJ USA**
- D. MORAWSKI: **KRYZYS PONTYFIKATU
CZY HISTORYCZNEJ KONCEPCJI?**

SPIS RZECZY

Józef Szrett:	<i>Program Oświecenia Narodowego</i>	3
Gustaw Herling-Grudziński:	<i>Dziennik pisany nocą</i>	16
Jędrzej Krakowski:	<i>Czy PRL powinna zostać członkiem MFW?</i>	31
Marek Artur Abramowicz:	<i>O hejnale, sygnałe, tradycji i nowo czesności</i>	47

WIERSZE

Jacek Bierezin:	<i>Nowy Jork, trzynasty miesiąc roku, godzina dwudziesta piąta</i>	52
-----------------	--	----

ARCHIWUM POLITYCZNE

Robert Kostrzewa — Richard N. Perle:	<i>O nowej polityce wojskowej USA</i>	55
Andrzej Koraszewski:	<i>Nowa faza rozwoju państwa dobrobytu</i>	64
Dominik Morawski:	<i>Korespondencja z Rzymu</i>	70

K R A J

Krzysztof Turowski:	<i>Powrót do starych dylematów</i>	77
L.:	<i>Kształtowanie atmosfery apatii</i>	83
—	<i>Msza św. z Ojcem Świętym w Castel Gandolfo i Homilia wygłoszona w kaplicy MB Częstochowskiej w Rzymie</i>	87

SĄSIEDZI

Józef Łobodowski:	<i>Trzeci numer „Widnowy”</i>	89
Adam Kruczek:	<i>W sowieckiej prasie</i>	95
Andrzej J. Chilecki:	<i>Kronika niemiecka</i>	100

KRONIKA KULTURALNA

Krzysztof Rutkowski:	<i>Miron Białoszewski: powierzchnia i istota</i>	104
J.K.:	<i>O Tadeuszu Łonnickim</i>	115
—	<i>Przypomnienie księgarni Trzaski, Ewer- ta i Michalskiego w Warszawie</i>	118
—	<i>Nagrody imienia Janiny Ławruk</i>	119
—	<i>Nowa Fundacja</i>	120

KSIĄŻKI

Renata Gorczyńska:	<i>Czas utrwalony</i>	121
Stanisław Barańczak:	<i>Próba angielszczyzny</i>	127
M. Broński:	<i>Pamięć zbrodni i wyobrażenia</i>	131
Michał Heller:	<i>„Dwie rozmowy” Alaina Besançon</i>	133
Jan Ciechanowski:	<i>Wojsko od podszewki</i>	136
B.H.:	<i>Ukraiński Ośrodek Wydawniczy</i>	138
—	<i>Nadebrane nowości wydawnicze</i>	139



—	<i>Wydarzenia miesiąca i kroniki amerykańska, francuska i rzymska</i>	141
---	---	-----

LISTY DO REDAKCJI

Ryszard Krynicki:	<i>List do Redakcji</i>	149
—	<i>Odpowiedzi Redakcji</i>	149

DOKUMENTY

Richard von Weizsäcker:	<i>Nie może być pojednania bez pamięci o przeszłości</i>	151
-------------------------	--	-----

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Październik - Octobre 1985

INSTYTUT



LITERACKI

ZAWIADAMIAMY ŻE OD GODZ. 23-ej 25 PAŹDZIERNIKA BR. NASZ
TELEFON BĘDZIE ZMIENIONY NA 39 62 19 04: TELEFONUJĄC
Z ZAGRANICZY TRZEBA NAKRĘCIĆ 33 (FRANCJA) I (PARYŻ I
OKOLICA) ORAZ 39 62 19 04.

WPLATY NA FUNDUSZ « KULTURY »

Andrzej Brzeski, Davis, CA (USA) — zamiast kwiatów na grób Zygmunta Hertza w 6-tą rocznicę jego śmierci 5 października 1979 roku — \$ 100,00	F. 880,00
Bewa i Robert Żywny, Londyn — £ 10,00	F. 117,00
Irena Fedorowicz, Etobicoke, Ont. (Kanada)	F. 180,00
Bolesław T. Łaszewski, New York, po raz 18-ty — \$ 50,00 ..	F. 440,00
Danuta M. Podkomorska, Winnipeg, Man. (Kanada), po raz 10-ty — \$ 100,00	F. 880,00
Zygmunt Sowa, Indian River, MI, po raz 18-ty — \$ 48,00 ..	F. 422,40
A. A. Swiderski, Ottawa (Kanada), po raz 5-ty — \$ c. 20,00	F. 126,00
Anonimowo z Paryża, po raz 21-szy	F. 200,00

DZIĘKUJEMY!

WPLATY NA NSZZ „SOLIDARNOŚĆ”

A.A. — \$ 10,00; B.B. — \$ 25,00; C.C. — \$ 20,00; M. P. Nasalscy — \$ 5,00 — razem: \$ 60,00	F. 528,00
Tadeusz Gmitruk, Albuquerque, N.M. (USA) — \$ 8,00	F. 70,40
Grupa Przyjaciół „Solidarności” (Friends of Solidarity), Kitchener, Ont. (Kanada) — na pomoc tym, którzy walczą o wolną Polskę i ich rodzinom (nadesłała Teresa Gromek) — \$ c. 500,00	F. 3.150,00
Na apel „Konfederacji 76”, Oddział Boston (USA) na rzecz „Solidarności” podziemnej złożyli: W. Ostrowski i b. internowani Z. Padzik i W. Szypszak po \$ 10,00 (razem \$ 30,00); uczeń z Polski i b. internowani: S. Borucki, T. Daniszewski, J. Januszewski, A. Kruczyński, W. Wierzbowski, T. Wojdakowski, W. Micherda, C. Rybak, oraz M. Stankiewicz, W.G., P. Janik, Z. Łabejsza i Z. Wallek po \$ 5,00 (razem \$ 70,00) — razem: \$ 100,00	F. 880,00
W Redakcji „Listów do Polaków” złożyli: G. Kliszewska na pomoc rodzinom więzionych członków „Solidarności” — \$ 20,00	F. 176,00
oraz na Ruch oporu: T. Bibik — \$ 14,00; M. Orłowski, T. Tarasiuk i A. Nowicki po \$ 10,00 — razem: \$ 44,00	F. 387,20
Wacław Sułek, South Hadley, Mass. (USA) — na potrzeby „Solidarności Walczącej we Wrocławiu — \$ 100,00	F. 880,00
Nela Stanik, Izrael, w drugą rocznicę śmierci Joanny — zamiast kwiatów na „Solidarność” — KrS 300,00	F. 315,00

(Dalszy ciąg Wpłat na str. 159)

Program Oświecenia Narodowego

Hugo Kołłątaj pisał przed niemal dwustu laty: „Jakim sposobem stać się mogło, że jedne ludy znajdują się dziś w stanie wygórowanego światła, gdy inne pogrążone zostają w głupstwie, dzikości, okrucieństwie?”. Ten inteligentny przedstawiciel Oświecenia zbliżał się w swych poglądach do mającej znacznie później powstać dialektyki marksistowskiej, nieobciążony jednak doktrynerstwem, rozsądne wyprowadzał wnioski: „Byt każdego człowieka zależy od sposobów zaspokojenia jego potrzeb. W miarę ile im dogodzić zdoła, tworzy się jego charakter moralny, a że zadośćuczynienie własnym potrzebom zależy od posiadania i używania rzeczy, które go otaczają: ich niedostatek sprawuje rzetelną nędzę, za którą idzie upadek na umyśle, przytępienie dowcipu, wstręt do społecznego życia, choroby, kalectwo, śmierć nawet sama”.

Wydaje się, że wszelkie społeczne niedostatki w ustrojach komunistycznych — zarówno ekonomiczne jak i duchowe — są nie tylko wynikiem ich niezdarności, ich nieuleczalnego doktrynerstwa, ale — proszę wybaczyć diaboliczną nieco hipotezę — włączone są w program. Utrzymywanie społeczeństw na pograniczu nędzy, kiedy to sprawnej funkcjonuje zasada bata i marchewki, a przede wszystkim utrzymywanie na pograniczu intelektualnego imbecylstwa, to wcale nie przypadkowa konsekwencja złego zrozumienia natury ludzkiej i starań, by ją podporządkować „jedynie słusznej naukowej metodzie”, ale narzędzie ułatwiające ucisk.

Takiemu programowi niwelacyjnemu społeczeństwo — o ile nie chce postradać, wyrzec się swego dotychczasowego „oświe-

cenia” — musi przeciwdziałać. Społeczeństwo polskie ma w tym zakresie wyjątkowo już bogate doświadczenia zarówno z I jak i z II fazy zaborów (czyli z lat 1795-1918 i od 1939). Jak do tychczas, umiało się ono skutecznie przeciwstawiać dążeniom niwelacyjnym, zarówno w mrocznych latach po powstaniu styczniowym, jak też w stokroć mroczniejszych latach stalinizmu schyłkowego. Dlaczego wymienić wypada te dwa zwłaszcza okresy? Przecież poprzednio były czasem straszniejsze — skąpane we krwi, jak np. koszmar okupacji hitlerowskiej? Tak, ale w tamtych okresach szczególnie brutalnych działań antypolskich istniała nadzieja i moc przeciwstawiania się opresji. To dopiero po tych krwawych rozprawach następowały chwile społecznej zapaści, czyli godzenia się ze *status quo*, które było nie własnym, ale obcym dziełem.

Należy nieustannie przypominać o tym chociażby dlatego, aby nie pozwolić zmistyfikować okresu stalinizmu. Dysydenci bowiem chcieliby go nam ukazać jako okres powszechnej akceptacji komunizmu, zwłaszcza przez środowiska intelektualne i „postępowe”. Należy mieć szacunek dla dysydentów, którzy — dostrzegłszy swój błąd — potrafili wcześniej czy później wejść na słuszną drogę i nie trzeba im owych błędów wypominać. Ale niechże przestaną mistyfikować sytuację, w której nie wszyscy wybrali marksizm jako ideologię „postępową”, bo to nie zmniejszy ich minionych błędów i nie rozgrzeszy ich automatycznie. Więzienia bezpieki dostatecznie wypełnione były tymi, którzy nie akceptowali takiego „postępu”, jaki proponował kolejny okupant, aby tę mitologię powszechnej akceptacji odrzucić. I nie chodzi o „rozgrzeszanie”, nikt bowiem nie jest powołany na sędziego, oskarżyciela, obrońcę, a przede wszystkim na oskarżonego. Zachowajmy, na miłość Boską, właściwe proporcje.

Przeprosić wypadnie za dygresję.

Otóż społeczeństwo polskie wykazywało dotychczas i wykazuje nadal przeogromną energię w dziele niepoddawania się niwelacji komunistycznej. To społeczeństwo w swych tysiącletnich dziejach wykazywało zawsze dążność do postępu, do przeciwstawiania się wszelkiej opresji, ma w tej dziedzinie ogromne i bogate tradycje. Ale tradycje te ujawniają wielokrotnie, jak bardzo nieudolnie społeczeństwo to korzystało z posiadanych atutów, jak bezperspektywistycznie budowało swój los i pierwsze rozbiory były tyleż zawinione przez drapieżność i nienawiść sąsiadów, co przez własną nieudolność zbiorową. Drugie były już tylko konsekwencją pierwszych. Wydaje się więc niezbędne budowanie (i stałe weryfikowanie) takiego programu samoświecenia, który ową niezłomną polską energię wolności i prawdziwego postępu mógłby zagwarantować i nawet w najmniej sprzyjających okolicz-

nościach przenieść na następne, być może szczęśliwsze pokolenia. Można by to nazwać Programem Oświecenia Narodowego. W skrócie — P.O.N.

Powróćmy jednak do programu przeciwstawnego: do niwelacyjnego programu PZPR (będącego tylko wypadkową doświadczeń KPZS). Program ten, jak w każdym absolutystyczno-totalitarnym ustroju, ma za zadanie rozwarstwić maksymalnie społeczeństwo, przy czym zdecydowana większość ma ulec pauperyzacji, selekcja zaś negatywna w postępowaniu w górę ma się odbywać w obrębie uprzywilejowanej elity. Konstytuuje się szczególna oligarchia, oparta o zasady nomenklatury (byle szeregowemu członkowi partii dostęp do niej nie jest łatwy). Trzeba się dopiero wykazać i właśnie w tym „wykazaniu” przejawia się element selekcji negatywnej. Drogę wzwyż toruje się bowiem „po trupach” innych, metodami walki jest intryga, donos, właściwy wybór nieustannie zmieniających się „układów” w obrębie partii.

Jeden niemiecko-żydowski filozof i jeden rosyjski rewolucjonista, zapiekły w nienawiści do wszystkiego co dotychczas było, przeobrazili ideologię w coś najbardziej nieludzkiego, w sprzężenie nienawiści z pogardą. Nienawiść, którą miano zarezerwować dla ciemnych, przeobrażono w praktyce w nienawiść do ciemionych. To zupełnie naturalne: bowiem w międzyczasie ideologowie sami zajęli miejsca dotychczasowych ciemnych. A ponieważ mienili się naukowcami, więc rzecz realizowali naukowo — bez fanatyzmu, ale za to z konsekwencją. Jaką? — po prostu nieludzką. Ludobójstwo sowieckie licznie przekracza znacznie ludobójstwo hitlerowskie. Ludobójstwo ubeckie jest tylko dlatego wielokrotnie wyższe od esbeckiego, że już dziś swobodnie go uprawiać nie można. Potrzebni są więc skrytobójcy. Czyż więc dziwić może, jeśli przemawiają tym samym językiem, jakim przemawiają propagandyści? Język Piotrowskiego nie różni się istotnie od języków (czy właściwie języka, bowiem właściwości stylistyczne nie stanowią tu zasadniczej odrębności) jakichś Remów, Krzyżanów czy innych — tych z uchyloną i tych z zatrzaśniętą przyłbicą.

Wszyscy oni należą do wspólnego świata i są jego wychowankami. To jest świat bez ludzi. I świat bez wyobraźni. Oni wszyscy naprawdę nauczyli się myślenia magicznego, ale w mechanistycznym wydaniu, a więc pozbawionego poezji, a za to nasiąkniętego pogardą. I jeszcze strachem. Bo tyle ich świetności, ile łaski nie tyle pańskiej co instytucjonalnej, a czyż instytucja może być w najmniejszym stopniu uczuciowa, to znaczy wdzięczna? Piotrowski został skazany, bo sfuzerował robotę. Ale dlatego wyrzucono z edenu władzy starego, zapienionego z zapału

Koźniewskiego? „Skowyt spod lustra” — tytuł felietonu w *Trybunie Ludu*, wyśmienity obraz instytucjonalnej wdzięczności za „wierną służbę”.

Być może więc nienawiść obecnych reżimowców do „Solidarności” jest wynikiem szczególnej edukacji, w obrębie której solidarność, jako zjawisko etyczne, zaliczane jest do kategorii grzechów śmiertelnych. Solidarność funkcjonuje tylko instytucjonalnie (partia jest instytucją i słowem z kategorii politycznego *sacrum*), społecznie nie funkcjonuje wcale, wręcz przeciwnie — staje się przeszkodą na drodze partyjnego awansu.

Warto się nad tym problemem zatrzymać zwłaszcza po ostatniej (i niestety kolejnej) przegranej „Solidarności” — to znaczy po niewypale strajków po podwyżce cen mięsa. Znowu zawiodła zdolność przewidywania i zdolność planowania sensownych działań. Trudno tego zresztą wymagać od konspiracyjnego kierownictwa, które bezpośrednich i pełnych informacji o nastrojach w środowiskach robotniczych (i nie tylko) nie ma. W chwili obecnej Polacy niekolaborujący, czyli po prostu Polacy, przypominają zaczynają Francuzów z lat 1939, 1940, no i jeszcze niestety następnych: „Czy mamy ginąć za Gdańsk?” w naszym wydaniu przeobraża się w: „Czy mamy ryzykować z powodu droższej kiełbasy?”.

Nie to jest jednak smutne, że niegdyś tak bojowi robotnicy Wybrzeża, Ursusa, Nowej Huty i wielu innych gigantycznych zakładów, obecnie wykazują pewne zniechęcenie i niewiarę w skuteczność działań strajkowych czy demonstracyjnych, ale to, że przeprowadza się — dość zresztą anemiczną — propagandę w sprawie podwyżek (które w ogólnej sytuacji społecznej nie były akurat ani tak wysokie, ani tak niespodziewane), a właściwie przemilcza sprawy procesu gdańskiego, gdzie w podły sposób skazano trzech sztandarowych reprezentantów społeczności „Solidarnościowej” i dość ograniczenie podejmuje problem ustawy o szkolnictwie wyższym, która jest bardziej stalinowska niż wszystko, co dotychczas było w tym zakresie uchwalane i obalane.

Rząd wyraźnie przygotowuje się do wyborów, które są dla niego niesłychanie ważne, nie dlatego by miał je przegrać, bowiem przegrać nie może w świetle obowiązujących w tym zakresie przepisów, ale które są dla niego (a dla społeczeństwa też!) sprawdzianem stopnia spacyfikowania społeczeństwa. Doprawdy zamiast 10 % podwyżki cen mięsa należy już dziś myśleć o tym sprawdzianie. Bowiem albo w roku 1986 będziemy nadal chodzić z podniesionym czołem, albo...

Ktoś powie: ale po to, by robotnicy się ruszyli potrzebne są

takie sprawy, które ich bezpośrednio dotyczą. Jest to chyba poważny błąd w rozumowaniu, a zarazem wyraźny drogowskaz na przyszłość.

Po pierwsze: dość tej naiwnej wiary we wszczone nam do mózgowic teorie, że robotnicy to odrębna klasa i do tego jeszcze uwarunkowana wyłącznie ekonomicznie. Robotnicy tworzą wielkie zbiorowiska w zależności od wielkości zakładu w którym są zatrudnieni, więc socjologicznie należy ich obserwować w takiej właśnie strukturze zbiorowej. Mają oczywiście wpojone przez lata indoktrynacji poczucie odrębności w stosunku do innych grup społecznych, ale półtora roku „Solidarności” przekonało ich o wspólnocie interesów całego społeczeństwa. Kto wierzy w prymitywnego „robota”, który zainteresowany jest wyłącznie tym, ile żarcia i picia nabędzie za to co zarobi, ten albo go nie zna, albo — jak wytrawny aktywista PZPR — znać go nie chce. Nie obrażajmy robotnika polskiego, o wiele bardziej światłego niż się to partyjniakom wydaje.

Ale — tu wypada przejść do drugiego członu rozumowania — współcześni Polacy (niezależnie czy robotnicy, czy urzędnicy, czy renciści, czy cokolwiek innego robią w życiu) są obecnie zmęczeni i zniechęceni. Sprawny zamach na Polskę gen. Jaruzelskiego, a później krok za krokiem wydreptywany, mitygowany lecz realizowany nieustannie terror zrobił swoje. Statystycznemu Polakowi wydaje się, że przeciwko tej przemocy nic się nie da zrobić. Dodatkowym elementem sprzyjającym demoralizacji społecznej jest to, że ten antypolski zamach wykonali niby-Polacy z rozmaitych grup społecznych, od czerwonej arystokracji poczynając a na chłopskich, robotniczych i inteligentkich synkach zasenterowanych w ZOMO czy SB kończąc.

I w tej sytuacji było decyzją typową dla zachodniego rozumienia Związków Zawodowych wzywanie do protestu wobec podwyżek cen mięsa a przemilczanie tego co stanowi — właśnie społecznie — stokrotnie większe zagrożenie. Proces gdański to też był dla rządu papierek lakmusowy: czy można bezkarnie i z pogwałceniem wszelkich norm prawnych bić w najlepszych przedstawicieli społeczeństwa? I odpowiedzmy zaraz: ta próba wypadła dla rządu nad wyraz pomyślnie — społeczeństwo jakby zapomniało o tym, kim był Frasnikiu dla Wrocławia, Lis dla Gdańska, a Michnik dla całej Polski. I będzie za to płacić: coraz liczniejszymi i coraz bezwzględniejszymi w swym bezprawiu działaniami sądownictwa PZPR-owskiego. Podwyżki cen były, są i będą, można przeciwko nim występować, można strajkować czy demonstrować, ale one będą i tak, bo nie tylko od chcenia czy niechcenia zależy ekonomia, a już tym bardziej nie zależy od

doktryn. Rządzi się własnymi prawami, ale politycznie trzeba ją wykorzystywać umiejętnie i wtedy, kiedy trzeba. Wydaje się zaś, że obecnie nie ma dostatecznych powodów ekonomicznych, by w oparciu o nie wywołać wielki społeczny odruch. Są natomiast inne, o wiele groźniejsze...

Haniebny koniec kadencji obecnego sejmu, tego — jak nieświadomie dowcipni dziennikarze reżymowi powiadają — „parlamentu PRL”, znaczone posłusznym uchwalaniem antypolskich i antyspołecznych ustaw — również odbywa się wśród głuchego narodowego milczenia. Zaostrzenie sankcji karnych już weszło w życie, druzgocąca wszelką autonomiczność wyższych uczelni ustawa jest na ostrym finiszu. Protesty naukowców i studentów przeszły niezauważone, gorzej — nawet ci rektorzy, po których można się było spodziewać postawy godnej reprezentantów najśłynniejszych uniwersytetów, zaczęli niejednokrotnie chować głowę w piasek. Sekretariat PAN szaleje, zbiorowo karząc własnych pracowników z powodu protestu za wywalenie Geremka odebraniem służbowych paszportów. A więc instytucja naukowa, która karze własnych pracowników ich dodatkowym naukowym ogłupieniem — zamknięciem przed nimi możliwości zagranicznych kontaktów! Oto kilka z monstrualnych ale społecznie niedostrzeganych paradoksów ustroju, który w każdej dziedzinie wykazuje coraz jawniej i coraz powszechniej swą antyspołeczność, swe głębokie wstecznictwo.

Jaki jest Anno Domini 1985 naród polski? Czy istnieje coś swoistego, co można by tym zaszczytnym imieniem nazwać? Nawet odliczając kolaborantów, którzy — niejednokrotnie deklamując grzmiące nacjonalizmem frazesy — sami zaangażowali się do przybocznej gwardii generała Jaruzelskiego, gwardii *pieriekińskiej*, społeczeństwo składające się na ów naród pozostaje wielogłowym stworem, tak niezwykle różnym, że się go pod żaden socjologiczny strychulec podporządkować nie da.

Bo z jednej strony: zespolony, wspaniale samoświadomy i samopodporządkowany rygorom sytuacji naród uczestniczący w misteriach papieskich mszy zbiorowych w czasie I i II pielgrzymki Jana Pawła II, z drugiej — naród hołotny, rozпиты, rozbebeszony psychicznie. Z jednej strony naród Wałęsy, z drugiej — wałęsających się mętów. Z jednej strony społeczeństwo wielkiej samopomocy, ofiarne, cierpliwie współczujące wzajemnie, z drugiej — pełne pazerności hieny, od tych maleńkich, które na targach sprzedają zacharapczone ze „zrzutów” pożywki dziecięce (choć nigdy własnych dzieci nie miały), aż po największe i najtłustsze z przeróżnych soc-mafijnych zmów. Z jednej strony społeczeństwo kulturalne, przestrzegające nierzadko archaicznych

konwenansów, z drugiej — chamski motłoch rozpychający się i depcący słabszych.

I najważniejsze: z jednej strony Polak pracowity, w miarę uczciwy, pełen zdrowych inicjatyw, z drugiej — zbiorowisko leni i warcholów, którzy są przekonani, że sam fakt niegdysiejszego poczęcia predestynuje ich do szczególnych przywilejów, do zachłannego czerpania z dóbr stanowiących naszą, zbiorową własność. Budowniczo i gnojownicy. Bohaterowie i swołocz.

Nad tym jednym zagadnieniem warto się chwilę zatrzymać: czy Polacy potrafią i chcą dobrze pracować? Niedawno w *Tygodniku Powszechnym* Aleksander Małachowski napisał wspaniałą obronę polskiego chłopca, odrzucając z oburzeniem komunał o polskim nieróbstwie. Ze swej perspektywy — wiejskiego azylu — ma po stokroć rację, ale niestety społeczeństwo to nie tylko jego Lisi Jar czy Kozia Góra, ale także Warszawa, Trójmiasto i Sierpc wraz z Myślenicami.

Wydaje się, że wśród spadku po naszej przeszłości, a konkretnie — po szlacheckiej tradycji obok rzeczy pięknych i wzniosłych przetrwało także i to: pogarda i niechęć do pracy, a już szczególnie fizycznej. Stąd ta gremialna ucieczka ze wsi do miast, spadające się gospodarstwa uprawiane aż do wymarcia starszków, stąd ten stały deficyt rąk do pracy w zawodach trudnych — właśnie robotniczych. Pojęcie chłopo-robotnika ilustrujące niezwykle ciekawe zjawisko wykształcone w naszym kraju obawiam się, że będzie szybko przechodzić w przeszłość, zastępowane chłopo-urzędnikiem lub chłopo-kombinatorem (a jeśli kogoś to zbyt obcesowe określenie razi: chłopo-przedsiębiorcą).

Ta cecha jest ważna z punktu widzenia dalszego wywodu. Jeśli Polacy mają skutecznie opierać się komunistycznej niwelacji, wymaga to od nich dużego i wyczerpującego zaangażowania. I przecież nie chodzi o to, by wykonywali normy i nadnormy, ale o to, że ciężar tego skrachowanego przez ustrój kraju coraz wyraźniej przesuwa się na barki jego obywateli. Jaruzelski może mobilizować kohorty pieriekińskie do pacyfikowania społeczeństwa, ale nawet gdyby stanął na głowie (co przy jego usztywnieniu wydaje się figurą retoryczną), to i tak całego narodu nie zmobilizuje do pracy dla jego państwa, które coraz mniej jest państwem narodu. Naród coraz wyraźniej utożsamia się z krajem, a coraz silniej odcina od państwa. I właśnie ten stan rzeczy wymaga zbiorowej mobilizacji. Polacy muszą sobie budować sami ten kraj, niezależnie jak długo przyjdzie im znosić nasadzoną nań czapkę państwa obcego i nienawistnego chowu.

Polacy w zasadzie to naród rzeczywiście pracowity, choć się pracy tradycyjnie brzydzą, ale przed nią nie uciekają. To właśnie ustrój komunistyczny wyzwala w społeczeństwie falę wielkiej

inercji, martwą falę stagnacji. Mówiło się za dawnych, „dobrych” gierkowskich czasów: „czy kto stoi, czy kto leży — dwa tysiące się należy” i dewiza ta stała się niespodzianie ogólnospołecznym zjawiskiem. Małachowski ma rację o tyle, o ile obserwuje ludzi ciężko harujących dla siebie i na swoim. Ten sam chłopo-robotnik, który ostatni pot ze siebie wyciska, by uzyskać plony ze swego splechotka, w pracy „państwowej” przeobraża się w obiboka i jest to naturalne: przecież siły ludzkie są ograniczone, a on musi mieć energię, by po powrocie „z etatu” zasiać, zaościć, uporządzić bydła...

Ustrój oczywiście nie stara się o to, by rozłeniwić społeczeństwo: wręcz przeciwnie — wszelkie hasła o wydajności i jakości pracy są szczerze, ostatecznie bowiem partia tkwi na tej ludzkiej pracy jak jemiola (słynne urbanowskie: rząd się i tak wyżywi — należałoby tylko skonkretyzować: z czego? — z cudzego trudu). Więc praca jest potrzebna, owoce tej pracy są smakowite i jakże tanie, ale... No właśnie: „jedyny naukowy światopogląd” nie skojarzył dwu faktów: nie można bowiem ogłupiać społeczeństwa, wytrącać zeń wszelkich inicjatywnych odruchów, a potem spodziewać się wytężonego, niewolniczego trudu. Jest to konstrukcja anachroniczna, głęboko reakcyjna, a zarazem — bezdennie głupia.

Do pracy wydajnej, do „dobrej roboty” potrzeba ludzi oświeconych, to znaczy świadomych celu własnego wysiłku w skali osobistej i w skali społecznej. Tylko prymitywny niedouk może sądzić, że w XX wieku można odtworzyć niewolnictwo i na tym podwoziu dogonić wehikuł postępu technicznego. Można natomiast — czego dokonano w ZSSR — cofnąć wstecz historię i zbudować nowoczesny przemysł zbrojeniowy kosztem zubożenia i upodlenia milionów.

Oczywiście: inicjatywa jednostek jest niebezpieczna. Zabójcza w dziedzinie politycznej (stąd taka nienawiść do „Solidarności”, która — jako ruch (czy odruch) masowy wyrosła z początkowych inicjatyw garstki „Oświeconych”), ale i w ekonomicznej groźna, bowiem niedowład socjalistycznej gospodarki musi zawsze przegrać w konkurencji z wolnym ludzkim ingeniem. Wychowanie poddanych w duchu bezinicjatywności jest założone przez system wiecznie podejrzliwy i słusznie podejrzliwy, bowiem niekochany przez poddanych. I tu powstaje dylemat, który musi prowadzić do wyzysku, do para-niewolnictwa i do ekonomicznego niedowładów.

Ale dezinicjatywność polityki społecznej PZPR (i wszelkich innych „bratnich partii”) przynosi swe zatrute owoce. Można obserwować jak się w ciągu lat kilku dziesiątków wydłużył proces dojrzenia, jak to trzydziesto- a nawet czterdziestolatki imi-

tują młodych i wyłącznie „dobrze się zapowiadają” oraz jak masowo odchodzi ludziom ochota do podejmowania jakichkolwiek działań, które by nie były przez kogo innego zatwierdzone i zleczone. Ów naród waleśający się nierobów jest żniwem wychowania socjalistycznego, ale to nie jest prawdziwy naród polski.

W sferze psychicznej owa niwelacyjno-dezinicjatywna polityka prowadzi do przeraźliwego wygodnictwa moralnego, do chcianej łatwości w kłamstwie propagandy, do wyłączenia własnego umysłu z procesu analizy otaczających nas zjawisk. W PRL A.D. 1985 zanikło poprzednie rozpolitykowanie z czasów „Solidarności”. To rozpolitykowanie nie było niczym tak znów bardzo budującym — lały się potoki frazesów i nudnych — bo oczywistych — narzekań. Ale ludzie przynajmniej starali się ukazać własny stosunek do otaczającej ich rzeczywistości. Obecnie Polska umilkła. To milczenie jest groźne, bowiem zacięte, ale jest też żalosne, bo zwyczajnie zastraszone i znów okokoniłone w tym złym, konformistycznym aprobowaniu tego, co się oficjalnie głosi. W Polsce można się wielu rzeczom dziwić — jest to kraj nieprawdopodobieństw i absurdów. Pewnie drobnym przyczynkiem do takich zjawisk może być widok ludzi ustawiających się rano w kolejki do kiosków i kupujących tam po dwie, trzy lokalne gazety. Nie — nie takie same — powiedzmy dla znajomego czy rodziny, ale różne. Potem — w autobusie można obserwować zaczytanych osobników, wertujących dokładnie *Życie Warszawy* i *Trybunę Ludu*, tak jakby pisma te nie były w pewnym sensie identyczne. Nie chodzi bowiem o komentarze i artykuły, które potrafią być odmienne, ale o wiadomości ze smażalni PAP-u, które są po prostu przedrukowywane w identycznym brzmieniu przez całą prasę reżimową. I można chyba słusznie przypuszczać, że ci pilni lektorzy to także pilni oglądacze dzienników tv i okropnych wprost (jeśli chodzi o poziom) komentarzy politycznych.

Wygodnictwo moralne, chciama i łatwo przyswajana łatwości wobec bełkotu propagandowego, okokonienie się w rzeczywistości, której na pozór zmienić się nie da, ideologia „przeżycia”, „urządzenia się”, „niepodskakiwania” itd. To wszystko zaliczyć można na konto sukcesów czwartej, równie jak poprzednie antypolskiej ekipy PZPR. I przed tym społeczeństwem musi się bronić. I dlatego ryzykowna i tyle ofiar kosztująca działalność wydawnicza drugiego obiegu jest faktem tak doniosłym i społecznie niezbędnym.

Ale nie tylko o sam intelektualny opór tu chodzi, o konieczność samokształcenia się społeczeństwa. W Program Oświecenia Narodowego włączyć należałoby też pogłębianie świadomości ekonomicznej i torowanie dróg prowadzących do usamodzielnienia

się narodu wobec państwa. Jak to zrealizować? Nie jest to zadanie na jedną głowę, ale na zastęp fachowców, a także właśnie na inicjatywy indywidualne. Kisiel może być (i jest) chwila mi nużący ze swoimi domowego wypieku teoriami ekonomicznymi, ale mimo wszystko Kisiel jest wielki i jego wieloletnie działanie o rzemiośle, gastronomii i budownictwie oraz tym podobnych nie jest pozbawione głębszego sensu, pod warunkiem, że się nie bierze serio zbawiennych rad doraźnych, ale kompleksowo konieczności i możliwości konstytuujące się w tym ponurym tyglu. Nawet Wierzbicki ze swymi bułeczkami też nie jest aż tak absurdalny, jak to się może wydawać. Trzeba tych (a także wielu innych) publicystów czytać niejako metaforycznie i perspektywicznie.

Jesteśmy w dobie przypominającej lata po powstaniu 1863, albo po zrywach rewolucyjnych 1905 roku. Wydaje się otaczać nas beznadzieja własnej słabości i miazdzącej przewagi okupantów. Należy chyba powtórzyć zabieg pozytywistycznej pracy od podstaw. Tylko należy pamiętać o tym, że historia naprawdę nie powtarza się nigdy i mówiąc: „powtórzyć” trzeba mieć na uwadze całe współczesne uwarunkowanie działań. Ogólny zarys współczesnego pozytywizmu też musi ulec weryfikacji podstawowej: tamten był chyba jednak zbyt lojalistyczny, zakładający niezmienną sytuację polityczną, stabilność Europyolicmajstrów i monarchów, więc brakło w nim patriotyzmu aktywnego. A P.O.N. zakłada patriotyzm aktywny, patriotyzm uczulony na każdą możliwą okazję, która nie jest li tylko marzeniem zagubionego w rzeczywistości totalitarnej romantyka, ale prostą konsekwencją ogromnego przyspieszenia dziejów w naszych czasach. Zupewnie niespodziewanie otwierają się nowe perspektywy, formują nowe sytuacje. Patriotyzm aktywny zakłada czujność, to znaczy błyskawiczność reagowania na wszystkie sprzyjające okazje. Ale równocześnie tenże patriotyzm wpisany w program oświecenia narodowego nie pozwala na społeczne założenie rąk, na melancholijne zaniechanie, na frasobliwą zadumę nad własnym i narodowym nieszczyściem. Na to w pośpiesznym czasie nie mamy czasu i tego rodzaju abnegacyjny romantyzm jest nie do przyjęcia.

A więc fachowcy powinni teraz wyteżyć swe władze intelektualne, swą wiedzę i doświadczenie, by móc wskazać społeczeństwu nowe tory inicjatyw. Przede wszystkim należy pomyśleć o zmaksymalizowaniu drobnej wytwórczości, o odrodzeniu rzemiosła, o tych działach produkcji, w których może się ostać prywatna inicjatywa w konfrontacji z niwelacyjnym walcem ustroju. Jest sprawą oczywistą, że w sytuacji obecnej nie ma mowy o przechwyceniu większych zakładów, że cała fikcja obecnej „reformy” jest tylko propagandowym mydleniem oczu w sytuacji, kiedy

jedynymi bazami tego skompromitowanego ustroju i skompromitowanej ideologii są kohorty pieriekińskie oraz zawłaszczony „środek produkcji”. Partia trzyma się i musi — do ostatka — trzymać kurczowo kopalń, hut i fabryk, w przeciwnym bowiem razie jednak by się nie wyżywiła.

Wśród aktywów komunistycznej propagandy znalazła się także głęboka niechęć społeczeństwa do przedstawicieli „prywatnej inicjatywy”, do „badylarzy” a pośrednio — do chłopów. Ludzie wychowani w bezinicjatywności, ludzie zniwelowani i włóчени w „moralny komfort” *quasi*-kolaboracji mają pretensję do tych, którzy się niwelacji nie poddają. To prawda, że pewnym dodatkowym elementem jest wrodzona Polakom zawiść w stosunku do bogatszych, do tych co mają więcej i to nie tyle drogą dziedziczenia (co może nie jest aż taką świętością z punktu widzenia „praw naturalnych”), ale przede wszystkim do tych, którzy to „więcej” zdobyli własnym wysiłkiem i własnym pomysłem. Tak czy siak są to postawy szkodliwe i nie przynoszące nam, jako narodowi, szczególnej chwały.

Jest rzeczą oczywistą, że inicjatywność wyzwała w jednostkach bardzo często skłonności negatywne, przede wszystkim bezwzględność i chorobliwy egoizm, ale nie muszą to być cechy niezbędne. Natomiast sama operatywność, umiejętność skutecznego działania jest czymś godnym podziwu, a także zaskrości pozytywnej, to znaczy nie nienawistnej, ale mobilizującej do naśladownictwa czy nawet współzawodnictwa. Tylko prymitywni autorzy kryminałów i filmów sensacyjnych dobierają sobie niezmiennie za „czarnych bohaterów” przedstawicieli inicjatywy prywatnej, których zresztą bez trudu demaskują wybitnie inteligentni i zawodowo wysoko kwalifikowani oficerowie MO. Byłoby wszelako czymś interesującym zestawić statystyczne podkłady społeczne pod dzieje polskich „osiągnięć” kryminalnych. Nie należy sądzić, aby główną rolę grali w nich rzeczywiście przedstawiciele drobnej wytwórczości czy „badylarze”, nie byłoby natomiast zaskrociem znaczne uczestnictwo potomstwa nomenklaturowego, to znaczy tych, którym wszystko wolno.

Pośrednio odium inicjatywności spada także na polskiego chłopca, a więc na tego, który — poza wspaniałą zagraniczną pomocą — uratował nas przed głodem w latach prowokowanego przez PZPR kryzysu lat 80-tych. Mieszkańcy miast zbyt łatwo mają temu chłopcu za złe, że wykorzystywał swą wyjątkową okazję i podbijał ceny, ale — niestety — to nie polski chłop, to normalne i podstawowe prawa ekonomicznego nierównoważenia podaży i popytu podbijały te ceny. Ekonomia nie rządzi się przykazaniami Pana Boga, ale przykazaniami Pani Fortuny.

Tymczasem w powszechnej bezradności, w sytuacji magazynowania i wydzierania społeczeństwu jego zasobów, chłop dostarczał nam to minimum bytowe, które pozwalało napełniać garnki przynajmniej ziemniakami i jarzyną, a z mąki wyrabiać kluski i pierogi, uzupełniając te węglowodany tłustym nabiałem. I za to chłopu powinniśmy być wdzięczni, i za to też powinien go jeszcze bardziej niż dotychczas nienawidzić „czerwony”, który dobrze wiedział co robi w latach 50-tych, kolektywizując polskie rolnictwo i który musiał się z tego wycofać nie dlatego, że Gomułka był inteligentny (bo nie był) i nastrojony patriotycznie (bo nie był), ale dlatego, że musiał ustąpić wobec zbiorowego oporu.

Należy pamiętać o tym nieustannie: „czerwony” dysponuje potęgą terroru policyjnego, a jak niestety niedawna przeszłość wykazała, także w dużej mierze wojskowego (korpus oficerski niemal *en bloc* należy do kategorii kohort pieriekińskich). Ale ta potęga jest jednak w jakimś stopniu ograniczona i są granice dla niej nieprzekraczalne. Społeczeństwo musi wspaniale lawirować, aby nie stworzyć sytuacji konfrontacji krwawej (która nieraz byłaby dla komunistów wygodniejsza od bezkrwawego oporu), a jednocześnie nie rozluźniać nacisku, nie dać przeciwnikowi wypocząć, zachowując dystans utrzymywać go w stałym poczuciu możliwości ataku. I właśnie wieś — to wielkie zbiorowisko inicjatyw prywatnych — jest i będzie jeszcze długo jednym z największych zagrożeń dla tego ustroju. Politycznie nie jest to właściwie żadne zagrożenie, „Solidarność wiejska” okazała się solidarnością najślabszą, a dzieje burzy i naporu stronnictw ludowych należą do zamierzchłej przeszłości (cokolwiek pisałby o tym Cywiński). Natomiast po prostu wielość indywidualna tej wsi, pomimo jej spenetrowania przez wszelkie rządowe agentury, pomimo swoistego zastraszenia, właśnie na polu wojny ekonomicznej ma podstawowe znaczenie.

Jeżeli słuszne jest postulowane tu przyjęcie dalekosiężnego Programu Oświecenia Narodowego, to jego realizacja musi być rozpisana na rozmaite specjalistyczne składniki, ale nie może rezygnować nie tylko z podstawowego dążenia do formowania samoświadomości z pokolenia na pokolenie, ale także z zadań natury ekonomicznej. Tam gdzie nas starają się ubezwłasnowolnić niwelacją — starajmy się tej niwelacji zapobiegać, tam gdzie usiłują nas pozbawić odruchów inicjatywnych i myślenia inicjatywnego — uczmy się ich, wykorzystujmy każdy skrawek nieokupowanej strefy gospodarczego działania. Poszczególne przegrane „Solidarności” winny stawać się materiałem nie do darcia szat lub przedwczesnych pogrzebów, ale ceną — cholernie wysoką ceną — towaru bezcennego: doświadczenia.

Przytoczona analogia z okresem po powstaniu styczniowym jest analogią całkowicie globalną. W tym starciu, które mamy za sobą, nie zdziśiatkowano najżywoźniejszej struktury narodu: każda ofiara jest bolesna, ale ofiar tych było — per analogiam z przeszłością — stosunkowo niewiele. Tak więc i analogia pozytywistycznego działania ma też tylko globalne i metaforyczne wymiary. Pozytywizm P.O.N. zakłada bowiem cel podstawowy: obalenie ustroju, tak właśnie: obalenie ustroju, który jest ustrojem wyzysku i krzywdy społecznej, obalenie ideologii, tak właśnie: ideologii najbardziej zacofanej spośród tych, które funkcjonowały w ciągu całego naszego stulecia. Nawet przeżytki archaicznych feudalizmów z Afryki czy Azji są małym piwem wobec wymiaru ucisku, wyzysku i zakłamania komunizmu i adoptowanego przezeń socjalizmu. Niech się na Zachodzie kto chce określa socjaldemokratą, ale o ile wyznaje równocześnie doktrynę marksistowską, to też do tego obozu wstecznicstwa przynależy. Nie dajmy się zwieść sloganom, intelektualnym wykrętasom, reторыce propagandy.

Ale P.O.N. zakłada równocześnie kontynuację działania podstawowego, umacniania się świadomościowego i ekonomicznego tego społeczeństwa, które niepotrzebnie nie zamierza wylewać krwi ani gnić w więzieniach. Żadna zbiorowa ofiara nie powinna być darowana naszym okupantom, ponieważ każda niewykorzystana ofiara jest dla nich prezentem. Ale może się zdarzyć, że ofiara taka okaże się niezbędną i prezentem dla wroga nie będzie. I do tego społeczeństwo musi być przygotowane. A jedyne sensowne przygotowanie leży właśnie w programie narodowego oświecenia.

Program Narodowego Oświecenia.

Nie możemy sobie pozwolić na podstawowy błąd „czerwonego”, który liczył, że świat wolny dogoni i przegoni na wozie zaprzężonym w niewolników. My chcemy opowiadać się po stronie wolnych, my nigdy nie zrezygnujemy z naszych niepodległościowych aspiracji i żeby były one rzeczywiście mocne i niezbywalne, musimy budować je na wielkiej, wspólnej, narodowej samoświadomości: na polskim Oświeceniu końca tego burzliwego stulecia.

Józef SZRETT

Dziennik pisany nocą

Dragonea, 12 lipca 1985

Dzień zaczyna się od dzwonów. O szóstej rano w stronie Cava dei Tirreni szklane kule staczają się zboczami wzgórz na dno doliny i rozpryskują na dźwięki tak czyste, jak powietrze obmyte z ciemności przez wschód różowego słońca nad morzem. Dwa kościoły współzawodniczą w letnim koncercie dzwonów, tworząc muzyczne tło dla przebudzonego krajobrazu.

Ta chwila jest ulotna. Nawet żółte rżyska po skoszonej trawie wsiąkają w gęstą, nasyconą w nocy zieleń krzewów i drzew. Czerwienieją czerwone i bieleją białe domki na zboczach. Takiej szarości skał, z odcieniem wilgotnego fioleto, nie zobaczy się już w ciągu upalnego dnia. Gdy dzwony milkną, słysząc pierwsze nawoływania się ludzi i ostatnie nuty ptasiego śpiewu.

W południe dzwony w obu kościołach odzywają się znowu ale inaczej. Są urywane, beładne, ostrzegawcze. Na dalekim zalesionym zboczu widać nagle wysokie i proste kolumny dymu i, co jakiś czas, języki ognia u ich nasady. W naszej okolicy, od Vietri aż po Wybrzeże Amalfitańskie, grasuje banda piromanów. Przez całe popołudnie nad płonącym wzgórzem krążą samoloty-gaśnice straży pożarnej.

Wieczorem dzwony w obu kościołach wracają do porannej tonacji, przetykane ledwie słyszalnymi odgłosami chóralnych pieśni pobożnych.

O północy można jeszcze dojrzeć na zboczu półkolisty rząd dopalających się ognisk. Pozostanie po nich od jutra, dokoła skalnego szczytu wzgórz, rdzawa pręga w kształcie naszyjnika.

15 lipca

Pierwsza misja jezuicka na obszarze zwanym Paragwajem (znacznie większym od dzisiejszego Paragwaju) powstała w roku 1609. Nazwano ją Redukcją, od dewizy *reducere ad Ecclesiam et vitam civilem*. Proces „redukowania” nawróconych Indian ciągnął się półtora wieku. Trzydzieści Redukcji, czyli prowincji, złożyło się na kwitnące państwo jezuickie, zlikwidowane w roku 1767 z woli Karola III dekretem wygnania jezuitów z Paragwaju. Historycy, myśliciele, pisarze uważali i uważają je to za „państwo chrześcijańsko-społeczne”, to za formę „teokracji socjalistycznej”, to za „republikę komunistyczno-chrześcijańską”, to po prostu za „święty eksperyment”. Wolter ironicznie skwitował paragwajskie dzieło jezuitów w *Kandydzie*, aby z innej okazji zmienić o nim sąd na bardziej przychylny. Życzliwie wyraził się o nim Monteskiusz, zgryźliwie d’Alembert, entuzjastycznie Chateaubriand. W bliższych nam czasach niechętna była opinia Crocego: „Jezuici nauczyli dzikusów pracy na roli; ich rzekomy komunizm w duchu utopii Campanelli był w praktyce mądrym wyzyskiem kapitalistycznym, źródłem obfitych dochodów dla Zakonu”. Włoski historyk katolicki Ludovico Antonio Muratori opisał z podziwem „święty eksperyment” w książce, która ukazała się w roku 1743 i miała później wiele wydań i przekładów. Jej tytuł mówił sam za siebie: *Szczęśliwe chrześcijaństwo w misjach Ojców Jezuitów w Paragwaju*. Termin „szczęśliwe chrześcijaństwo” najtrwalej przyłgnął do jezuickiego Grodu Słońca w Południowej Ameryce. Muratori jest dziś klasykiem, wciąż jeszcze przypominanym i wznawianym (ostatnio we Francji i we Włoszech). Jedni dostrzegają w paragwajskim „świętym eksperymencie” teokratyczną prefigurację nowoczesnego państwa totalitarne-go, inni świeży nadal owoc społecznego geniuszu chrześcijaństwa. To pewne, że Muratori zasługuje na uważną lekturę.

Jezuickim państwem w Paragwaju byłyby zachwycony Wielki Inkwizytor z „poematu” Iwana Karamazowa. Pod czujnym okiem i komendą misjonarzy nawróceni Indianie stali się doprawdy szczęśliwi. Zrobiono z nich dzieci, sami jezuici zresztą określali ich mianem „broadatych dzieci”. I dzięki czerwonoskóre dzieci, wdrożone do racjonalnej i wydajnej pracy na roli, do gromadnego władania ziemią i ignorowania pieniędzy, odkryły w nowej religii potrójny smak cudu, tajemnicy i autorytetu. Uwielbiały spowiedź — często zbiorową i publiczną — urządziły prawdziwe wyścigi i licytacje w ujawnianiu swoich rzeczywistych i urojonych grzechów, błagając o najsurowsze kary, wierząc że tajemniczy Bóg

chrześcijański tym jest miłosierniejszy w odpuszczaniu win, im sroższą wyznacza pokutę skruszonym grzesznikom. Żyły w poczuciu permanentnej winy, co dla jezuickich nadzorców i nauczycieli było idealnym narzędziem panowania. Wszyscy wiedzieli wszystko o wszystkich. Ołtarz wspierał się na filarach cudu i tajemnicy. Autorytet posiadali wyłącznie misjonarscy rządcy i opiekunowie, lub (w znacznie mniejszym stopniu) ich zaufani wybrańcy spośród nawróconych Indian.

Warunkiem istnienia i prosperowania „szczęśliwego chrześcijaństwa” była jego maksymalna izolacja od świata. „Aby źli nie zatruli swoim postępowaniem dobrych, jezuici w Paragwaju otrzymali z łaskawych rąk królów katolickich prawo zakazu odwiedzania Redukcji przez Hiszpanów i innych Europejczyków, chyba że chodziło o przejazdy w celach administracyjnych do urzędów gubernatorskich i episkopalnych. Stąd, jeśli w tych stronach pojawi się jakiś Europejczyk, natychmiast przydzielają mu towarzysza w osobie jakiegoś roztropnego Indianina, który potrafi roztoczyć nad nim ścisłą kontrolę i możliwie szybko odstawić go z pożegnaniem do granic państwa. Z tej głównie przyczyny w Redukcjach paragwajskich, niedosiężnych dla oczu i złego przykładu Europejczyków, rozkwita lepiej niż gdziekolwiek indziej poszanowanie przykazań Bożych, nie ma bowiem nikogo kto by nawróconych Indian mógł na manowce zepchnąć z prostej drogi i skazić pierwotne formy życia, jakie wprowadzili tutaj oddani Bogu misjonarze”.

Nie wszystkich jednak Indian w Paragwaju udało się jezuitom nawrócić, nie wszystkich obrócić w grzeczne, posłuszne, „brodate dzieci” szczęśliwego, chrześcijańskiego Grodu Słońca. Muratori przytacza słowa czerwonoskórego poganina, który oparł się wszelkim pokusom i naukom misjonarzy i pozostał wierny dawnym bożkom: „Mówicie że Bóg chrześcijan wie wszystko, że nic się przed nim nie ukryje, że jest wszędzie obecny, widząc każdą rzecz czynioną w każdym miejscu. Lecz my nie chcemy Boga, który rozporządza taką wszechwiedzą i ma tak wszechwidzące oczy. Pragniemy żyć w naszych lasach i w naszych pieczarach w pokoju i wolności, nie czując nad sobą stałego nadzorca i sędziego naszych uczynków”.

Kto w jezuickim państwie w Paragwaju węszy pierwotny model ustroju totalitarnego, znajdzie w wypowiedzi czerwonoskórego poganina pierwotną, dumną i godną, deklarację wolności. Lecz „szczęśliwe chrześcijaństwo” — i chwała mu za to! — nie zamierzało nikogo uszczęśliwiać na siłę. W niektórych rejonach Paragwaju niepokorni poganie godzili się na działalność jezuitów, domagając się jedynie by ich pozostawiono w spokoju. Misjonarze — szczerze, albo z cierpliwą rachubą na stopniową ekspansję

w przyszłości — respektowali to żądanie. W naszej „ideologicznej” epoce budzi sympatię ta tolerancyjna wstrzeźliwość obu stron, chrześcijańskich i pogańskich liberałów...

20 lipca

Krakowska *Arka* ogłosiła ankietę o nacjonalizmie. Zaproszony do udziału w niej, wolę krótko odpowiedzieć w moim dzienniku.

Ankieta zawiera cztery pytania. Pierwsze o „ethos nacjonalisty” pomiję. Istotne są pozostałe trzy, które można z pożytkiem sprowadzić do jednego: jeżeli „nacjonalizm w suwerennym państwie różni się od nacjonalizmu społeczeństw podbitych, to jakie pozytywy i jakie niebezpieczeństwa wiążą się z działaniem ideologii nacjonalistycznej w sytuacji społeczeństwa polskiego, niesuwerennego wewnątrz i zewnątrz”? Innymi słowy, organizatorzy ankiety chcieliby od ankietowanych usłyszeć, czy w Polsce rządzonej przez komunistów i podległej Moskwie wolno nacjonalizm nobilitować jako oręż w walce o suwerenność społeczeństwa i państwa.

Ankietę *Arki* poprzedza szkic historyka oxfordzkiego Isaiah Berlina o nacjonalizmie. Podkreśla on, że w XIX wieku „między nacjonalizmem w sensie emocji i ideologii a świadomością narodową nie stawiano znaku równości”. I dodaje: „W moim przekonaniu słusznie” (w moim też). Po czym nazywa nacjonalizm „patologicznym stanem zapalnym zranionej świadomości narodowej”. Ponieważ pisze o „zranionej świadomości narodowej”, definicję można odnieść głównie do społeczeństw i państw niesuwerennych. A w wypadku państw i społeczeństw suwerennych? Zaproponowałbym formułę: „Nacjonalizm jest patologicznym stanem zapalnym egzaltowanej świadomości narodowej”. Obie formuły dobrze przystają do opisu nacjonalizmu polskiego, starego i nowego, w szkicu Jana Józefa Lipskiego *Dwie ojczyzny — dwa patriotyzmy*; w szkicu tak mądrym, że trudno bez pewnego zaskópotania pisać po Lipskim na ten sam temat. W każdym razie polski nacjonalizm jest mieszanką obu „stanów zapalnych”, podwójnym wykrzywieniem patologicznym naturalnej świadomości narodowej.

Jak zatem — żeby wrócić do ankiety *Arki* — układają się „pozytywy” i „niebezpieczeństwa” nacjonalizmu polskiego w roli taranu, który zamierza bić w mury naszej niesuwerenności? Ma szanse bić z powodzeniem? Charakterystyczne, że jeden z uczestników ankiety, podsumowując swój negatywny stosunek do ideologii nacjonalistycznej, wydobywa jednak jej „ważną cechę” pozytywną: „jest zdecydowanie antykomunistyczna”. W gruncie

rzeczy tu tkwi jądro i ankiety i całego zagadnienia. Według mnie nacjonalizm, w przeciwieństwie do trwałej i głębokiej świadomości narodowej, myli się sądząc że jest „decydowanie antykomunistyczny”. I nie zdaje sobie sprawy jak dalece utwierdza i umacnia komunizm, przy pozorach czy złudzeniach walki z nim.

Patologiczne antidotum na patologię komunizmu, to trochę za dużo. Nacjonalistyczne stany zapalne należą do najłatwiejszych (i niekiedy najdogodniejszych) przedmiotów manipulacji i instrumentalizacji w rękach władców komunistycznych. Trzeba o tym przekonywać po doświadczeniach przeszłości? Trzeba to przypominać dzisiaj? Lęk rządzących budzi spokojna, wytrwała, nieustępliwa, rozumna i otwarta świadomość narodowa. Korzyść rządzącym przynosi takie rozhuśtanie emocji nacjonalistycznych, by wrogość wobec obcych i sąsiadów (łącznie z Rosjanami) pograżyła Polaków w poczuciu narodowego osamotnienia, rekompensując je bzikami samouwielbienia, narodowej wyjątkowości i „anielskości”. Gdyż to osamotnienie, wraz z rekompensującymi je bzikami megalomanii i ksenofobii, wsącza powoli do podświadomości narodowej jad wyniosłego pogodzenia się z niesprawiedliwymi „wyrokami historii (i geopolityki)”. Czyli pogłębia nieostrzegalnie, z dnia na dzień, uraz „niemocy absolutnej”. W naszej obecnej sytuacji nacjonalizm posiada trzy warianty: albo trwa w swoistej narodowej *splendid isolation*, podbudowanej przeświadczeniem o wyższości nad innymi narodami; albo daje się użyć w manipulacyjnych manewrach komunistów, w błogiej i samodurnej iluzji uprawiania nadzwyczaj chytrej i przemyślanej gry; albo wreszcie roi o wykołataniu od Moskwy polskiego „statusu specjalnego”, który nacjonalistycznym „realistom” pozwoli porozumieć się i ułożyć z Kremlem ponad głowami komunistycznych namiestników w Warszawie. Ale Moskwie nie zanadto przeszkadzają ogrodzone i otamowane nacjonalizmy w krajach zwasalizowanych. Przeszkadzałyby jej próby wzajemnego podkopywania przegród między swobodnymi duchowo, świadomymi swych praw i aspiracji, narodami pod panowaniem sowieckim.

Aż przykro takie truizmy powtarzać. A przecież należy je widocznie powtarzać, gdy nawet wśród inteligentnych prawicowych publicystów postulat „realistycznego chodzenia po ziemi” zaczyna oznaczać chodzenie po niej na głowie. Przeczytałem właśnie broszurę Piotra Wierzbickiego *Myśli staroświeckiego Polaka*, coś w rodzaju prawicowego manifestu polskiego *sacro egoismo*. Nacjonalizm (oczywiście „zdrowy”) jest w niej przeciwstawiony... kosmopolityzmowi. Kto więc w Polsce nie czuje się nacjonalistą, staje się siłą rzeczy kosmopolitą. Zadaję sobie pytanie, czy „staroświecki” autor tego przeciwstawienia pomyślał w swoich rozgorączkowanych tyradach, że jest ono typowo sowieckie. Z tą

jedynie różnicą, że sowiecki imperialny nacjonalizm — skoro istnieje „narod sowiecki” — występuje pod postacią „sowieckiego patriotyzmu”. Kto nie jest sowieckim patriotą, staje się automatycznie kosmopolitą. Osobliwa forma walki „staroświeckich Polaków” o suwerenność narodową i państwową! Bierze prawie ochota uwierzyć na chwilę, że Moskwa dojrzy wśród nich rzeczywiście partnerów do porozumienia ponad głowami nowoczesnych (lecz bezużytecznych) komunistów polskich.

25 lipca

Ciąg dalszy „innego świata” w tomie wspomnień Wiktorii Kraśniewskiej *Po wyzwoleniu... (1944-1956)*. Autorka mieszka w Polsce, używa pseudonimu. Za kraty, druty i w końcu na zesłanie poszła jako żołnierz AK, do Kraju wróciła w roku 1956. Dwanaście lat! Kiedy w marcu podpisywałem w Libelli francuskie i polskie egzemplarze *Innego Świata*, pewien starszy pan pochylił się nad stolikiem i powiedział szeptem: „Ja też byłem tam, później i znacznie dłużej od pana. Proszę się tylko podpisać, moje nazwisko nie ma znaczenia”. Schował do torby podpisany egzemplarz, spojrzeliśmy sobie w oczy, szybko wyszedł z księgarni. Podczas lektury *Po wyzwoleniu...* wspomniałem spojrzenie nieznanego z Libelli. Tworzymy zapewne — byli mieszkańcy „innego świata” — zamkniętą społeczność wtajemniczonych. Czytam w książce Kraśniewskiej: „Tylko zek w obozie już się nie boi, bo stoi po drugiej stronie granicy; doznał już wtajemniczenia”. U Sołżenicyna spotyka się często motyw tego wtajemniczenia, które trwa i trwa (nazywane przez niektórych „chorobliwą obsesją”), jakkolwiek działa inaczej w obrębie bądź w stałym cieniu „innego świata”, a inaczej poza jego zasięgiem.

Obdarzona ostrym zmysłem obserwacji, wrażliwa i wnikliwa, Kraśniewska napisała relację bardzo rzeczową, beznamiętną, miejscami aż chłodną i suchą. Wystrzega się podnoszenia i drzeń głosu. Opowiada z oddalenia, przypuszczalnie w wiele lat od powrotu do Polski, ale nie czuje się w jej opowiadaniu zmatowienia spowodowanego upływem czasu. Doświadczenie jest żywe, jak żywą i integralną częścią systemu sowieckiego jest jego składnik „zekowski”. Niekiedy, w opisie jakiegoś epizodu lub ewokacji jakiejś postaci, pojawia się nagle refleksja: „Czy do takich odruchów i zachowań nie bywamy dziś skłonni wszyscy?”. W jednej z nowel Arzaka-Daniela rozlega się okrzyk: „Wrosły w nas łagry, zapuściły w nas głębokie korzenie!”. Szałamow nadał temu okrzykowi wielki wymiar pisarski. Książka Kraśniewskiej, wolna od pokus wyodrębnionej polskiej martyrologii naro-

dowej, stanowi polski przyczynek do ogólnego obrazu totalitarnej degradacji człowieka w wydaniu sowieckim.

„I tak powoli tracimy dusze. Dzień po dniu, razem z głodem, z pracą ponad siły, z beznadziejnością czasu, sączy się w nas kropla po kropli coś, co należy nazwać po imieniu, sączy się w nas przyzwolenie na zło. Już nie potrafimy się oburzać, już tylko wzruszamy ramionami. Dziwi nas raczej człowiek uczciwy, na którym można polegać. Sowieckie *pieriewospitanie*, ponura groźba dnia codziennego”. Wyjście z sowieckiego *pieriewospitania* polega, jak w słynnym powiedzeniu Czechowa, na wyciskaniu z siebie kropla po kropli niewolniczej trucizny gubiącej dusze.

1 sierpnia

Nie ma na to dowodów czarno na białym, ale obie informacje pochodzą z bardzo wiarygodnych źródeł.

Latem 1968, tuż przed inwazją Czechosłowacji, Tito przyjechał z oficjalną wizytą do Pragi. Natychmiast po przylocie spotkał się z Dubczkiem. „Kiedy zamierzacie ogłosić powszechną mobilizację?”. Pytanie wprowadziło Dubczka w ośpienie. Wymamrotał, że nie tak wyobraża sobie rozwiązanie kryzysu zaufania w stosunkach między towarzyszami czechosłowackimi i sowieckimi. Tito nie próbował go przekonywać, zmienił temat i skrócił rozmowę. Wróciwszy do swojej rezydencji, zapowiedział wcześniejszy niż planowano odlot do Belgradu. „Nie mamy tu już nic do roboty”.

Ostatnie spotkanie delegacji czechosłowackiej z sowiecką odbyło się w Czernej. Atmosfera była naprężona, spokojny zazwyczaj Dubczek tracił panowanie nad sobą. W pewnej chwili, zwracając się wprost do Breżniewa, powiedział z dramatycznym naciskiem: „W każdym razie, towarzyszu Breżniew, my do żołnierzy Czerwonej Armii strzelać nie będziemy”. Prawdopodobnie wtedy uchyłona lekko klapka w mózgu Breżniewa zatrzasnęła się definitywnie. Głównym celem licznych spotkań przed inwazją było opukiwanie zbuntowanych towarzyszy z Pragi: ośmielić się pójść na całego, czy nie? W Czernej towarzysze z Moskwy usłyszeli odpowiedź. Spekulacje i kontrowersje „co by było gdyby” są tu mniej ważne. Ważniejszy od nich jest morał ukryty w pytaniu i w zachowaniu się Tity, wytrawnego znawcy tych spraw. Wolno go chyba tak sformułować: kto chce z podobnymi przeciwnikami walczyć o najwyższą stawkę, nie może się w decydującej chwili cofnąć przed najwyższym ryzykiem.

Obie te informacje traktuję jako wprowadzenie do spóźnionej nieco repliki na artykuł Waldemara Kuczyńskiego *Kwestia krwi*

w *Aneksie*. Przed rokiem znalazł się w moim dzienniku zapis na marginesie książki Holzera o Solidarności i książki Gartona Asha *The Polish Revolution*. Zacytowałem przytoczoną przez Holzera (i opatrzoną jego znakiem zapytania) refleksję znajomego historyka węgierskiego: „Niestety w tym systemie tylko rzeką krwi wymusić można skromne reformy”. Postawiłem obok niej całkowicie odmienną opinię węgierskich przyjaciół Gartona Asha. Sam opowiedziałem się w zasadzie po stronie apologetów polskiej bezkrwawej rewolucji, zaznaczając jednak że nie może się ona „z góry wyrzec *wszelkiego ryzyka* przelewu krwi, bo nie wyrzeka go się z góry przeciwnik”. Mój zapis zamknąłem uwagą: „Bezkrwawa rewolucja, która z góry odrzuca wszelkie ryzyko przelewu krwi, rzykuje przeobrażenie się w rewolucję bezkrwawą. Czyli odsłania się do ciosu. Takiego jak grudniowy”. W kilka miesięcy później przeczytałem w *Konspirze* wypowiedzi Bujaka i Borusewicza. Bujak: „Kardynalnym błędem Solidarności, który przyspieszył klęskę, a może nawet przeważał szalę, stało się proklamowanie jako metody walki — biernego oporu”. Borusewicz: „Bierny opór spowodował agonię Solidarności... Należało przeciwnie — pozorować determinację, walkę do ostatka... Hasło bierności wytworzyło sytuację psychologiczną nie do wytrzymania”.

Punktem centralnym jest naturalnie kryzys bydgoski. I na nim koncentruje się Kuczyński w *Kwestii krwi*, artykule polemizującym z moim zapisem w dzienniku. W obronie kompromisu bydgoskiego używa dwóch argumentów. Po pierwsze, kto powiada, że „przegraliśmy w grudniu, bo cofneliśmy się w marcu”, kto „stawia zarzut Solidarności, że nie miała odwagi zaryzykować przelewu krwi”, powinien sobie uświadamiać, że „ten zarzut dotyczy całego narodu”, nie zdecydowanego „ryzykować życiem w walce o obalenie komunizmu, w walce którą instynktownie i słusznie uważał za beznadziejną”. Po drugie, „gdyby na strajk generalny władze odpowiedziały stanem wojennym, to najprawdopodobniej by wygrały, tocząc jednak batalię w warunkach znacznie gorszych dla siebie niż osiem miesięcy później”, a zatem „walec stanu wojennego musiałby się przetoczyć po Solidarności o wiele ciężiej, by rozgnieść opór znacznie silniejszy”; „stan wojenny w marcu byłby dramatem cięższym od grudniowego w kosztach bezpośrednich i w skutkach na dłuższą metę”, natomiast „dzisiejsza opozycja istnieje dlatego, że uderzenie grudniowe było ograniczone co do zakresu i natężenia”; słowem „odwrót we właściwym momencie był jedynym wyjściem pozwalającym prowadzić batalię dalej z nadzieją, że stanie się coś, co poprawi układ sił”, oraz „zbudować skuteczną politykę okopania się i zagospodarowania zdobytych obszarów”.

Oba argumenty są ważne, ale na wyrost. Dlatego na wyrost, że Kuczyński całkowicie przemilcza inną możliwość, zasugerowaną w moim zapisie; albo jest dla niego niewygodna w polemice, albo wydaje mu się mało realna. Oto ona ujęta przeze mnie dość ostrożnie: „Kto bluffował podczas kryzysu bydgoskiego? Jaruzelski i Rakowski grożąc stanem wyjątkowym, czy Solidarność grożąc strajkiem generalnym? Wiemy tylko, że Solidarność cofnęła się w obliczu ryzyka przelewu krwi. A przecież niewykluczone wcale, że bluffował wtedy — u szczytu siły Solidarności — przeciwnik; i bluffował z powodzeniem, gdyż postanowił jednak ryzyko przyjąć, chociaż nie był jeszcze do konfrontacji przygotowany i prawdopodobnie przyspieszył tempo przygotowań do niej po Bydgoszczy, upewniwszy się że Solidarność nie odstąpi od zasady rewolucji całkowicie bezkrwawej. Nie trzeba tłumaczyć czym byłoby dla Solidarności wygranie kryzysu bydgoskiego, jak jasne jest już dziś czym okazało się dla Solidarności jego przegranie: początkiem słabnięcia i dezorientacji. Rzecz prosta, całe to rozumowanie zakłada niechęć Moskwy do interwencji zbrojnej. Mogę być w błędzie, ale jedno wydaje mi się pewne: przyjęte przez Solidarność ryzyko miałoby na Moskwę wpływ raczej powściągający, niż pobudzający”.

Według Kuczyńskiego „wygrana Bydgoszcz nie zaowocowała by spokojem, lecz jeszcze groźniejszym konfliktem w kilka miesięcy później”. Założmy, że tak; konfliktem jednak rozgrywanym z wzmożonym poczuciem siły i w Solidarności i w społeczeństwie po kolejnym zwycięstwie; a także — co nawet istotniejsze — z wyostrzonym znacznie słuchem na przygotowania władz do „rozwiązania siłowego”, czyli z podniętą do własnych kontr-przygotowań. Marzec 1981 był nieuniknionym momentem wzajemnej „weryfikacji” dwóch stojących naprzeciw siebie stron. W praktyce tylko władze „sprawdziły” Solidarność.

Rozumiem doskonale, że rozważania tego rodzaju tkwią z natury rzeczy w sferze „gdybania”, którego bardzo nie lubię. Ale czegoś w końcu uczą, każdy po swojemu, Tito i Dubczek.

4 sierpnia

Oni — świetnie przez Teresę Torańską prowadzone rozmowy z Ochabem, Werflem, Kłosewiczem, Staszewskim, Mincową, Chajnem i Bermanem — są książką pasjonującą. Nie rewelacyjną, bo niczego nowego w zasadzie nie odkrywają poza masą nieznaną szerszemu ogółowi i smakowitych szczegółów — ale właśnie pasjonującą. Zwłaszcza dla mnie, który od dawna twier-

dziłem, że najlepszym podręcznikiem wiedzy tajemnej zwanej „sowietologią” (lub nauką o marksizmie-leninizmie w akcji) są amerykańskie i włoskie powieści i filmy mafijno-gangsterskie. Siedem postaci „politycznych” w poszukiwaniu autora... Znalazły go w Torańskiej, która ma nerw pisarski i docieklivość badawczą na miarę wielkiego twórcy *The Godfather*. Czytałem jej książkę z zapartym tchem; zasługuje na włączenie do obowiązkowych, nic to że oficjalnie zakazanych, lektur obywatelskich w PRL.

Staszewski: „Wybory w mafii nie są demokratyczne, wybory w bandzie nie są demokratyczne, ponieważ ona, to znaczy mafia, nie jest demokratyczna, gang jest zaprzeczeniem demokracji”. Na co Torańska: „Pana więc mianowano I gangsterem Warszawy”. Staszewski odgrywa w książce rolę *pentito* (skruszonego): włoski wynalazek, przeniesiony z procesów Czerwonych Brygad do procesów mafii i kamorry. *Pentito* sypie współników, nie oszczędzając zbytnio samego siebie, w zamian za obiecany wyrok ulgowy. We włoskich sferach mafijno-gangsterskich (na wolności) mówi się podobno o takich: już śmierdzi trupem. W wypadku procesu urządzonego przez Torańską chodzi niestety nie o wyrok sądowy, lecz tylko o ulgowy „wyrok historii”. Prócz Staszewskiego, drugim w procesie *pentito* jest Chajn, ale wśród siedmiorga podsądnych przypomina on kalibrem i mazgajskim tonem klasycznego, dobrze płatnego i trzęsącego wciąż portkami „adwokata bandy” z filmów i powieści gangsterskich (Rakowski, w jakimś przyszłym procesie w stylu Torańskiej, będzie podobny częściowo do niego a częściowo do Werfla). Pozostała piątka jest „twarda”, nie odczuwa żadnej skruchy, jeśli bije się czasem w piersi to oczywiście w cudze, wdaje się w krótsze lub dłuższe dyskursy „polityczne” (celują w tym „wybitny teoretyk” gangsterizmu Berman, wyszczekany Werfel i „ojcowski” Ochab), oczekuje spokojnie i ufnie prawdziwego wyroku Historii (naturalnie z dużej litery).

Mafijny, wszechpotężny Ojciec Chrzestny wysyła chrześniaków na obcy „teren”, lub obce „terytorium”. Tak w języku mafii nazywa się Miasto do opanowania, ważne w rozległych planach i interesach organizacji. Gang korzysta z sił miejscowych, ale sam zachowuje wobec „terenu” czy „terytorium” dystans czynnika nadrzędnego, posłusznego ślepo i bezgranicznie dyspozycjom, instrukcjom i rozkazom Ojca Chrzestnego. Zdarza się, że w trakcie przenikania w żywy organizm Miasta wybuchają między grupami bojowymi różnych dzielnic animozje, kwasy, rywalizacje. Rozstrzygają je krwawe porachunki, czasem z formalną dintojrą czasem bez, zawsze jednak zgodnie z podszeptą poufnie decyzją Ojca Chrzestnego. Bywa, że Ojciec Chrzestny

umyślnie prowokuje starcia: albo dla pozbycia się elementów we własnym mniemaniu niepewnych, albo dla nadania całemu gangowi większego wigoru i większej czujności, albo dla stłumienia w zarodku tendencji do zawrotu głowy od powodzenia i przypomnienia agentom mafii na obcym i opanowanym już „terenie” czy „terytorium” kto tu, choć z daleka, naprawdę rządzi. W terminologii mafijno-gansterskiej cel pełnej operacji określa się słowami *le mani sulla Città*, „ręce położone na Mieście”. Plastyczne, poetyckie wręcz jest wyrażenie uzupełniająca: „Aby nie drgnął w Mieście liść bez naszego pozwolenia”.

Ojciec Chrzestny jest surowy, lecz sprawiedliwy i niekiedy nawet dobrotliwy. Całuje go się z delectacją po rękach, zagląda mu się ukradkiem, bojaźliwie w mądre i przenikliwe oczy z uczuciem niewzruszonej wiary i całkowitego oddania. Jeśli dochodzi przypadkiem do jakiegoś nadużycia, można przysiąc że nie On był jego inspiratorem. Odpowiedzialność spada z reguły na kogoś z przybocznego sztabu szefa mafii. Lepiej jednak nie zadzierać z wiarołomnym osobnikiem, potrafi być na wyżynach nie mniej groźny od Ojca Chrzestnego któremu gorliwie służy. Kluczowa w książce Torzańkiej jest dla mnie opowieść Staszewskiego o tym jak Bierut, przywódca gangu na polskim „terenie” czy „terytorium”, dopytuje się wielokrotnie z pokorą podczas wizyt u Stalina o los swych zaginionych towarzyszy. Stalin zwraca się z wymówką do Berii: gdzież oni są, kazałem ich przecież szukać, czemu ich jeszcze nie odnaleziono? Po kolejnej takiej indagacji Bierut wychodzi od Stalina razem z Berią. Zaufany doradca księcia w mundurze oberpolicmajstra odzywa się w te słowa do petenta z Warszawy: *Czego wy przyjebliś k Josifu Wissarionowiczu, otjebiteś wy ot niego, ja wam sowietuju, a to chubie z wami budiet*. Staszewski przeprosza galanteryjnie przepytującą go panią za ten „prosty, szorstki, partyjny język”. Z pewnością nie użyłby takiego języka sycylijski zausznik Ojca Chrzestnego w rozmowie ze swoim podwładnym. Ale sycylijscy chrześniacy nie bawili się i nie bawią w „ideologię”.

8 sierpnia

David Wyman, potomek pastorów protestanckich, profesor historii na uniwersytecie Massachusetts, sporządził drobiazgowy akt oskarżenia *The Abandonment of the Jews — America and the Holocaust 1941-1945*. Na ławie oskarżonych posadził swoją ojczyznę (łącznie z amerykańskimi organizacjami żydowskimi) i Anglię. Nie zrobiono prawie nic, by obniżyć przynajmniej rozmiary „rozwiązania ostatecznego”, porzucono Żydów całkowicie

na pastwę hitlerowców, chociaż pewne możliwości ocalenia części mordowanych istniały. Gest Piłata uzasadniany był uporczywie argumentem, że wszelkie akcje „uboczne” musiałyby naruszyć „kompleksowy” wysiłek wojenny w zmaganiach z Trzecią Rzeszą. Słabość i wykrętność tego argumentu widać jaskrawo na przykładzie projektu, który Wyman omawia w *The Bombing of Auschwitz*, najbardziej przejmującym rozdziale książki.

Począwszy od maja 1944 bombowce amerykańskie, działające od grudnia poprzedniego roku z baz w południowych Włoszech, wzmocniły swoją siłę operacyjną na tyle, że mogły przystąpić — i szybko przystąpiły — do systematycznego bombardowania obiektów przemysłowych w środkowej i środkowo-wschodniej Europie. W zasięgu bombowców znalazł się Oświęcim; realne również i stosunkowo łatwe stało się zniszczenie linii kolejowych, którymi do Oświęcimia dowożono eichmanowski „asortyment” Żydów węgierskich. Podsuwany Aliantom (nawiasem mówiąc, polskimi kanałami dyplomatycznymi) projekt przewidywał bombardowanie oświęcimskich komór gazowych i krematoriów. Odmowa sztabów lotniczych powoływała się na obowiązek bombardowania wyłącznie „systemów celów przemysłowych”, do których nie mógł być zaliczony Oświęcim. W rzeczywistości mógł, skoro w okolicach obozu śmierci wytypowano do ataku bombowego duży ośrodek produkcji benzyny syntetycznej. I zbombardowano go 20 sierpnia 1944, w odległości mniej niż pięciu mil na wschód od komór gazowych. Atak powtórzono 13 września, oraz dwukrotnie w grudniu. Nie tknięto instalacji niemieckiego przemysłu śmierci, wychodząc pewnie z założenia że nie jest on przemysłem w tradycyjnym tego słowa znaczeniu. W tradycyjnym tego słowa znaczeniu nie był nim istotnie.

W przypisie do rozdziału Wyman przytacza zdobyte po wojnie świadectwa z Oświęcimia, w których czyta się o więźniach zanoszących daremne modły do Nieba (i nieba) o zbombardowanie przez Aliantów głównego ośrodka produkcji śmierci syntetycznej.

11 sierpnia

Polski przekład eseju Mircea Eliade o „tematach inicjacyjnych w wielkich religiach” kończy się zdaniem: „Jeśli można powiedzieć, że inicjacja stanowi wymiar specyficzny ludzkiej egzystencji, to głównie dlatego, że jedynie inicjacja nadaje śmierci wartość pozytywną”. Przeczytawszy to zdanie, pomyślałem natychmiast o *Śmierci Iwana Iljicza*. Najbardziej inicjacyjne w literaturze światowej opowiadanie, w którym *światło* śmierci rozjaśnia

stopniowo „ciemny worek” umierania protagonisty. I najbardziej może religijne, choć w wypadku Tołstoja „bezwyznaniowe” w sensie „wielkich religii świata”.

Ale interesuje mnie także proceder pisarski wspaniałego opowiadania Tołstoja. Jest inicjacyjne stylistycznie, to znaczy tak od pierwszej do ostatniej strony skomponowane i prowadzone, by czytelnik miał poczucie obrzędowego wnikania w tajemnicę. Tołstoj odprawia jakby mszę, każdy kolejny krótki rozdział wnosi nowy element ustanowionej przez niego liturgii. Aż do kulminacyjnego punktu, gdy Iwan Iljicz odkrywa że „nie ma więcej śmierci, wstrzymuje ostatnie tchnienie, rozpręża się i umiera”.

Inicjacyjne są zresztą wszystkie wielkie opowiadania (zgodnie ze słusznym twierdzeniem Eliade, że „inicjacja stanowi wymiar specyficzny ludzkiej egzystencji”), jakkolwiek wcale nie muszą ocierać się tak bezpośrednio o „pytania religijne”: *Płaszcz* Gogola, *Bartleby the Scrivener* Melville’a, *Metamorfoza* Kafki, *The Turn of the Screw*, *The Aspern Papers* i *The Altar of the Dead* Henry James’a, *Upadek* Camusa, *Zagroda Matryony* Sołżenicyna (wybór celowo „rozrzucony”). Ich forma jest czystym dociekaniem. I do tej szczególnej formy, narracyjnie prawie ubogiej, tęskniłem zawsze pisząc moje opowiadania.

13 sierpnia

Równocześnie dwa listy z Lublina. W pierwszym pisze Piotr Kłoczowski: „Dzięki przyjacielowi, który zrobił imponującą bibliografię, wiem że w czerwcu minęło pięćdziesiąt lat Pana pracy pisarskiej (*Świętokrzyżczyzna w Kuźni Młodych* z 15 czerwca 1935, G.H. uczeń VI klasy gimnazjum im. Stefana Żeromskiego w Kielcach). To imponujące! Jaki szmat drogi przebytej przez te lata...”. Drugi jest od Zdzisława Kudelskiego: „Z przyjemnością zawiadamiam, że moja praca magisterska poświęcona Pańskiemu *Dziennikowi* została obroniona 18 lipca 1985 z wynikiem bardzo dobrym”.

Mam prawo mruknąć, małpując na małą skalę Mistrza Gombrowicza: no no, hm hm, proszę, proszę.

18 sierpnia

Także ostatnia wakacyjna niedziela zaczyna się o świcie od dzwonów. Tym razem otwierają *festa del Santo*, dzisiejsze „święto Świętego” w pobliskim Jaconti. Każda tu wieś ma latem swoje „święto Świętego”, Dragonea obchodziła je na początku lipca.

Rozlepione w okolicy na murach i domach plakaty podają program przygotowany w Jaconti. Dzieli się na *religioso* i *civile*. Gwoździem pierwszego jest przedwieczorna procesja w trójkącie Jaconti-Dragonea-San Vincenzo. Główną atrakcją drugiego, prócz nocnych popisów wokalnie-muzycznych na estradzie przed kościołem w Jaconti, ma być *sagra della trippa*, święto flaków rozdawanych bezpłatnie uczestnikom z wielkiego kotła na placu (w oprawie kolorowej iluminacji ulicznej i z towarzyszeniem fajerwerków). Wysoko nad placem zawiesznie oświetlony reflektorem obraz patronki obu programów święta: *Maria Santissima di Costantinopoli*.

Dzwony o świcie nie są dziś tłem muzycznym dla przebudzonego krajobrazu. Nasz wawóz wypełnia gęsta mgła, dookoła wzgórze wyłaniają się na przemian i nikną w białym pierścieniu chmur. Po miesiącu przeszło żaru i pożarów jedyną prośbą zanoszoną do Najświętszej Panienki Konstantynopolitańskiej będzie błaganie o deszcz. Sucho, sucho, łodygi roślin rozsypują się w palcach na proch, nawet winne grona marszczą się od nadmiaru słońca.

Ileż procesji widziałem na południu Włoch w ciągu minionych czterdziestu lat! Letnie są pogodne, radosne, barwne, z świętym patronem na noszach, feretronami i chorągwiami. Idą krokiem to zwalnianym uroczyście, to przyspieszonym nagle i posuwistym, w takt skocznych często melodii przygrywanych przez orkiestry strażackie. Każą myśleć o „szczęśliwym chrześcijaństwie” z książki Muratoriego: prawdziwe dzieci w bieli, „brodate” w odświętnych ubraniach i sukniach, z wniebowziętymi twarzami. W długim wężu pochodu śpiew wybucha i gaśnie, przeskakuje z ogona do środka, do przodu i z powrotem. Kobiety i dzieci niosą narezcza kwiatów, w rękach niektórych mężczyzn widać oberwane gałązki drzew z owocami.

„Szczęśliwe chrześcijaństwo” ustępuje miejsca dramatyzmu w Procesjach Wielkanocnych. Niezapomniane dwie mam ciągle przed oczami. W Sorrento, przed bitwą pod Monte Cassino, woskową figurę Zdjętego z Krzyża, pokrytą czerwonymi plastrami, niósł tłum w czarnych kapturach; nawet dzieciom po obu stronach pochodu, trzymającym w rączkach duże gromnice, nałożono na główki kaptury ze szparami na wysokości wzroku. Procesja bez twarzy i bez głosów, stąpająca tak wolno jakby musiała z nadludzkim wysiłkiem pokonywać swój naturalny odruch okamienienia.

Dziesięć lat temu Procesja Wielkanocna w Palermo, w najbardziej przestępczej dzielnicy Bagheria. Ta miała w sobie coś z walki, szarpaniny, gwałtownych i wściekłych zapasów. Ogrom-

nego leżącego Chrystusa niosło ośmiu młodych mężczyzn, posuwając się naprzód napiętymi do ostateczności skokami. Gdy wydawało się że nie zdołają już wykonać następnego skoku, że Umarły przydusi do ziemi niosących Swoim ciężarem, zastępowali ich inni. Tysiące spojrzeń wpijały się w tę scenę jak na arenie; każdy skok znaczyło krótkie i słabe uderzenie dzwonu kościelnego. Mógłby to być namalować Caravaggio.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

KOMPLET „KULTURY” (1947-1983) NA MIKROFISZACH

Mikrofiszowa edycja roczników *Kultury* (1947-1983) zawarta jest na 804 fiszach formatu 10,5×14,8 cm. Każdy rocznik jest w oddzielnej kopercie. Całość przesyłana jest w dwóch plastikowych pudełkach, stanowiących podręczną kartotekę.

Cena kompletu roczników *Kultury* wynosi 750 dolarów amerykańskich lub równowartość w innych walutach. Cena pojedynczego rocznika wynosi 25 dolarów amerykańskich (wraz z kosztami przesyłki).

Zamówienia należy zgłaszać do:

IPA, Box 2113, 220 02 LUND, SWEDEN.

Tel. international: 46/46 14-34-16.

Należności należy przekazywać na IPA: Międzynarodowym przekazem pocztowym — POSTGIRO SWEDEN 469050-9 albo przelewem bankowym na SE BANKEN SWEDEN, LUND 5624-0044911 względnie International MO na IPA, Box 2113, 22002 Lund 2, Sweden.

Edycja roczników *Kultury* na mikrofiszach będzie systematycznie kompletowana. Rocznik 1984 już się ukazał.



W najbliższym czasie będzie do nabycia komplet mikrofisz *ZESZYTÓW HISTORYCZNYCH* od początku do roku 1984 włącznie (Nry 1-70) w cenie \$ USA 250,00 lub równowartość. Zgłoszenia można nadsyłać już obecnie do redakcji *KULTURY*.

Czy PRL powinna zostać członkiem MFW?

OD REDAKCJI

Artykuł prof. J. Krakowskiego, który zamieszczamy poniżej, jest napisany z pełną znajomością przedmiotu, którego dotyczy i z rzetelną troską o los gospodarki kraju i narodu. *Kultura*, która drukowała artykuły przeciwne poglądom prof. Krakowskiego — który na tytułowe pytanie daje odpowiedź twierdzącą — nie rości sobie pretensji do posiadania słusznych poglądów na wszystko i zamieszczając artykuł prof. Krakowskiego, chętnie otworzy swe łamy dla dalszej dyskusji na ten temat. Ale — jakkolwiek od opublikowania artykułu prof. Krakowskiego w *Kulturze* do ewentualnego przyjęcia PRL do Funduszu droga jest daleka, a od przyjęcia do udzielenia znaczącej pożyczki dolarowej jeszcze dalsza — już dziś należy postawić pewne pytania, aby sprawa została należycie oświetlona ze wszystkich stron.

A więc czy rzeczywiście zastrzyk kapitału zagranicznego potrzebny jest gospodarce PRL na restrukturyzację? — jak píše prof. Krakowski. Wątpliwości w tej sprawie wynikają stąd, że rząd PRL mógłby taką restrukturyzację przeprowadzić w dużym stopniu przy pomocy krajowych środków, co zresztą obiecuje od pięciu lat. Zamiast tego jednak lokuje podstawową część środków inwestycyjnych w kontynuowanie inwestycji z okresu gierkowski, przez co blokuje wszelkie głębsze przemiany strukturalne, czekając, żeby zostały one sfinansowane przez pożyczki zagraniczne. To jednak wydaje się mało możliwe, jeżeli będzie kontynuowany program reprodukcji dotychczasowej struktury gospodarki. Przy obecnej polityce gospodarczej w Polsce występuje bowiem deficyt siły roboczej, w niektórych branżach tak ostry, że to brak ludzi a nie brak surowców stanowi często najwęższe gardło w produkcji i powoduje, że istniejące maszyny i urządzenia pracują tylko na jedną zmianę. Z kim ma więc pra-

ować zagraniczny kapitał w postaci surowców i maszyn, jeśli nie ma wolnej siły roboczej, jeśli wszyscy, którzy mogli być zatrudnieni, pracują przy kontynuowaniu produkcji o dotychczasowej strukturze, a reforma gospodarcza, która miała spowodować zwolnienie nadwyżek siły roboczej nie dała wyników? Napływowi kapitału zagranicznego w tym stanie rzeczy grozi, że znów ugrzęźnie w konsumpcji lub niedokończonych inwestycjach i zamiast poprawić naszą sytuację, jeszcze ją pogorszy.

Pytanie drugie. Czy prof. Krakowski rzeczywiście sądzi, że gospodarką typu PRL może kiedykolwiek spełnić warunek drugi — wymiennialność waluty i warunek trzeci — stosowanie jednolitego kursu? Z istoty centralnego planowania wynika, że jest to niemożliwe ani teraz, ani nigdy, i zapewnienia władz PRL w tej sprawie nie zasługują na to, by je brać poważnie. Zresztą gdy MFV przyjmował Węgry i Rumunię do swej instytucji, również nie mógł tych warunków traktować na serio — jeżeli jego dyrekcja cokolwiek rozumiała z gospodarki centralnie planowanej. Należy zatem powiedzieć, że Fundusz musi po prostu odstąpić od tych warunków i nie robić tutaj czytelnikom (i Funduszowi) żadnych nadziei.

I trzecia sprawa. Czy rzeczywiście trzeba się godzić (to znaczy, czy MFV powinien się godzić — jak to twierdzi prof. Krakowski) na utrzymywanie kontroli cen i rozdzielnictwa surowców? Autor uważa, że przeszkodą w niezwłocznym uruchomieniu mechanizmu rynkowego jest głębokie niezrównoważenie gospodarki i że wobec tego MFV powinien żądać tylko ograniczenia do niezbędnego minimum rządowych programów operacyjnych i rozdzielnictwa surowców. Ale przecież takie stanowisko pokrywa się całkowicie z uzasadnieniami rządu PRL jego obecnej polityki i prowadzi do utrzymania *status quo*. Przecież rządowe programy operacyjne i centralne rozdzielnictwo surowców (a także dewiz) zawsze były ograniczane do niezbędnego minimum. Poza tym argument, iż nie można wprowadzić mechanizmu rynkowego z powodu niezrównoważenia gospodarki jest niesłuszny ekonomicznie. Właśnie dla zrównoważenia gospodarki trzeba wprowadzić mechanizm rynkowy, który natychmiast zapewni równowagę.

Wreszcie ostatni problem, który wymaga wyjaśnienia. Prof. Krakowski domaga się w imieniu Funduszu wprowadzenia „przejrzystych zasad zakupu dewiz”. Wprowadza to czytelnika (a może i Fundusz) w błąd, sugerując mianowicie, jakoby w Polsce istniał zakup dewiz, a jedynie jego zasady były nieprzejrzyste. Tymczasem prawda jest taka, że w PRL w ogóle nie ma żadnego zakupu (i sprzedaży) dewiz, tylko są przydziały importerom (na podstawie centralnego planu importu) i rekwizycja od eksporterów. Trzeba więc wprowadzić nie przejrzystość zasad, ale sam obrót dewizami.

A teraz zapraszamy Czytelnika do zapoznania się z artykułem.

Sprawa przyjęcia PRL do Międzynarodowego Funduszu Walutowego wzbudza zrozumiałe zainteresowanie. Jest ona jednak powodem licznych nieporozumień, wynikających — jak się zdaje — głównie z nieznamości funkcjonowania tej instytucji. Chodzi o nowe kredyty. Gospodarce polskiej są one bardzo potrzebne. MFV może ich udzielić. Obawa, że zostaną one zmarnowane przez władze PRL jest w pełni uzasadniona, lecz w członkostwie MFV kryją się także pewne szanse na uzdrowienie gospodarki polskiej.

Dlaczego Polsce niezbędne są nowe kredyty?

Według oficjalnych danych zadłużenie PRL w walutach wymiennalnych wyniosło pod koniec 1984 roku 26,8 mld dolarów. Wartość eksportu na Zachód w tym samym roku wynosiła 5,7 mld dolarów, a importu z Zachodu 4,34 mld dolarów. W roku 1983 bilans płatniczy PRL wykazał nadwyżkę ok. 1,5 mld dolarów, a w 1984 prawdopodobnie ok. 1,8 mld. To grubo za mało, by powstrzymać wzrost zadłużenia. Przy obecnej wysokości długu same odsetki od niego sięgają przypuszczalnie 2,8-3 mld dolarów. A zatem by powstrzymać wzrost zadłużenia, trzeba by mieć nadwyżkę bilansu płatniczego w wysokości co najmniej o połowę wyższą niż w ubiegłym roku.

Jeśli byśmy założyli, że eksport wolnodewizowy będzie wzrastał o 10 %, a import tylko o 5 %, to nadwyżkę pozwalającą na powstrzymanie wzrostu zadłużenia gospodarka PRL osiągnęłaby za mniej więcej 4-5 lat. Byłoby całkiem nieźle, gdyby to było możliwe. Takie lub podobne założenie jest jednak obecnie zupełnie nierealne.

Już w 1984 roku import z Zachodu do PRL wzrósł bardziej (bo o 13,2 %) niż eksport na Zachód, który wzrósł o 12,4 %. Ten wzrost importu przyczynił się znacznie do pięcioprocentowego w 1984 roku, pierwszego od 1978 roku wzrostu produkcji przemysłowej. Cały wzrost importu był przy tym przeznaczony na zaspokojenie potrzeb przemysłu. W latach 1982-1984 zbiory w rolnictwie były wyjątkowo dobre. Trzeba więc brać pod uwagę, że spadek produkcji zbóż na skutek wystąpienia mniej sprzyjających warunków atmosferycznych nieuchronnie spowoduje nacisk na zwiększenie importu. Małe są więc szanse na utrzymanie niskiego tempa wzrostu importu, tym bardziej, że import jest wciąż jeszcze około 40 % niższy niż w 1979 roku, a zależność wzrostu produkcji od importu — jak wskazują dane z ubiegłego roku — jest bardzo wysoka. Co więcej, niski poziom wzrostu importu praktycznie wyklucza konieczną ekspansję eks-

portową. Na skutek ograniczenia importu inwestycyjnego gwałtownie wzrasta dekapitalizacja majątku produkcyjnego i pogłębia się zacofanie technologiczne gospodarki polskiej. Wzrost eksportu w latach 1983-1984 był przede wszystkim wynikiem zwiększenia eksportu surowców, a głównie węgla (w 1984 roku eksport węgla wzrósł o 23 %, co umożliwił m.in. strajk górników brytyjskich). Przemysł wydobywczy w Polsce jest jednak na granicy swoich możliwości produkcyjnych i technicznych, a nawet je przekracza, stosując gospodarkę rabunkową. Również prognozy nie wskazują na wzrost popytu na surowce na rynkach światowych. Samo utrzymanie obecnego poziomu eksportu surowców będzie więc trudne. W tej sytuacji utrzymanie wysokiego tempa wzrostu eksportu jest praktycznie niemożliwe, gdyż ze względu na pogarszającą się jakość spada w eksporcie udział maszyn i urządzeń.

Jeśli więc nie nastąpią zasadnicze zmiany w gospodarce, nie przeprowadzi się proeksportowej restrukturyzacji, równocześnie obniżając importochłonność produkcji, a do obu tych celów potrzebny jest mocny zastrzyk zagranicznego kapitału, to zadłużenie będzie rosło. Jeśli zaś nowe kredyty przestaną być udzielane, a stare trzeba będzie spłacać, to dojdzie w najbliższym czasie do ponownego zablokowania rozwoju, a może nawet do gwałtownego spadku produkcji, większego jeszcze niż w latach 1979-1982.

Co wtedy? Wybuch gniewu społecznego? Czyli, jak pisze „Obserwator” w nr. 4 *Kultury*, naród rozerwie i odrzuci ramy polityczno-ustrojowe, które czynią sytuację gospodarczą Polski nierozwiązalną? Strajki takie jak w Sierpniu? Liczenie na to w najbliższym czasie wzbudzać musi poważne wątpliwości. Nawet gdyby społeczeństwo gotowe było do masowego protestu, to ryzyko krwawej rozprawy z narodem jest dziś zbyt duże. Jaruzelski ma już na rękach krew górników z „Wujka”. Wybuch pewnie zmiotłby jego ekipę, tylko kto by sprawował władzę po niej?

Należy więc szukać innego rozwiązania, które może powstrzymać degrengoladę cywilizacyjną Polski. Jeśli bowiem będzie się ona pogłębiać, skutki tego mogą być dla narodu tragiczne. Integracja społeczna stoczy się na najniższy poziom, to znaczy do rodziny zabiegającej o swój elementarny byt biologiczny. Wtedy procesowi sowietyzacji naszego narodu nie będą już w stanie zapobiec poświęcenia w kraju ani gesty za granicą. Jeśli dziś nie można obalić komunistów, to jednak gospodarkę polską trzeba ratować — nawet wtedy, gdyby oznaczało to wzmocnienie ekipy Jaruzelskiego. Jeśli gospodarka będzie rządzona sprawniej nawet przez komunistów, to nie należy się tego obawiać. Politycy nie są oni i tak przegrani i mają w sobie życia na tyle tylko, na ile działają aparaty transfuzyjne ze wschodniej strony. Kiedyś przestaną. Chodzi jednak o to, byśmy wtedy sami nie byli cherlawi.

Jeśli więc istnieje szansa wymuszenia na nich lepszego rządu w wymiarze ekonomiczno-cywilizacyjnym, to trzeba to zrobić. Członkostwo MFW może być dla tego celu wyjątkowo przydatne, a dla ratowania gospodarki polskiej niezbędne. Pod jednym wszakże warunkiem. A mianowicie, że będzie to jedyne możliwe źródło uzyskania przez PRL poważnych kredytów.

Moje rozumowanie opiera się na następujących przesłankach. Ekipa Jaruzelskiego niewątpliwie dobrze orientuje się w sytuacji gospodarczej PRL. Nawet widmo masowych wystąpień jest przez nią brane pod uwagę. Mówił o tym wyraźnie jeden z wicepremierów na konferencji partyjnej w Katowicach na początku tego roku. Muszą oni też zdawać sobie sprawę z tego, że w warunkach pogarszania się poziomu i jakości życia bierny opór społeczeństwa a także demoralizacja będą narastały, a ludzie zmęczeni i pozbawieni nadziei będą pracowali coraz gorzej. Wiedzą też dobrze, że w wyniku powtórnego zablokowania procesów rozwojowych, co może nastąpić już w najbliższym czasie, ich ekipa także straci władzę.

Czy sama świadomość tych zagrożeń może skłonić obecną władzę PRL do podjęcia rzeczywistych reform i konsekwentnej polityki gospodarczej, wyprowadzającej kraj z kryzysu? Pesymizm w tym względzie jest całkowicie uzasadniony. Władze komunistyczne w Polsce, politycznie zawsze słabe, obawiały się reform gospodarczych, bo oznaczały one rozszerzenie kręgu władzy poza w pełni dyspozycyjny aparat partyjny. Po wydarzeniach lat 1980-1981 początkowe zamierzenia reformatorskie ekipy Jaruzelskiego, dysponującej wyjątkowo wąską bazą społeczną, paraliżowane są perspektywą powszechnego odrodzenia się w wyniku reformy różnych niekontrolowanych przez władzę form życia społecznego, które z czasem przerastałyby działania ściśle gospodarcze i wywierałyby nacisk polityczny, którego aparat partyjno-administracyjny nie potrafiłby kontrolować. Ten aparat jest przecież zintegrowany wyłącznie przez obronę swoich interesów grupowych i intelektualnie nie stać go na realizację na niższych szczeblach władzy jakiegokolwiek pozytywnego działania. Posunięcia gospodarcze władz PRL w ostatnim okresie wyraźnie wskazują na odchodzenie od i tak już okrojonej reformy gospodarczej. Propaganda demagogicznie oskarża spekulantów, firmy polonijne a przede wszystkim Zachód i na zapas już nawet MFW za wprowadzenia w polityce gospodarczej.

Ekipa Jaruzelskiego chciałaby ominąć polityczne ryzyko reform, ale to byłoby możliwe tylko w warunkach ustabilizowania gospodarki, powstrzymania spadku stopy życiowej społeczeństwa i uzyskania zdolności do spłacania zagranicznego zadłużenia.

PRL nie otrzymała od państw bloku pomocy w spodziewanej skali. Potrzebne są więc jej nowe kredyty z Zachodu. Bez nich nie da się nawet, jak wskazałem, podtrzymać produkcji na obecnym poziomie. Stąd też zabiegi władz PRL o nowe pożyczki u władz państw zachodnich, szczególnie zachodnioeuropejskich. Te ostatnie, w niewielkim co prawda zakresie, ale pomocy kredytowej udzielają. W rezultacie zadłużenie PRL wciąż rośnie i szansa na jego zahamowanie, a przede wszystkim na zahamowanie degradacji gospodarki polskiej nie widać. Udzielane pożyczki nie są bowiem wystarczające dla strukturalnej przebudowy gospodarki polskiej, a poza tym nie zawierają praktycznie żadnych warunków co do sposobu ich wykorzystania.

Kontynuowanie tego rodzaju polityki nie przyniesie żadnych pozytywnych rezultatów. Dług PRL będzie rósł, a szanse na to, że zachodnie rządy i bankierzy otrzymają z powrotem swoje pieniądze będą maleć. Jeśli zadłużenie PRL będzie wzrastało bez podjęcia w najbliższym czasie zdecydowanych działań uzdrawiających gospodarkę polską, to społeczny koszt zahamowania zadłużenia, który rośnie wraz z wielkością długów, może okazać się nadmierny dla wytrzymałości polskiego społeczeństwa. Wtedy należy się liczyć z tym, że używając przenośni cytowanego już „Obserwatora” — wewnętrzne ciśnienie społeczne będzie w PRL narastać i „jeśli trzeba będzie, to rozerwie i odrzuci owe ramy, które czynią życie Polaków nierozwiązalną kwadraturą koła”.

Nie wolno jednak lekceważyć poglądu, że konsekwencje takiego wybuchu mogą być dla nas Polaków tragiczne. Dla Zachodu byłyby one politycznie bardzo kosztowne. Jeśli więc państwa zachodnie chcą ominąć tego rodzaju perspektywę, a równocześnie odzyskać pożyczone pieniądze, to powinny kategorycznie odmówić rządowi PRL dalszych wątpliwych pożyczek, ale równocześnie spowodować, by MFW mógł zaoferować pomoc w wystarczającej skali, aby dobrze zaprojektowana i wyegzekwowana polityka uzdrowienia gospodarki przyniosła trwałą poprawę. Wtedy ekipa Jaruzelskiego, mając do wyboru polityczne samobójstwo w wyniku nowej wielkiej fali kryzysu gospodarczego lub utrzymanie się przy władzy dzięki kredytom MFW, może zaakceptować postawione warunki udzielenia tych kredytów. Doświadczenie uczy nas wszakże — i znalazło to swój mocny wyraz w postulatach wobec MFW formułowanych w kraju — że kontrola nad wykorzystaniem pomocy Zachodu musi być pełna. Inaczej wzmocni ona tylko aktualną ekipę władzy — chociażby tylko na krótko — a społeczeństwu pożytku nie przyniesie żadnego. Czy MFW może zapewnić sobie gwarancje dobrego wykorzystania swojej pomocy? Odpowiedź na to pytanie rozstrzyga kwestię tytułową.

Funkcjonowanie MFW

Przystępując do MFW, państwo zobowiązuje się do: 1. udzielania Funduszowi najważniejszych informacji o jego gospodarce, 2. znoszenia ograniczeń płatniczych czyli wprowadzania wymienialności swojej waluty w zakresie transakcji bieżących, 3. stosowania jednolitego kursu walutowego, 4. unikania dwustronnych umów płatniczych.

Trzy ostatnie wymogi mogą być osiągnane stopniowo. Dwa ostatnie oznaczają zobowiązanie do niedyskryminacyjnego traktowania innych członków Funduszu. Pominęliśmy kilka innych zobowiązań, które z punktu widzenia celu tego artykułu są mniej istotne.

Decyzja o przyznaniu członkostwa nie zawiera żadnych warunków wstępnych, przyjmuje się po prostu, że państwo przystępujące do Funduszu będzie wypełniało zobowiązania zawarte w Umowie o MFW. Decyzje te określają natomiast wysokość udziału członkowskiego od którego zależy ilość głosów jakimi członek dysponować będzie w Funduszu oraz wysokość pomocy finansowej, jakiej może się od Funduszu spodziewać. Część tego udziału, określana jako transza rezerwowa, wpłacana jest w walutach wymienialnych (obecnie około 20 % udziału) a reszta w walucie własnej.

Rolą Funduszu jest m.in. nadzorowanie wypełniania przez członków ich zobowiązań oraz ułatwianie przystosowania ich gospodarki do wymogów MFW. Temu właśnie służy mechanizm pomocy finansowej, jaką Fundusz może udzielać państwom członkowskim. Celem tej pomocy jest umożliwienie poprawy sytuacji płatniczej bez uciekania się do wprowadzania ograniczeń płatniczych. Pomoc finansowa Funduszu może być też przeznaczona na wsparcie polityki znoszenia praktyk restrykcyjnych. Technicznie pomoc polega na tym, że Fundusz sprzedaje państwu członkowskiemu potrzebne mu waluty obce za jego własną walutę. Po pewnym czasie waluta własna członka podlega odkupowi. Jest to więc rodzaj kredytu.

Pomoc finansową MFW można podzielić na: bezwarunkową, słabo uwarunkowaną i silnie uwarunkowaną.

Pomoc bezwarunkowa to właśnie wspomniana wyżej transza rezerwowa, którą można podjąć z Funduszu nawet natychmiast po jej wpłaceniu. Wystarczy stwierdzenie potrzeby ze względów płatniczych. Użycie tej transzy jest bezpłatne. Do pomocy bezwarunkowej należy też zaliczyć otrzymywane od MFW tzw. Specjalne Prawa Ciągnięcia (SDR-y), przydzielane członkom, gdy

Fundusz uzna, że wskazane jest globalne uzupełnienie rezerw walutowych.

Pomoc słabo uwarunkowana to tzw. pierwsza transza kredytowa, czyli zakup w Funduszu za walutę własną walut wymienialnych innych państw do wysokości 25 % udziału członkowskiego, oraz dwa inne udogodnienia finansowe — uruchamiane, gdy trudności płatnicze członka powstały na skutek przyczyn od niego niezależnych. Łącznie, w ramach tego rodzaju pomocy, można uzyskać w Funduszu dewizy obce w wysokości równej 175 % udziału członkowskiego. Obecnie opłata za korzystanie z tych udogodnień i pierwszej transzy kredytowej wynosi 7 % rocznie. Uruchamiając środki w ramach pomocy słabo uwarunkowanej Fundusz może postawić pewne warunki wstępne, lecz w zasadzie wystarczy tylko udokumentowanie potrzeby i wyjaśnienie przyczyn wystąpienia trudności płatniczych oraz zobowiązanie podjęcia kroków przywracających równowagę płatniczą.

Pomoc silnie uwarunkowana może być bardzo znaczna, bo obecnie aż do wysokości równej 450 % udziału członkowskiego, nie licząc wykorzystanych udogodnień słabo uwarunkowanych. Terminy jej spłat są dogodne, bo rozłożone na okres rozpoczynający się w trzy lata lub cztery i pół roku po dokonaniu zakupów walut obcych w Funduszu i trwający od 7 do 10 lat. Część tej pomocy udzielana jest ze środków pożyczanych przez Fundusz. Dlatego jest ona droższa niż pomoc słabo uwarunkowana, ale wciąż jej koszty są zdecydowanie niższe niż koszt pożyczek na rynkach prywatnych. Przy rzeczywiście dużych sumach zakupów obcych dewiz w Funduszu może to mieć istotne znaczenie.

Pomoc w ramach udogodnień silnie uwarunkowanych udzielana jest wyłącznie jako poparcie finansowe konkretnego programu uzdrowienia gospodarki. Tylko po przedstawieniu takiego programu, bardzo szczegółowo negocjowanego z Funduszem, wniosek o przyznanie pomocy jest przez Fundusz rozpatrywany. Decyzja Funduszu o udzieleniu pomocy zawierać musi nie tylko warunki jej udzielenia, ale także terminy kolejnych rat pomocy oraz kryteria realizacyjne (*performance criteria*) zastosowanej polityki gospodarczej, czyli przedstawionego przez zainteresowany rząd programu uzdrowienia gospodarki. Kryteria realizacyjne są w praktyce raczej „warunkami ograniczającymi” stosowanej polityki gospodarczej niż miernikami jej sukcesu. Miernikiem takim jest z reguły poprawa sytuacji płatniczej. Każda następna rata pomocy uruchamiana jest wyłącznie wtedy, gdy Fundusz uzna na podstawie wcześniej uzgodnionych i zawartych w decyzji o przyznaniu pomocy kryteriów, że program uzdrawiania gospodarki jest rzeczywiście realizowany.

Przed uruchomieniem każdego w zasadzie rodzaju pomocy

dla państwa członkowskiego MFW może uzależnić ją od stopnia wypełniania przez to państwo ogólnych zobowiązań członkowskich, które wyżej wymieniliśmy, a więc także od sposobu zarządzania gospodarką w zakresie, jaki podlega jurysdykcji Funduszu.

Uwarunkowanie pomocy finansowej (*conditionality*) Funduszu można zatem zdefiniować jako sposób powiązania tej pomocy z realizacją zobowiązań członkowskich i celów MFW.

Zasady przyznawania pomocy przez MFW wskazują więc na to, że Fundusz posiada szerokie możliwości kontroli wykorzystania udzielonej członkom pomocy finansowej. Czy jednak pomoc ta może być wystarczająca, a kontrola skuteczna w odniesieniu do państw, których system ekonomiczny jest notorycznie niesprawny i całkowicie niespójny z wymogami MFW?

Rumunia w MFW

Chodzi tu oczywiście o gospodarki kierowane w oparciu o scentralizowany system planowania nakazowo-rozdziałowego. System taki nie pozwala na wypełnianie podstawowych zobowiązań członkowskich MFW. Ceny i kursy w tym systemie są sztuczne, dyskryminacja handlowa i płatnicza jest powszechna, a jej stopnia nie da się nawet zmierzyć. Do tego jakość publikowanych materiałów statystycznych marna, a tajność informacji ekonomicznej nadmierna.

W 1972 roku przyjęto jednak do MFW Rumunię, której system ekonomiczny był w tym czasie — i, jak się okaże, pozostał — typowym stalinowskim systemem centralnego planowania.

Fundusz stoi jednak na stanowisku uniwersalizmu i można przypuszczać, że motywem przyjmowania państw o gospodarce nakazowo-rozdziałowej jest m.in. właśnie opcja, jaką stwarza członkostwo Funduszu, który może poprzeć reformy swoimi zasobami.

W stosunku do Rumunii to założenie okazało się złudne. Do 1980 roku Rumunia nie publikowała nawet wymaganych informacji ekonomicznych. Udzielała ich poufnie Funduszowi, ale w rzetelność tych informacji można wątpić. Zmiany w systemie zarządzania rumuńską gospodarką w latach 1972-1979 były mało istotne, a nawet tylko pozorne. W końcu lat 70-tych ujawnił się krach gospodarki rumuńskiej — nie mniejszy niż gospodarki PRL i spowodowany podobnymi przyczynami.

Dopiero w krytycznej sytuacji w 1981 roku — kiedy to Rumunia nie była w stanie spłacać swego zadłużenia — przedstawiła Funduszowi skorygowaną wersję planu na lata 1981-1985 wraz z zamierzoną reformą cen i kursów jako program, na pod-

stawie którego uzyskała zgodę MFW na pomoc w wysokości 1.100 mln SDR, czyli 300 % swego ówczesnego udziału.

W następnych latach władze rumuńskie drastycznie ograniczyły konsumpcję, środkami administracyjnymi zmniejszyły import, wyłączyły z produkcji wiele gałęzi, produkcja poważnie spadła, lecz wyduszono nadwyżki płatnicze, pozwalające terminowo spłacać zagraniczne długi. Wtedy władze rumuńskie wycofały się z reform. W związku z tym nie wykorzystały też ostatniej raty pomocy przewidzianej decyzją MFW na 1984 rok (288 mln SDR). Na ostatnim zjeździe partyjnym podkreślono, że nie należy spodziewać się żadnej „decentralizacji” gospodarki rumuńskiej, gdyż spowodowałoby to tylko chaos ekonomiczny. Być może jest to słuszna opinia w obecnej gospodarczej sytuacji tego kraju. Ale co będzie później?

Z punktu widzenia samego MFW pomoc finansowa MFW dla Rumunii okazała się nie całkiem zmarnowana, gdyż niewątpliwie pomogła ona Rumunii zlikwidować zaległości w spłaceniu kredytów. Fundusz jako strażnik międzynarodowych stosunków walutowych i finansowych musi dbać także o sprawne funkcjonowanie międzynarodowego systemu kredytowego.

Jednak z punktu widzenia, który nas tu przede wszystkim interesuje — a mianowicie wpływu Funduszu na przebudowę struktury gospodarczej i zreformowanie systemu zarządzania gospodarką w PRL po uzyskaniu członkostwa — ocena skutków pomocy MFW dla Rumunii nie jest zachęcająca. Oczywiście naiwnością byłoby sądzić, że decyzje kredytowe MFW nie są motywowane politycznie. Na decyzje te mają największy wpływ te państwa, których waluty są przez Fundusz udostępniane innym, czyli przede wszystkim Stany Zjednoczone i ich najważniejsi sojusznicy. Otwarte załamanie się gospodarki rumuńskiej mogło np. zdaniem tych państw zmienić zagraniczną politykę państwa „sojalizmu w jednej rodzinie”, stąd też i warunki pomocy Funduszu dla Rumunii mogły być mniej kategoryczne jeśli chodzi o system zarządzania niż te, jakie Fundusz może i powinien stawiać PRL.

Władze PRL nie są — jak się wydaje — w stanie sięgnąć po „rozwiązanie” rumuńskie, czyli zwiększone jeszcze represje i dalszą pauperyzację społeczeństwa. Zadłużenie PRL jest trzykrotnie wyższe niż Rumunii i pomoc finansowa umożliwiająca tylko spłatę zobowiązań zagranicznych w najbliższych latach nie przyniesie żadnego trwałego rozwiązania problemu długów PRL. Zagrożenie bankructwem (tzn. niewypłacalnością) PRL, ze wszystkimi groźnymi skutkami tego także dla międzynarodowego systemu kredytowego, zostanie, bez uruchomienia procesów rozwojowych w Polsce, przesunięte w czasie, ale nie zlikwidowane. Warunki

udzielenia pomocy ze strony MFW muszą więc być oparte na tych przesłankach.

PRL w MFW

Przypuszczalny udział członkowski PRL w MFW wyniesie około 1,2 mld SDR. Praktycznie oznacza to, że PRL będzie mogła uzyskać w Funduszu pomoc słabo uwarunkowaną, w przybliżeniu w wysokości 300 mln dolarów, a w przypadku wydarzeń pogarszających bilans płatniczy lecz niezależnych od władz PRL (jak np. zwyżka cen importowanego zboża lub obniżenie eksportu na skutek powodzi itp.), jeszcze dodatkowo — w ramach tzw. udogodnień kompensacyjnych — sumę zbliżoną do poniesionych strat.

Pomoc silnie uwarunkowana teoretycznie, przy wyżej wymienionym udziale członkowskim, mogłaby osiągnąć kwotę 5,4 mld SDR czyli obecnie mniej więcej tyle samo w dolarach amerykańskich. Środki w ramach tej pomocy — jak już wiemy — byłyby udostępniane w ratach w ciągu 3 lat. Przy czym każda kolejna rata uruchomiana byłaby tylko po stwierdzeniu przez MFW, że przedstawiony program uzdrowienia gospodarki jest realizowany. Spłata tej pomocy następowałaby w okresie 7 do 10 lat rozpoczynając się w 3 lub 4 i pół lat po jej otrzymaniu.

Fundusz nie określił, jak dotąd, swej polityki wobec państw członkowskich o gospodarce centralnie kierowanej. Można więc — znając ogólne zasady udzielania przez Fundusz pomocy oraz swoistą sytuację gospodarki polskiej — sformułować z pewną swobodą sugestie dotyczące warunków udzielania przez Fundusz pomocy finansowej dla PRL.

Po przystąpieniu do MFW i po wpłacie udziału członkowskiego PRL należy się spodziewać niemal natychmiastowego wykorzystania transzy rezerwowej. To nie jest jednak faktycznie pomoc Funduszu, gdyż chodzi tu o kwotę w walutach wymienialnych wpłaconą przez członka w tych walutach. Niewątpliwie PRL chciałaby też uzyskać jak najszybciej pomoc w ramach pierwszej transzy kredytowej, czyli pomoc słabo uwarunkowaną. W tym przypadku Fundusz powinien jednak swoją pozytywną decyzję wstępnie uzależnić od wypełnienia przez PRL jednego z podstawowych ogólnych obowiązków członkowskich, a mianowicie przekazania Funduszowi informacji wymaganych przepisami Umowy o MFW.

Należy przypuszczać, że MFW negocjując przystąpienie PRL do MFW zażądał szczegółowych danych dotyczących sytuacji płatniczej, struktury handlu zagranicznego oraz opisu systemu planowania i zarządzania w szczególności w sferze stosunków ekono-

micznych z zagranicą. Te właśnie informacje winny być Funduszowi udostępnione na podstawie art. VIII dział 5 Umowy o MFW. Bez publikowania takich informacji międzynarodowa współpraca finansowa nie jest w ogóle możliwa. Bez takich informacji Fundusz nie może przeprowadzić rzetelnej analizy sytuacji gospodarczej państwa członkowskiego, zwracającego się o pomoc, ani ustalić właściwych warunków tej pomocy. By uniknąć nieporozumień, musimy od razu zwrócić uwagę, że państwo członkowskie nie jest zobowiązane do udzielania MFW informacji dotyczących poszczególnych przedsiębiorstw, tzn. np. opłacalności ich produkcji, zamierzeń rozwojowych itp. MFW bez upoważnienia państwa członkowskiego nie może też publikować udostępnionych mu materiałów, dotyczących zamierzonych zasadniczych zmian strukturalnych w gospodarce członka, chociaż oczywiście musi być o nich informowany.

Z różnych wypowiedzi nieoficjalnych wynika, że sprawa udostępnienia przez PRL Funduszowi odpowiednich informacji jest w dalszym ciągu przedmiotem negocjacji. Otóż PRL publikuje od 1981 roku bilans płatniczy, lecz nie publikuje danych dotyczących rezerw walutowych, struktury zadłużenia, wysokości należnego oprocentowania za otrzymane i refinansowane kredyty. Te informacje powinny być ujawnione. Ze względu na niejednorodność cen i rozliczeń władze PRL powinny też publikować odrębnie bilans płatniczy w walutach wymiennalnych, w walutach niewymiennalnych i w złotych. Nie można oczywiście liczyć na to, że PRL udostępni szczegółowe dane dotyczące stosunków z ZSSR i innymi krajami bloku. To powodować będzie utrudnienia w analizowaniu zmian zachodzących w gospodarce. Niemniej i bez tych informacji, na podstawie danych dotyczących produkcji i wymiany z Zachodem, można stosunkowo dobrze oszacować efekty stosowanej polityki gospodarczej, którą MFW poprze swoimi zasobami.

Zła jakość lub niekompletność danych statystycznych nie wyzerpuje jednak sprawy informacji o gospodarce PRL, jakie MFW powinien otrzymać. Równie ważny jest pełny opis istniejącego systemu zarządzania gospodarką oraz wszystkich wprowadzanych do niego zmian. Najważniejsze z punktu widzenia przepisów MFW jest tu stwierdzenie zakresu i sposobu subwencjonowania eksportu i importu oraz faktycznego różnicowania kursu walutowego. Stosowanie bowiem tego rodzaju praktyk powoduje dyskryminację płatniczą innych członków MFW, co jest sprzeczne ze zobowiązaniami członkowskimi Funduszu.

Należy więc postulować, aby jeśli już nie przed przyjęciem PRL do MFW, to na pewno przed zgodą Funduszu na podjęcie operacji na rzecz PRL — Fundusz dysponował wystarczającymi

informacjami dla opublikowania specjalnego raportu wszechstronnie przedstawiającego gospodarke PRL. Jest precedens tego postulatu. Otóż MFW opublikował szczegółowy raport dotyczący gospodarki węgierskiej tuż przed przyjęciem Węgier do Funduszu (P. de Fontnay i in., *Hungary: An Economic Survey, IMF Occasional Paper* Nr 15, IMF, 1982).

Dopiero po uzyskaniu opinii na temat tego raportu od niezależnych ekonomistów polskich oraz po jego ewentualnym uzupełnieniu Fundusz mógłby przyznać PRL prawo do ubiegania się o pomoc słabo uwarunkowaną.

Przejdźmy teraz do zasad udzielania pomocy silnie uwarunkowanej. To jest sprawa kluczowa, gdyż z jej uruchomieniem wiążemy nadzieje na podjęcie reform oraz strukturalnych przekształceń w gospodarce polskiej.

Podniesione muszą być tu dwie kwestie. Pierwsza dotyczy wstępnych warunków uruchomienia takiej pomocy, druga — konstrukcji kryteriów oceny polityki gospodarczej, którymi Fundusz powinien posługiwać się udzielając PRL dużej pomocy finansowej. Zarówno wstępne warunki udzielenia pomocy silnie uwarunkowanej jak i kryteria realizacyjne powinny być oparte na następującej przesłance: tzw. częściowe reformy systemu nakazowo-rozdziałczego, to jest wprowadzanie nowych elementów zarządzania przy utrzymaniu centralnego nakazowego charakteru planowania, są nieskuteczne, to znaczy nie prowadzą do trwałego przekształcenia systemu zarządzania gospodarką w sposób przybliżający ten system do wymogów wynikających z Umowy o MFW.

Reforma skuteczna z tego punktu widzenia musi mieć odpowiednią „masę krytyczną”, a konkretnie jej podstawą musi być obalenie nakazowego centralnego planowania i w konsekwencji tego uruchomienie mechanizmów rynkowych.

Jeśli jednak weźmiemy pod uwagę obecne realia gospodarki polskiej, to natychmiastowe uruchomienie mechanizmu rynkowego w pełnej skali (choć bez rynku kapitałowego) nie wydaje się możliwe. Przeszkodą są: głębokie niezrównoważenie gospodarki, nadmierna koncentracja produkcji, wysoki stopień monopolizacji oraz słabość sektora eksportowego, co ogranicza możliwość wykorzystania importu konkurencyjnego dla oddziaływania na kształtowanie się cen krajowych i poprawę struktury produkcji.

Trzeba więc założyć konieczność utrzymania w pewnym okresie kontroli niektórych cen, a nawet częściowego rozdzielnictwa surowców i materiałów, np. dla utrzymania produkcji ważnej ze względów społecznych. Uwzględniając wszystkie te okoliczności, wstępnym warunkiem przyznania przez MFW dużej pomocy PRL

powinno być przeprowadzenie następujących zmian w systemie zarządzania:

- ograniczenie do niezbędnego minimum tzw. rządowych programów operacyjnych i związanego z nimi rozdzielnictwa surowców i materiałów, gdyż stanowi to ukrytą formę nakazowego planowania oraz deformuje ceny,
- ograniczenie do niezbędnego minimum kontroli cen i szerokie powiązanie ich za pomocą jednolitego kursu z cenami wolnodewizowymi handlu zagranicznego (np. według zasad węgierskich),
- określenie przejrzystych zasad zakupu dewiz,
- wprowadzenie przejrzystych i zgodnych z wymogami GATT i MFW reguł subwencjonowania eksportu i importu.

Dopiero po spełnieniu tych warunków Fundusz powinien negocjować z PRL kształt programu gospodarczego, który mógłby być poparty dużą pomocą Funduszu.

Nim przejdziemy do przedstawienia zarysu takiego programu, musimy jeszcze zauważyć, że wymienione warunki wstępne udzielenia pomocy nie wyczerpują kwestii systemowych, jakie powinny być zawarte w decyzji Funduszu o uruchomieniu dużej pomocy dla PRL.

Jeśli bowiem założyliśmy konieczność utrzymania na okres przejściowy pewnego zakresu centralnej bezpośredniej regulacji, to pozostaje sprawa jej znoszenia. Kwestie dotyczące sfery regulacyjnej powinny zatem znaleźć się także wśród kryteriów realizacyjnych, od których wypełnienia zależeć będzie uruchamianie kolejnych rat pomocy Funduszu. Należałoby przyjąć co najmniej dwa takie kryteria:

- likwidację programów operacyjnych,
- znoszenie kontroli cen.

Pomoc jest rozkładana na trzy lata. Wypełnianie zaproponowanych kryteriów realizacyjnych mogłoby być warunkiem uruchomienia pomocy w drugim i trzecim roku.

Dla uzyskania dużej pomocy finansowej z Funduszu nie wystarczy przedstawienie samych tylko zmian systemowych. Pomoc musi być uzasadniona programem uzdrowienia sfery realnej w gospodarce. Należy zatem sformułować cel takiego programu oraz wskazać, jakie kryteria realizacyjne dotyczące sfery realnej w gospodarce powinien Fundusz przyjąć w swojej decyzji o udzieleniu pomocy dla PRL na podstawie tego programu.

Zasadniczym celem programu uzdrowienia gospodarki polskiej powinna być poprawa pozycji płatniczej, przede wszystkim przez uruchomienie trwałego procesu wzrostu eksportu. Celami komplementarnymi, umożliwiającymi realizację celu głównego, po-

winny być: obniżenie materiałochłonności i energochłonności produkcji, obniżenie kapitałochłonności wzrostu gospodarczego oraz uzyskanie równowagi gospodarczej — szczególnie na rynku konsumpcyjnym, co pozwoli na uruchomienie silnego systemu motywacyjnego. Osiągnięcie tych wszystkich celów możliwe będzie tylko wówczas, gdy nastąpią zasadnicze przekształcenia strukturalne w gospodarce polskiej. W obecnych warunkach polskich, jak uczy doświadczenie, daleko idące przekształcenia strukturalne można uruchomić gdy rozdział zasobów produkcyjnych dokonywać się będzie w decydującym stopniu na rynku. Tylko wtedy zasoby trafiać będą do tych producentów, którzy potrafią je najefektywniej spożytkować. Stąd też w sferze realnej za kryterium realizacyjne w kolejnych latach uzgodnionego programu Fundusz przyjąć powinien górny pułap wydatków inwestycyjnych budżetu centralnego. I równocześnie określić górny pułap ekspansji kredytowej banków. Takie kryteria mogą spowodować, że inwestycje nie będą nadmierne, a ich struktura powinna zdecydowanie się polepszać. Nadwyżka bilansu handlowego, a ta przez wiele lat będzie w Polsce konieczna, jest inflacjogenna. Równocześnie dla pobudzania wzrostu wydajności pracy potrzebny jest wzrost dochodów. Tworzenie dobrego rynku, silny wzrost produkcji i usług konsumpcyjnych staje się więc koniecznością. By wyegzekwować zmiany strukturalne umożliwiające równowagę na rynku konsumpcyjnym, Fundusz powinien przyjąć dodatkowo *specjalnie w tym celu skonstruowane kryteria realizacyjne.*

Duże możliwości poprawy sytuacji płatniczej PRL kryją się w zwiększaniu produkcji rolniczej. Polska powinna stać się eksporterem netto żywności i uzyskiwać z tego tytułu spore nadwyżki. Negocjując program gospodarczy z PRL, Fundusz może więc uzależnić przyznanie pomocy także od odpowiednio dużego udziału nakładów na rolnictwo i produkcji związanej z rolnictwem w całości nakładów. I w tym właśnie sensie, pośrednio, MFW może wpływać na skierowanie części swojej pomocy dla potrzeb polskiego rolnictwa. W tym miejscu trzeba też zauważyć, że członkostwo MFW umożliwi przystąpienie do Banku Światowego. Bank ten finansuje konkretne projekty inwestycyjne. Można się spodziewać, że w przypadku Polski Bank Światowy mógłby partycypować właśnie w inwestycjach rolniczych. Spraw związanych z uczestnictwem w Banku Światowym nie będziemy jednak rozwijać ze względu na i tak już zbyt duże rozmiary tego artykułu.

Ostatnią kwestią jest faktyczna wielkość pomocy, jaką PRL mogłaby otrzymać z MFW. Potrzeby uzdrowienia gospodarki PRL wymagają wielkich środków, ale wielkie są także obawy co do woli i zdolności właściwego wykorzystania pomocy Fundu-

szu przez władze PRL. Dlatego też należałoby postulować aby — w przypadku zgody władz PRL na przyjęcie zbliżonych do przedstawionych wyżej zasad i warunków udzielenia pomocy — Fundusz podjął decyzję gotowości udzielenia pomocy PRL w wysokości współmiernej do potrzeb, ale zarazem umożliwiającej sprawowanie skutecznej kontroli nad sposobem spożytkowania tej pomocy. Początkowo mogłaby być to kwota np. 2 mld SDR rozłożona na roczne raty. Gdyby zaś realizacja przyjętych celów była sprawna i kryteria realizacyjne spełniane, to już w drugim czy w trzecim roku obowiązującego programu Fundusz mógłby zgodzić się na negocjacje następnej pomocy. Wówczas już łącznie do wysokości górnego limitu, czyli przypuszczalnie 5,4 mld SDR.



Propozycje zawarte w tym artykule nie wyczerpują oczywiście wszystkich problemów związanych z negocjowaniem pomocy MFW dla gospodarki polskiej, by była ona skuteczna i korzystna dla polskiego społeczeństwa. Jednak zarówno przedstawiony mechanizm udzielania pomocy przez MFW jak i zaproponowany w oparciu o jego znajomość zarys możliwych do postawienia warunków pomocy Funduszu dla gospodarki polskiej wyraźnie wskazują, że Fundusz jest w stanie zagwarantować właściwe wykorzystanie udzielonej pomocy. Przyznanie członkostwa PRL należy zatem poprzeć. Tym bardziej, że samo jego uzyskanie nie daje władzom PRL jeszcze żadnego atutu, tworzy natomiast potencjalne szanse rozwiązania spraw, które dzisiaj należy uznać za najważniejsze. Oczywiście tylko wtedy, gdy polityka MFW wobec PRL będzie oparta o przesłanki zbliżone do tych, jakie tu postulujemy.

Nie można jednak wykluczyć, że MFW potraktuje sprawę pomocy dla Polski głównie jako potrzebę doraźnych interwencji ułatwiających spłacanie choćby tylko części wcześniej zaciągniętych przez władze PRL kredytów. Takie stanowisko będzie prawdopodobne, gdyby niewywiązywanie się z zaciągniętych zobowiązań groziło poważniejszymi zaburzeniami międzynarodowego systemu bankowego lub mogło spowodować niechciane przez Zachód napięcia polityczne.

Złudzeniem może się też okazać nadzieja na to, że obecne władze PRL są zdolne do przeprowadzenia koniecznych reform gospodarczych i wykażą wolę ratowania polskiej gospodarki, czyli przyszłości polskiego narodu.

Jędrzej KRAKOWSKI

Canberra, czerwiec 1985

Artykuł drukujemy bez wiedzy i zgody Autora i w wersji skróconej —
R e d a k c j a.

O hejnale, sygnale, tradycji i nowoczesności

Jednym z najbardziej znanych i szanowanych polskich zabytków jest hejnał z Wieży Mariackiej. Charakterystyczną, wpół przerwana melodię pięciu dźwięków rozłożonego trójdźwięku durowego grano od niepamiętnych czasów co godzinę z wieży kościoła Mariackiego w Krakowie. Współcześnie nadają ją w południe wszystkie polskie rozgłośnie radiowe. Legenda wiąże dzieje hejnału z najazdem Tatarów w średniowieczu, jednak pierwsze pewne o nim wiadomości pochodzą z wieku XVI. Najprawdopodobniej hejnał dotarł do Krakowa z Węgier, za Ludwika Węgierskiego. *Hajnal* znaczy po węgiersku *świt* i wiąże się ze zwyczajem pobudki, wygrywanej na trąbce w obozach wojskowych.

Przez wiele lat radiowa transmisja hejnału poprzedzana była sygnałem: serią krótkich dźwięków, oznaczających z dokładnością do pół sekundy moment południa. Sygnał nadawany był z Obserwatorium Astronomicznego Uniwersytetu Jagiellońskiego przez dyżurnego astronoma, który patrząc na wskazówkę wyregulowanego chronometru, naciskał w odpowiednich momentach klucz telegrafu. Ostatnio władze poleciły zaprzestać nadawania sygnału, podając jako powód zbyt małą jego dokładność, niedostosowaną, ich zdaniem, do potrzeb naszej nowoczesnej gospodarki. Południowy sygnał czasu zastąpiono o wiele dokładniejszym sygnałem nadawanym z Polskiego Komitetu Normalizacji, Miar i Jakości — takim samym, jaki od wielu lat można było w Polskim Radio usłyszeć o innych pełnych godzinach. Czy istotnie nasza gospodarka nie mogłaby prawidłowo funkcjonować bez tej zmiany? Czy nie jest to jeszcze jeden przykład na to, jak iluzoryczny postęp niszczy rzeczywiste bogactwo tradycji?

Tradycja ustalania dla potrzeb publicznych dokładnego momentu południa a także związek sygnału z hejnałem są w Krakowie znacznie starsze niż historia radiofonii. Od 13 lutego 1838 roku każdego południa dawano sygnał chorągwią z dachu Obser-

watorium, oznajmiając w ten sposób strażakowi na Wieży Mariackiej, że pora rozpocząć granie hejnału. Zwyczaj ten utrzymał się, mimo trudności, przez prawie całe stulecie. Wiadomo, że magistrat Krakowa odmówił w roku 1894 podwyższenia pensji „za dawanie południowego sygnału z Obserwatorium” służącemu Obserwatorium, Michałowi Windakowi. Pensja wynosiła wówczas 10 złotych rocznie. Złe opłacany Windak dawał sygnał chorażgią aż do śmierci we wrześniu 1905 roku¹. Prawdopodobnie zwyczaj dawania sygnału utrzymał się aż do wybuchu wojny w 1914 roku lub nawet kilka lat dłużej.

Wiadomo, że mniej regularna służba czasu istniała w Obserwatorium Jagiellońskim od dnia jego założenia w maju 1792 roku. Założył je Śniadecki w ramach reformy Kołłątaja i przy poparciu Komisji Edukacji Narodowej. Nie jest ono zresztą najstarszym polskim obserwatorium. Działające w Gdańsku obserwatorium Jana Heweliusza, założone na dachu jego domu w roku 1640, spalone w roku 1679 i odbudowane w roku 1682, przestało istnieć po śmierci Heweliusza w roku 1687. Natomiast nieprzerwanie od 1753 roku działa Obserwatorium Astronomiczne Uniwersytetu Wileńskiego. O jego założeniu tak opowiada, słowami Podkomorzego, Adam Mickiewicz w VIII księdze *Pana Tadeusza*:

*I ja astronomiji słuchałem dwa lata
W Wilnie, gdzie Puzynina, mądra i bogata
Pani, oddała dochód z wioski dwiestu chłopów
Na zakupienie różnych szkielek i teleskopów.
Ksiądz Poczobut, człek sławny, był obserwatorem
I całej Akademii naonczas rektorem...*

Świetność dzisiejszej polskiej astrofizyki wywodzi się zresztą bardziej z Wilna niż z Krakowa. Władysław Dziewulski, przez wiele lat związany z uczelnią krakowską, został pierwszym w Polsce Niepodległej dyrektorem Obserwatorium Wileńskiego. Wprowadził on do prac kierowanego przez siebie obserwatorium rewolucyjną na owe czasy tematykę badań, z którą zetknął się w Getyndze, współpracując przez dwa lata z Karolem Schwarzschildem, najwybitniejszym niemieckim astronomem².

1. Historia się powtarza. Obserwatorium Astronomiczne Uniwersytetu Jagiellońskiego otrzymywało jedynie symboliczną zapłatę za nadawanie radiowego sygnału. Choć pieniądze były małe, w słynącym ze skrupulatności w kwestiach finansowych Krakowie stały się one powodem do absurdalnych plotek. Nie ma potrzeby ich tu omawiać.

2. Rodzina Dziewulskich bardzo zasłużyła się polskiej nauce. Starszy brat Władysława, Stefan, był ekonomistą, profesorem Wolnej Wszechnicy, wydawcą (1904-1928) *Ekonomisty* i autorem I tomu pracy o dziejach i topografii Warszawy. Młodszy brat, Wacław Michał, był profesorem fizyki Uniwersytetu Stefana Batorego oraz wybitnym pedagogiem i organizatorem życia naukowego w Wilnie.

Tradycje astronomiczne w Krakowie są, oczywiście, znacznie starsze niż dzieje założonego przez Jana Śniadeckiego obserwatorium. W wieku XV liczni uczeni europejscy uważali Akademię Krakowską za jedną z najlepszych szkół astronomii. Charakterystyczna jest ocena bawarskiego historyka, Hartmanna Schedela, który tak pisze w wydanej w Norymberdze w roku 1493 *Kronice świata*: „Kraków jest więc sławnym miastem Sarmacji, którą zowią Polską (...) w pobliżu tej świątyni [św. Anny] znajduje się olbrzymia szkoła zaludniona i znana z wielu znakomitych i bardzo uczonych mężów, gdzie wykłada się wiele nauk wyzwolonych, jak nauka wymowy, poezji i filozofii. Na najwyższym poziomie stoi tam jednak studium astronomiczne. Pod tym zaś względem (jak wiem z relacji wielu osób) w całych Niemczech nie ma szkoły sławniejszej”. To właśnie w Krakowskiej Akademii studiował, w tym mniej więcej czasie, Mikołaj Kopernik, poznając podstawy astronomii, gruntownie później przez niego zreformowane. W rozdziale poświęconym anomaliiom w ruchu Księżyca w jego epokowym dziele *O obrotach sfer niebieskich* znajduje się zagadkowa wzmianka, iż wszystkie obserwacje dokonane przez niego we Fromborku odniesione są do południka Krakowa, ponieważ „Kraków i Frombork leżą na tym samym południku”. Otóż nie ma żadnej wątpliwości, iż Kopernik wiedział, że Kraków i Frombork leżą na różnych południkach, odległych od siebie, wedle dzisiejszej miary, o dwadzieścia kilometrów. Najbardziej oryginalny i krytyczny biograf Kopernika, Arthur Koestler, w swej znakomitej książce *The Sleepwalkers*, która niestety ciągle nie doczekała się polskiego wydania, tłumaczy to naiwne (naukowo nieistotne) fałszerstwo ogromnym kultem Kopernika dla Krakowskiej Akademii.

Po drugiej wojnie światowej Obserwatorium Astronomiczne Uniwersytetu Jagiellońskiego rozpoczęło nadawanie sygnału 10 lutego 1946 roku, dzięki inicjatywie i staraniom Kazimierza Korczyńskiego. Opowiada się w Krakowie, iż publiczność była tak zaszokowana oszałamiającą wówczas dokładnością (pół sekundy), iż wysłano reporterkę Polskiego Radio do dyrektora Obserwatorium, Tadeusza Banachiewicza, z pytaniem, jak taka dokładność jest w ogóle osiągalna? „To bardzo proste — odpowiedział Banachiewicz. — Rodzina Szlemielów ma od kilku pokoleń sklep zegarmistrzowski na Rynku. Nikt w całym Krakowie nie ma tak dokładnych zegarów, jak Szlemiel. Przechodzę tamtędy idąc rano do Obserwatorium i nastawiam swój kieszonkowy zegarek podług zegara Szlemiela. Stąd wiem, kiedy nadać w południe sygnał przez radio”. Uradowana reporterka pobiegła na Rynek: „Panie Szlemiel, jak pan nastawia swój zegar?”. „To bardzo proste — odpowiedział Szlemiel. — Każdego dnia słucham w południe sygnału nadawanego przez radio i według niego nastawiam swoje zegary”.

Anegdota ta jest mądrzejsza, niż mogłoby się na pozór wydawać. W istocie nie ma żadnej innej metody odmierzenia upływu czasu jak porównywanie wskazań wielu „dobrych” zegarów

i wnioskowanie z ich wzajemnej zgodności, że zegary te dokładnie mierzą czas.

Obecnie za najdokładniejsze zegary uważa się wprowadzone w roku 1955 zegary cezowe (atomowe). Od roku 1969 istnieje oficjalna rachuba czasu oparta o *czas atomowy*. Jest ona koordynowana przez Biuro Czasu (*Bureau International de l'Heure*) z siedzibą w Paryżu, które wykorzystuje średnią wskazań wielu zegarów cezowych, znajdujących się w różnych krajach. W roku 1979 istniały 123 takie zegary. Dokładność czasu atomowego szacowana jest na jedną milionową sekundy na rok.

Obracająca się wokół swej osi Ziemia także jest „zegarem”, mierzącym *czas astronomiczny*. Ponieważ obrót Ziemi nie jest całkiem jednostajny, lecz podlega drobnym, niemożliwym obecnie do przewidzenia wahaniom, czas atomowy i czas astronomiczny nieznacznie różnią się od siebie.

Czas urzędowy jest hybrydą czasu atomowego i czasu astronomicznego: jego sekundy są identyczne z sekundami atomowymi, lecz ich numeracja dostosowana jest do czasu astronomicznego. Reguła jest taka, że jeśli różnica pomiędzy czasem atomowym a czasem astronomicznym zbliża się do 0,7 sekundy, Biuro Czasu w Paryżu, po uprzednich zapowiedziach, wprowadza do czasu urzędowego sekundę przestępną (dodatnią lub ujemną). Jest nią tradycyjnie ostatnia sekunda w ostatniej minucie w dniu 31 grudnia lub 30 czerwca. Tak więc na przykład ostatnia minuta niedzieli 30 czerwca bieżącego roku liczyła nie 60, lecz 61 sekund.

W wielu specjalistycznych laboratoriach naukowych dokładna i jednostajna rachuba czasu jest nieodzowna. Laboratoria takie nie korzystają z sygnałów czasu nadawanych w normalnych programach radiowych (czas urzędowy), lecz odbierają sygnał czasu nadawany w sposób ciągły przez wyspecjalizowane radiostacje, pracujące w dokładnie określonych pasmach częstotliwości, na ogół niedostępnych w zwykłych odbiornikach. Na terenie Polski dobrze odbierany jest sygnał nadawany w pasmie 10 megaherców, czyli 30 metrów.

Także nawigatorzy używają specjalnego systemu, zwanego LORAN-C, złożonego z kilkudziesięciu radiostacji rozrzuconych po wybrzeżach mórz i oceanów. Radiostacje nadają, na falach dłuższych niż używane w publicznej radiofonii, specjalnie zsynchronizowane sygnały czasu, pozwalające ustalić położenie okrętu z dokładnością lepszą niż pół kilometra.

Sygnały czasu nadawane przez normalne rozgłośnie radiowe nie nadają się do tych celów. Ich przeznaczenie jest zresztą zupełnie inne. Służą one szerokim rzeszom użytkowników, dla których dokładność pół sekundy na dobę aż nadto wystarcza: publiczności regulującej ręczne zegarki i budziki, kolejarzom, pocście...

Bawiłem się kiedyś, podróżując koleją z Monachium do Frankfurtu, sprawdzaniem, jak dokładnie mój pociąg trzyma się rozkładu jazdy. Prędko odkryłem, że odjazd ze stacji określony jest zwykle z dokładnością do jednej sekundy, natomiast przy-

jazd na stację z dokładnością do kilku minut. Fraszka, igraszka, zabawka blaszana — jak mówi poeta. My w Polsce mamy teraz, nawet w samo południe, sygnał czasu znacznie, znacznie dokładniejszy od żenującej w nowoczesnej gospodarce dokładności półsekundowej. Ogromny postęp! Szkoda tylko, że nasze pociągi spóźniają się nie o milionowe części sekundy, a o całe godziny.

Szkoda też sygnału, jego tradycji związanej z dziejami naszego najstarszego uniwersytetu, z hejnałem, z rozsypującą się naszą dawną stolicą. Dzisiaj, gdy sygnału już nie ma, notuję dla pożytku i nauki przyszłego Czytelnika, żart wymyślony przez krakowskich astronomów:

Mówi Polskie Radio w Krakowie. Zbliża się południe. Obserwatorium Astronomiczne Uniwersytetu Jagiellońskiego poda czas z dokładnością do pół sekundy. Piąty, ostatni sygnał oznacza punktualnie godzinę dwunastą.

Bip... bip... bip... bip... bip.
Dla tych z Państwa, którzy nie zdążyli nastawić zegarków, powtarzamy:

Bip... bip... bip... bip... bip.

Marek Artur ABRAMOWICZ

APEL NA RZECZ CDN

Trzy litery — „ciąg dalszy nastąpi” — pojawiły się na murach miast polskich jako odpowiedź na ogłoszenie stanu wojennego. Wymowa ich była jednoznaczna: walka o wolne słowo, prawa obywatelskie i związkowe, będzie trwała do zwycięstwa. Nic też dziwnego, że niezależne wydawnictwo, które powstało w styczniu 1982, te trzy litery przyjęło jako symbol i nazwę. CDN do dziś opublikował około 50 dzieł głównie z dziedziny historii najnowszej i publicystyki politycznej, a także utwory literackie, teki zdjęć i kasety z nagraniami.

To wielkie osiągnięcie w warunkach konspiracji wymaga nie tylko poświęcenia, odwagi i wytrwałości, ale także pomocy materialnej i technicznej.

Sprawy wydawnicze i pomocy CDN na Zachodzie wzięło w opiekę Wydawnictwo PULS, a prac z tym związanych podjęła się Teresa Afeltowicz, były żołnierz Armii Krajowej. Korespondencję w sprawach CDN, czeki lub międzynarodowe przekazy pieniężne (wystawione na CDN Press) prosimy kierować na:

**PULS PUBLICATIONS,
BCM Box 697, London WC1N 3XX, United Kingdom**

Wiersze

Jacek *BIEREZIN*

NOWY JORK, TRZYNASTY MIESIĄC ROKU, GODZINA DWUDZIESTA PIĄTA

Chciałbym opisać samotność w Nowym Jorku
 Czy ktoś już kiedyś opisał samotność w Nowym Jorku
 Kiedy jest druga w nocy i gasną
 światła niektórych wieżowców na Manhattanie
 I jest tylko nocna tajemnicza muzyka Central Parku
 I Billie Holiday wznosi się w ciemności
 w podmuchach lepkiego powietrza
 I pozostaje spacer do Rockefeller Center
 lub do pomnika Shermana na Placu Wielkiej Armii
 z nią lub bez niej
 żeby przypomnieć sobie poprzedni spacer
 Gdzieś daleko neony zachodzą za horyzont
 wysyłając promienie rdzawego światła
 Na szóstej alei zaczepiają mnie dwie prostytutki
 czarna ma czerwone szpilki i długie błyszczące nogi
 które powinny się znaleźć w Museum of Modern Art
 Jej oczy przypominają obraz Roy Lichtensteina „Drowning Girl”
 Murzyn w zielonym wełnianym berecie
 proponuje mi marihuanę albo kokainę
 Uśmiecham się do nagłego skojarzenia tej sytuacji
 ze starą piosenką „Wczoraj ty, a dzisiaj kokaina...”

Czy mógłbym po nocach pisać szczęśliwe wiersze miłosne
 Szczęśliwe wiersze miłosne pisze się w łóżku
 Sympatycznym atramentem Paznokciem na ciele
 Zębami na ramionach
 Tak naprawdę o miłości pisze się z żalu
 Bólu Nieukojenia Odwzajemnionej tęsknoty
 Bojąc się czasem że przyjdzie miłość i wszystko to zagarnie

Schowa w tajemnicy jej rąk
 W jej ustach Ustach odkrywcy świata
 W muzyce buszu między jej udami
 w jej bezgranicznie zapamiętałych oczach
 w oczach które się zapomniały
 Jest trzynasty miesiąc roku
 Jest milczenie którego staram się nie słyszeć
 Jest godzina dwudziesta piąta
 na którą się umówiliśmy
 i która żyje w nas wiecznymi ogniskami ulic
 żarówkami tego miasta płonącymi pod niebem
 Fajerwerkami ciepła i jasności
 wokół których skupiają się ludzie
 Każdy dzień rodzi Cię na nowo
 I mój kraj staje się innym krajem
 A ja mam znowu dwadzieścia dwa lata
 i jestem Kolumbem któremu pomnik
 postawiono w Central Parku
 Gdybym nie odkrył Ameryki
 mieszkałabyś gdzieś bliżej
 w Europie
 Nazywałabyś się Emmą Bovary
 lub Julią nieskończenie jasną Julią
 Chciałbym opisać samotność w Nowym Jorku
 Osiemnaste piętro domu na Central Park West
 Wyciszone światła Ciemnozielone ściany
 Piękny żyjący czarny fortepian
 jak okaz z Muzeum Historii Naturalnej
 i balkon z widokiem na księżycowy park
 i mleczną drogę Manhattanu
 Po północy przychodzi czasem Lechoń i mówi:
 „Nie rób tego, nie powtarzaj błędów,
 i tak powiedzą, że zagrałeś się na śmierć”.
 W tym mieście miłość jest obok śmierci
 Bardziej niż gdziekolwiek miłość jest obok śmierci
Śmierć dla każdego ma jakieś spojrzenie
Przyjdzie śmierć i będzie miała twoje oczy
 A może tak jest we wszystkich miastach świata
 We wszystkich portach i hotelach
 gdzie zatrzymała się miłość
 I może na tym polega życie

Chciałbym opisać samotność w Nowym Jorku
 Którego dzisiaj nie lubię Jak nie lubię
 żółtych samotnych taksówek które zabierają cię

z Manhattanu na drugi brzeg Wschodniej Rzeki
 jak nie lubię pięćdziesięcioletnich hippisów
 i Allena Ginsberga za jego wiersze o Rosji
 pacyfizmie i Ameryce która nas zdradza
 i sprężynowych noży Portorykańczyków
 i wielkości formy i metafizyki braku
 miasta bez białego lub czarnego Boga
 miasta z szatanem zaczajonym w uliczkach wschodniego Harlemu

Chciałbym opisać samotność w Nowym Jorku
 I muszę jutro go polubić
 bo przecież to twoje miasto
 w którym z tobą rozpaczam że pozabijano tylu Indian
 że wyniszczono stada brodatych bizonów
 że nikt nie zabił wcześniej Buffalo Billa
 że Patt Garret jest na tropie i zastrzeli Billy Kida
 Z tobą w kinie na czterdziestej drugiej ulicy
 cieszę się z całą salą gdy Sylwester Stallone
 długą serią rozbija radziecki helikopter w Wietnamie
 a po filmie „Łowca jeleni” śpiewam „God bless America”

Z tobą ciągle jeszcze jadę pięknym Verrazano Bridge
 I promienie słońca rozpryskują się o stalowe liny
 i spadają snopem iskier na twoje włosy
 I pozostawiam ci niemilknące oddalenie
 i — być może — mocniejsze bicie serca
 kiedy przychodzi niewidzialny listonosz
 który przynosi hieroglify mojej krwi serdecznej
 owinięte w białe bandaż koperty

Nowy Jork - Paryż, sierpień 1985

Jacek BIEREZIN

Archiwum polityczne

O nowej polityce wojskowej USA

ROZMOWA Z RICHARDEM N. PERLE

Richard Perle, od marca 1981 asystent i prawa ręka Sekretarza Obrony Stanów Zjednoczonych Caspara Weinbergera d/s bezpieczeństwa międzynarodowego — uważany jest za czołowego „jastrzębia” Waszyngtonu. Po ustąpieniu Jeane Kirkpatrick ze stanowiska ambasadora amerykańskiego przy ONZ jest on praktycznie ostatnim członkiem administracji Reagana reprezentującym zdecydowanie twardą linię polityczną w stosunkach z Sowietami. Perle z ramienia Pentagonu zajmuje się formułowaniem polityki amerykańskiej w rozmowach rozbrojeniowych.

Poniższego wywiadu Richard Perle udzielił specjalnie dla redakcji *Kultury*.

Robert KOSTRZEWA: — *Wielu badaczy stosunków Wschód-Zachód uważa, że właściwie od roku 1945 państwa zachodnie i Związek Sowiecki toczą ze sobą wojnę, w której Zachód albo ulega naciskom sowieckim, albo przegrywa walkowerem. Na ile, Pana zdaniem, zmieniła się sytuacja w okresie rządów Ronalda Reagana?*

Richard PERLE: — Obecny rząd wprowadził wiele zmian zarówno ideologicznych, jak praktycznych. Jednym z oczywistych tego przykładów jest interwencja Stanów Zjednoczonych w Grenadzie. Udało się tu zmienić utarty scenariusz całkowitej uległości wobec Związku Sowieckiego i zezwalania mu na zmiany rządów innych państw drogą dywersji albo interwencji jego podwładnych, np. Kubańczyków. Innym przykładem nowej postawy obecnego rządu USA, zdecydowanego odpowiadać siłą na siłę, jest zmiana polityki wobec Ameryki Środkowej. Nasza przewaga polega na

tym, że komunizm właściwie wszędzie na świecie ostatnio bardzo stracił na popularności — choć oczywiście ciągle znajdują się przywódcy polityczni czy pojedynczy ludzie, których osobiste kariery i fortuny możliwe są wyłącznie dzięki sowieckiemu poparci. Sądzę jednak, że pogłębiające się rozczarowanie do komunizmu i niesłabnąca atrakcyjność systemów demokratycznych i gospodarki wolnorynkowej, a także nasze niewątpliwe sukcesy w różnych dziedzinach życia stanowią olbrzymi kapitał Zachodu. Aby skutecznie przeciwdziałać sowieckiej dywersji, musimy jednak częściej wykorzystywać nasze mocne strony. Jest to jedna z tendencji, widocznych w polityce Reagana od początku jego urzędowania. Zmiana polega na ponownym podjęciu wojny ideologicznej ze Związkiem Sowieckim oraz ciągłym podkreślaniu różnic między demokratycznym a totalitarnym systemem wartości. Liczy się nie tylko nasze stanowisko w Grenadzie czy Ameryce Środkowej, ale także nasza argumentacja i to, co sami o sobie myślimy. Nie znaczy to, aby koncepcja Reagana odniosła pełny sukces. Wciąż jeszcze istnieje — szczególnie w Kongresie — dość duża opozycja wobec takiej linii politycznej. Chociaż z drugiej strony pewne ostatnie uchwały Kongresu, np. uchylenie przeprowadzonej kiedyś przez senatora Clarka poprawki ustawodawczej, zabraniającej Stanom Zjednoczonym popierania angolskiej Unity, są oznaką pewnej zasadniczej zmiany.

R.K.: — Łatwo zrozumieć przywiązanie społeczeństw Zachodu do nadziei na korzyści płynące z rokowań i umów rozbrojeniowych. Dążenie do wszelką cenę do zmniejszenia napięć, jakie zawsze towarzyszą okresom konfrontacji z ZSSR, sprawia jednak, że racjonalne podejście do problemu rozbrojenia na Zachodzie jest niezwykle trudne. Tymczasem Związek Sowiecki podpisuje pakt rozbrojeniowe tylko wtedy, kiedy prowadzą one do umocnienia sowieckiej dominacji i wpływów (przeważnie kosztem Stanów Zjednoczonych i ich sojuszników). Czy podpisane z Sowietami umowy o ograniczeniu zbrojeń, tzn. pakt o ograniczeniu systemów przeciwrakietowych (ABM) oraz układy o ograniczeniu broni strategicznej (SALT I i SALT II) przyczyniły się w jakimkolwiek stopniu do zwiększenia obronności Zachodu przed atakiem sowieckim?

R.P.: — Nie. W przypadku umowy SALT I o broni strategicznej było to oczywiste już w roku 1972, kiedy pakt ten podpisano. Było to również jasne w 1979 roku, kiedy z kolei podpisywaliśmy układ SALT II, a staje się coraz bardziej widoczne w przypadku umowy ABM, z którą specjaliści od rozbrojenia wiazali wiele — jak się okazało złudnych — nadziei, a której postanowienia łamane są przez Związek Sowiecki ustawicznie.

Retoryczny umiar towarzyszący okresowi *détente* obliczony był na uspienie Zachodu i zamaskowanie niebywałego wprost wzrostu sowieckiej potęgi wojskowej. Myślę, że zachodni sceptycyzm co do sowieckich pokojowych zamiarów jest dzisiaj nieporównanie większy, niż na początku lat siedemdziesiątych. Przypuszczam, że trzeba było przejść przez doświadczenia *détente*, aby w końcu dojść do wniosku, że Sowietom przyświecają w rokowaniach rozbrojeniowych zupełnie inne cele niż nam. Nauczyliśmy się też, że Związek Sowiecki zupełnie inaczej prowadzi negocjacje. Strona amerykańska przedkłada stronie sowieckiej mniej więcej zbalansowane propozycje, które biorą pod uwagę sowieckie potrzeby obronne. Propozycje Związku Sowieckiego natomiast są bez wyjątku jednostronne i w ogóle nie liczą się z potrzebami amerykańskimi. Sowietci mają nadzieję, że w trakcie rozmów uda im się zredukować różnice w stanowiskach obu stron i uzgodnić umowę, która — jeśli nawet są w niej jakieś punkty styczne między zrównoważonym stanowiskiem amerykańskim a jednostronnym stanowiskiem sowieckim — okazuje się w 80 % korzystna dla Związku Sowieckiego. Natomiast w tych nielicznych przypadkach, kiedy układy SALT I i SALT II mogłyby mieć pewien marginalny wpływ na wstrzymanie rozwoju sowieckiego potencjału wojskowego, Związek Sowiecki najzwyczajniej nie dotrzymywał postanowień. Zgadzałem się zatem z Panem, że potrzeba wytchnienia od walki ze Związkiem Sowieckim, postrzeganej przez społeczeństwa zachodnie jako kosztowna i niekończąca się, prowadzi do nierealistycznych i naiwnych oczekiwań, że rokowania rozbrojeniowe przyniosą jakieś korzyści. Dlatego też kolejny układ byłby w dużym stopniu zabiegiem kosmetycznym i pozwoliłby Sowietom na kontynuowanie ekspansji militarnej. Rząd Reagana taką ewentualność odrzucił — choć inne ekipy w podobnych sytuacjach ulegały.

R.K.: — Czy mógłby Pan wymienić przypadki łamania przez Związek Sowiecki obowiązujących dziś układów rozbrojeniowych?

R.P.: — Dzielą się one na dwa rodzaje. Do pierwszego zaliczyłbym pogwałcenia — nazwijmy to — ducha porozumień: stronie sowieckiej udaje się narzucić taką interpretację danej umowy, która pozwala dowolnie odczytywać poszczególne jej punkty. Oto jeden z wielu przykładów: porozumienie o broni ofensywnej z 1972 roku zabrania przebudowy wyrzutni rakietowych przystosowanych do lekkich balistycznych rakiet międzykontynentalnych na wyrzutnie do rakiet ciężkich. Umowa jednak niezbyt jasno określa, która rakietka należy jeszcze do kategorii lekkich, a która jest już rakietką ciężką. Natychmiast po podpisaniu układu Zwią-

zek Sowiecki rozpoczął próby z raketami balistycznymi, które niby nie należą do kategorii ciężkich. ZSSR czekał dosłownie do ostatniej chwili, a kiedy umowa była już podpisana, mógł — dzięki nieprecyzyjności niektórych jej sformułowań — spokojnie rozpocząć próby z rakieta, która miała trzykrotnie większą siłę niszczącą niż zastąpiona przez nią rakietą lekka. Inny przykład: zgodnie z porozumieniem ABM obie strony zgodziły się, że pewnego typu radary rozmieszczane będą tylko w obrębie określonych układem stref doświadczalnych. W trakcie rokowań ustalono, że amerykańskimi strefami doświadczalnymi będą White Sands w stanie Nowy Meksyk oraz atol Kwajalein na Oceanie Spokojnym, a sowiecką strefą będzie Sary Szagan. Dwa czy trzy lata później Związek Sowiecki rozpoczął budowę radaru na Kamczatce. Zwróciliśmy się wtedy do Sowietów z pytaniem, dlaczego tam go budują, skoro umowa przewiduje rozmieszczanie tego typu radarów w strefach doświadczalnych. Sowietci na to: — Kamczatka jest strefą doświadczalną. My: — W trakcie rozmów ustaliliśmy przecież, gdzie znajdować się będą strefy doświadczalne i z pewnością nie było tam mowy o Kamczatce. Odpowiedź sowiecka: — Mogliście sobie to ustalać, my natomiast nigdy nie powiedzieliśmy, że Kamczatka nie jest strefą doświadczalną. Pogwałceń tego typu jest bardzo wiele — częściowo na skutek tego, że Zachód i Stany Zjednoczone nie dość stanowczo reagowały na tendencyjne interpretacje tego czy innego postanowienia. Budowa radaru w Krasnojarsku jest bezsprzecznym złamaniem układu ABM i zwiastuje zakrojony na szeroką skalę rozwój sowieckiego systemu obrony, opartej na użyciu rakiet balistycznych. Związek Sowiecki utrzymuje, że radar ten przeznaczony jest do monitorowania przestrzeni kosmicznej. Radary przewidziane do tego rodzaju zadań zwrócone są jednak w kierunku nieba, czyli poziomo, zaś radar w Krasnojarsku skierowany jest pionowo w kierunku horyzontu. Sowietci mają zresztą inne radary, przystosowane do badania kosmosu; radar krasnojarski w ogóle się do tego nie nadaje.

Zgodnie z układem SALT II Związek Sowiecki miał prawo zbudować jeden nowy typ międzykontynentalnych rakiet balistycznych (ICBM). W chwili obecnej Sowietci mają już dwa nowe typy, a z biegiem czasu zainstalują niewątpliwie rakiety trzeciego, a prawdopodobnie i czwartego typu. Reasumując, amerykańscy specjaliści od rozbrojenia stwierdzili niedawno, że Związek Sowiecki dopuścił się jak dotąd pogwałcenia siedemnastu postanowień różnych umów zawartych ze Stanami Zjednoczonymi.

R.K.: — *Czy zawieranie umów o ograniczeniu zbrojeń traktować można jako cel sam w sobie, czy też należy je uzależnić od sze-*

rzej rozumianego zachowania się Sowietów na świecie, włączywszy w to pogwałcenia praw człowieka w Związku Sowieckim czy też politykę sowiecką wobec narodów wschodniej Europy?

R.P.: — Pana pytanie wydaje mi się bezprzedmiotową abstrakcją. Naturalnie, że powiązanie sprawy rozbrojenia z innymi aspektami stosunków między Wschodem a Zachodem czy też między Stanami Zjednoczonymi a Związkiem Sowieckim jest absolutnie niezbędne. Stosunki ze Związkiem Sowieckim zależą nie tylko od tego, jak Sowietci traktują Zachód, ale też od tego, jak odnoszą się do swoich sąsiadów, a nawet jak traktują własne społeczeństwo. Powiązanie tych spraw jest nie tylko niezbędne, ale i słuszne. Nie wyobrażam sobie, jak można zawierać umowy w próżni.

R.K.: — *Zgadzam się z Panem, nie jest to jednak bezprzedmiotowa abstrakcja chociażby dlatego, że licznym rzeszom Amerykanów (w tym wielu wpływowym politykom) wydaje się ciągle, że warto prowadzić rokowania i układać się ze Związkiem Sowieckim nawet w zupełnym oderwaniu od rzeczywistości.*

R.P.: — Oddzielenie sprawy rozbrojenia od szerszej pojętych stosunków między Stanami Zjednoczonymi a Sowietami jest karygodnym błędem. Tylko gdyby były jakiegokolwiek podstawy do przypuszczenia, że stosunki między nami mogą się stać mniej wrogie — tzn. gdyby Sowiety złagodziły swą politykę międzynarodową — można by myśleć o zawieraniu umów rozbrojeniowych. Chociaż nawet i wtedy powinniśmy zachować wielką ostrożność. Sytuacja w Związku Sowieckim może ulegać raptownym zmianom. Nie powinno być zatem w ogóle mowy o rozbrojeniu w oderwaniu od szerszego kontekstu. Sowietci chcieliby oczywiście traktować sprawę ograniczenia zbrojeń jako cel sam w sobie, głównie dlatego, że nie mają zamiaru wyzbyć się swych ekspansjonistycznych ambicji czy złagodzić totalitarnego systemu władzy. Powiązanie rozbrojenia z innymi aspektami polityki sowieckiej wymaga więcej sceptycyzmu i wyczekiwania ze strony Zachodu. Jest to bardzo niewygodne dla Sowietów, przyzwyczajonych w przeszłości do łatwych sukcesów.

R.K.: — *Od trzynastu lat, czyli od chwili podpisania układu o ograniczeniu systemów przeciwrakietowych (ABM), oficjalna polityka Stanów Zjednoczonych wystawiała właściwie społeczeństwo amerykańskie na sowiecki atak nuklearny. W przemówieniu z 23 marca 1983 Ronald Reagan zaproponował Amerykanom nową strategię, mianowicie stworzenie systemu obrony kosmicznej, zwanego Inicjatywą Obrony Strategicznej (SDI), a popularnie*

„wojnę gwiazdną”. Jakie są podstawowe przesłanki polityczne i wojskowe tego planu?

R.P.: — Należy sobie przede wszystkim zdać sprawę, że układ ABM nie oznaczał — jak wielu ludzi sądziło — że Stany Zjednoczone i Związek Sowiecki zgodziły się na wzajemne wystawienie się na atak nuklearny (sowiecki system masowej obrony przeciwlotniczej nie świadczy przecież o tym, że Związek Sowiecki zamierzał otworzyć swe terytorium amerykańskim bombowcom). Sowiety rozwinęły i stopniowo udoskonaliły system obrony przeciwlotniczej w obrębie Moskwy, rozbudowały system broni do zwalczania łodzi podwodnych, a co najważniejsze masowo produkowały broń ofensywną, wierząc w skuteczny atak i jednoczesne zniszczenie amerykańskich sił (jest to jedyne wytłumaczenie rozwoju i rodzaju sowieckich sił ofensywnych). Ponadto pracują od lat 60-tych nad własnym systemem obrony kosmicznej, a od podpisania układu ABM robią to ze wzmożoną energią. Sowietai podpisali układ ABM tylko dlatego, że w 1972 roku nie byli jeszcze w stanie zainstalować skutecznego systemu obrony przeciw-rakietowej. Chodziło im o wstrzymanie badań i prób amerykańskich i wykorzystanie czasu od momentu podpisania umowy na dogonienie Ameryki. Udało im się to zresztą w tych wszystkich dziedzinach, w których Stany Zjednoczone miały w 1972 roku niewątpliwą przewagę, tzn. w budowie radarów oraz sterowanych pocisków przechwytyjących, które mogą być używane w przeciwrakietowym systemie obrony typu ziemia-powietrze. Sowietai przystąpili też ze zdwojoną energią do pracy nad bardziej egzotycznymi technologiami, z radością wykorzystując sytuację, w której Amerykanie stanęli w miejscu a oni prowadzili dalej badania i produkcję. Trwało to do marca 1983 roku, kiedy Reagan doszedł do wniosku, że rozwój cywilnych technologii w Stanach Zjednoczonych — takich jak przetwarzanie danych, przetwarzanie sygnałów dźwiękowych i świetlnych, technologii sensorów oraz wyzwalania i przenoszenia energii — stawia nas w niezwykle dogodnej sytuacji, w której wykorzystać możemy zaplecze cywilnej techniki do budowy systemu obrony strategicznej. Nic więc dziwnego, że Sowietai — kontynuując własne badania — próbują dziś za wszelką cenę zatrzymać podobne doświadczenia w Stanach Zjednoczonych. Osobiście uważam, że możliwe jest zbudowanie systemu skutecznej obrony strategicznej. Sowietai prześcignęli wprawdzie Amerykę w badaniach nad technologiami przekazywania energii oraz bronią laserową, ale nie tylko nie są w stanie jej wyprodukować, lecz nie znają też koniecznej do instalacji tego systemu obrony technologii przetwarzania danych. Związek Sowiecki próbuje więc ponownie, tak jak w 72 roku,

zmniejszyć różnicę między własnym i amerykańskim poziomem rozwoju technicznego. Nie potrafi jednak stworzyć szerokiej bazy technicznej, koniecznej do przystosowania zdobyczy nauki do sprawnego systemu wojskowego. Przyczyną tego, jak łatwo się domyślić, jest fiasko sowieckiej gospodarki.

R.K.: — *Sprzymierzeńcy Stanów Zjednoczonych niechętnie rzekliby się udziału w pracach nad systemami obrony kosmicznej, głównie dlatego, że amerykańskie inwestycje w nowe technologie umożliwiają im dość znaczne zyski. W oświadczeniach oficjalnych kraje zaprzyjaźnione z Ameryką opowiadają się jednak ciągle za polityką odstraszenia, której podstawową zasadą jest tzw. równowaga strachu (MAD). Jak Pan sądzi, dlaczego Japonia i kraje zachodnioeuropejskie, a nawet Watykan, nie wierzą w plan budowy systemu obrony strategicznej?*

R.P.: — Wielu ludzi wypowiada się na temat technologii, niewiele z tego rozumiejąc. Naukowcy, przesądzający o możliwości systemu obrony strategicznej nie mają zielonego pojęcia, na jakim etapie znajdują się badania programu SDI. Ich wiedza techniczna i kompetencje dotyczą innych dziedzin, a co więcej nie mają oni dostępu do kluczowych informacji. Środowisko naukowe w Stanach Zjednoczonych i w wielu innych krajach wykazało w tym względzie zadziwiająco ignorancję, wyciągając wnioski na temat obrony strategicznej bez elementarnej nawet wiedzy na ten temat. Naukowcy zachowują zwykle umiar nawet w kwestiach, dotyczących ich własnych specjalności, w tym jednak przypadku ferują gołosłowne wyroki, nie znając podstawowych danych i nie mogąc przeprowadzić doświadczeń ani prób. Myślę jednak, że z biegiem czasu obecny postęp techniczny stanie się oczywisty i należy się spodziewać, że wielu naukowców zmieni stanowisko co do programu SDI. Jeżeli chodzi o rządy zachodnie, które zdają się nadal wierzyć w zasadę tzw. równowagi strachu, to postawę tę należy w znacznej mierze przypisać głębokiej niewiedzy co do skali sowieckich zbrojeń ofensywnych i defensywnych (przy jednoczesnym braku zachodniego systemu obrony). Postawa ta jednak również się zmienia. Jest w gruncie rzeczy dziwne, że rządy zachodnioeuropejskie — których bezpieczeństwo zależy w dużej mierze od gotowości Ameryki do użycia w obronie Europy broni nuklearnej — uważają, że Stany Zjednoczone powinny powstrzymać się od jej użycia nawet w krytycznym momencie ataku sowieckiego na Anglię, Francję czy Niemcy. Sądzę, że wielu Europejczyków nie przemyślało tej sprawy dość wnikliwie. Z perspektywy ostatnich kilkunastu miesięcy jestem jednak przekonany, że większość naszych sojuszników w taki czy inny sposób weźmie

udział w programie SDI. W miarę rozwoju wypadków rządy państw zaprzyjaźnionych ze Stanami Zjednoczonymi dojdą do wniosku, że zasada równowagi strachu nie jest najlepszą drogą do utrzymania równowagi sił między oboma wielkimi mocarstwami.

R.K.: — *Czy mógłby Pan wymienić najistotniejsze osiągnięcia techniczne, które doprowadzić mogą do skutecznego systemu obrony strategicznej?*

R.P.: — Program SDI jest szeroko zakrojonym eksperymentem nad zastosowaniem różnych technologii — w tym wielu tzw. cywilnych — do obrony strategicznej. Jedną z najważniejszych kwestii jest przetwarzanie danych. Niszczenie sowieckich rakiet i pocisków raketowych wymaga niezwykle szybkiego przetwarzania olbrzymiej ilości informacji o tysiącach obiektów, wystrzelianych z naziemnych wyrzutni raketowych, poruszających się potem w przestrzeni kosmicznej i wracających do atmosfery ziemskiej. Niezbędna jest też technologia sensorów [radarów], konieczna do wykrywania i śledzenia toru rakiet oraz nakierowywania na nie pocisków niszczyielskich. Podam Panu przykład niebywałego wprost tempa rozwoju tej akurat dziedziny techniki. Sygnały przekazywane przez radary ostrzegawcze przetwarzane są przez bardzo nowoczesne komputery. Do obsługi dużego radaru ostrzegawczego potrzebny jest obecnie pokój pełen komputerów. W końcu lat osiemdziesiątych wyposażenie konieczne do przetworzenia tej ilości danych można będzie zmniejszyć do wielkości klocka dla dzieci. Kłoczek taki będzie wykonywał ok. 40 milionów operacji na sekundę, podczas gdy zastąpione przez niego centrum komputerowe może wykonać jedynie 4 miliony operacji na sekundę. Bardzo ważne badania prowadzone są też w dziedzinie laserów oraz technik przekazywania energii. Ostatnie doświadczenia wykazały, że można kontrolować wpływ tłumienia atmosferycznego na siłę wiązki laserowej.

Dzisiejsze badania koncentrują się zatem wokół technologii przetwarzania danych oraz technologii sensorów i wykrywania poruszających się z olbrzymią szybkością obiektów. Wielu ludzi błędnie uważa, że program SDI ma na celu zbudowanie nad Stanami Zjednoczonymi kopuły, uniemożliwiającej przedarcie się sowieckich rakiet nad terytorium Ameryki. W istocie chodzi raczej o zbudowanie kopuły nad Związkiem Sowieckim, aby uniemożliwić rakietom z ładunkiem nuklearnym opuszczenie terytorium sowieckiego. Różnica to dość istotna. Najbardziej interesujące pomysły programu SDI polegają na niszczeniu sowieckich rakiet zaraz po ich wystrzeleniu, czyli w momencie, kiedy znaj-

dują się one jeszcze w atmosferze ziemskiej. Jest to całkiem prawdopodobne, jako że duża rakietka wydziela olbrzymie ilości ciepła, a wykrywanie tego ciepła z pewnością leży w granicach naszych możliwości. Rakietki takie zaraz po wystrzeleniu stają się łatwym łupem dla czułych na ciepło urządzeń niszczących. Problem polega tylko na błyskawicznym przetworzeniu danych przekazanych przez sensory i na nakierowaniu na dany cel obiektu niszczącego. Bardzo obiecująco wyglądają też eksperymenty w dziedzinie wytaczania toru lotu poruszających się z olbrzymią szybkością obiektów, wystrzelianych w kierunku rakiet balistycznych w momencie, kiedy znajdują się one jeszcze w przestrzeni kosmicznej albo kiedy powracają do atmosfery ziemskiej. Jeżeli udałoby się strącić taką raketę jeszcze w fazie wznoszenia się, nim odłączy się od niej liczne głowice bojowe — mielibyśmy o wiele mniej celów do zniszczenia. sowieckie rakietki balistyczne uzbrojone są przeważnie w dziesięć głowic bojowych. O wiele łatwiej strącić jedną raketę niż dziesięć głowic. Postęp w tej dziedzinie jest tak gwałtowny, że rok czy dwa lata temu nie śniło się to nawet najbardziej żarliwym zwolennikom programu SDI.

R.K.: — *Co według Pana powinno być naczelną dewizą rządu Stanów Zjednoczonych w trakcie rokowań sowiecko-amerykańskich w Genewie oraz podczas zbliżającego się spotkania na szczycie między Reaganem a Gorbaczowem?*

R.P.: — Są to właściwie dwa oddzielne pytania, jako że program spotkania Reagan - Gorbaczow będzie z pewnością dużo szerszy niż sprawa rozbrojenia. W rozmowach o ograniczeniu zbrojeń naczelną dewizą amerykańską jest oczywiście poważne zmniejszenie ilości broni ofensywnej. Sowieci mają dziś o osiem tysięcy strategicznych głowic bojowych więcej niż w listopadzie 1969 roku, kiedy delegacje sowiecka i amerykańska spotkały się po raz pierwszy w Helsinkach. Od momentu podpisania umowy SALT II w 1979 roku Związek Sowiecki zwiększył swój arsenał o cztery tysiące głowic strategicznych. Kolejne cztery tysiące dodane będą zgodnie z paktem SALT II. SALT I jak i SALT II pozwoliły więc na masową produkcję broni. Sowieci skorzystali z obydwu tych układów, licząc na bezczynność Ameryki i rozbudowując jednocześnie swój arsenał ilościowo i jakościowo. Najważnym celem musi być zatem próba odwrócenia tej tendencji. Potoczne wyobrażenie o ograniczeniu zbrojeń zakłada stopniowe zmniejszanie się światowych arsenałów. Mało komu przychodzi do głowy rzecz dla laika zupełnie niezrozumiała, że mianowicie umowy takie przewidują dalszą produkcję różnego typu broni. Zakładanie, że dzięki porozumieniom o ograniczeniu zbrojeń

zmniejszają się arsenały wojskowe jest wielkim nieporozumieniem. Nie stało się to wynikiem żadnej z dotychczas podpisanych umów, przeciwnie — usankcjonowały one tylko dalszą produkcję. Celem naszym powinna być zatem znaczna redukcja wszystkich rodzajów broni. Zachód jest w stanie stawić czoła Sowietaom gospodarczo, ideologicznie czy kulturowo, ale nie w produkcji ofensywnej strategicznej broni nuklearnej. Dalsza rozbudowa arsenału ofensywnego w żaden sposób nie może doprowadzić do równowagi sił.

Jeśli chodzi o program spotkania Reagan-Gorbaczow, to z pewnością obejmie on dyskusję nad różnymi konfliktami lokalnymi czy też kwestię poszanowania praw człowieka. Nie wyobrażam sobie, jak można nie poruszyć w trakcie takiego spotkania sprawy Afganistanu. Sądzę, że spotkanie to, w dużo większym stopniu niż podobne w przeszłości, pozwoli Stanom Zjednoczonym lepiej poznać nowych przywódców sowieckich. Nie myślę też, aby można było w chwili obecnej dojść do jakiegoś istotnego porozumienia. Nie ma do tego właściwie żadnych podstaw. Dodatkową przeszkodą jest prawie zupełny brak współdziałania Sowieców w Genewie. Nie sądzę jednak, aby spotkanie na szczycie należało uznać za rozczarowanie tylko dlatego, że nie można zawrzeć umowy o ograniczeniu zbrojeń. Jeżeli jedynym możliwym w obecnej chwili porozumieniem rozbrojeniowym jest wariant proponowany przez ZSSR, czyli układ, który zezwalałby na dalszą produkcję ofensywnej broni strategicznej, lepiej będzie, jeśli nie podpiszemy żadnego układu.

(Rozmowa miała miejsce 12 lipca 1985 roku w Waszyngtonie. Wywiad przeprowadził i przetłumaczył z angielskiego Robert KOSTRZEWA).

Nowa faza rozwoju państwa dobrobytu

Od czasu kiedy zachodni ruch robotniczy porzucił Marksa dla programu gotajskiego zdawać się mogło, że ruch socjalistyczny (czy też raczej socjaldemokratyczny) znalazł formułę, pozwalającą na połączenie kapitalistycznej wydajności z podstawową wartością socjalizmu, t.j. obroną ludzi pracy przed wyzyskiem. Rezygnacja z metod rewolucyjnych na rzecz parlamentarnych form walki z okrucieństwem warstw posiadających związana była ze

zmianami struktury społecznej i faktem, że warstwa robotnicza, jeśli nawet nie uzyskała absolutnej większości, to stała się dostatecznie liczebna, aby tworzyć liczące się na arenie politycznej partie. Przemysłowe formy pracy, które ukształtowały się w drugiej połowie ubiegłego wieku — wielkie skupiska robotników z jednej strony oraz wzrost oświaty warstw nieposiadających z drugiej — stwarzały warunki dla przełamania politycznego monopolu warstw posiadających.

Przejście od rewolucyjnych do parlamentarnych form walki zachodniego ruchu robotniczego było niewątpliwie rewolucją w łonie tego ruchu i umożliwiała organizacjom robotniczym (partiom politycznym i związkom zawodowym) formułowanie realistycznych i ograniczonych programów działania. Godząc się z istnieniem prywatnej własności, socjaldemokracja stopniowo wywierała naciski na rozszerzenie politycznych praw oraz udziału warstw nieposiadających w zyskach z pracy przemysłowej. Warunkiem powodzenia tych działań była oczywiście wysoka sprawność kapitalistycznego systemu wytwarzania dóbr materialnych. Równocześnie stopniowe, parlamentarne zwycięstwa ruchu robotniczego stosunkowo szybko zaczęły się ujawniać jako dodatkowe stymulatory systemu rynkowego. Wzrost siły nabywczej warstw nieposiadających gwałtownie rozszerzał wewnętrzne rynki zbytu i otwierał nowe pola przedsiębiorczości; wzrost kosztów siły roboczej zwiększał opłacalność modernizacji i mechanizacji pracy, co z kolei prowadziło do zmian proporcji między wykwalifikowaną i niewykwalifikowaną siłą roboczą. W ciągu dwóch generacji przemysł zachodni wielokrotnie zwiększył wykorzystanie intelektualnych możliwości zatrudnionych, minimalizując zapotrzebowanie na siłę ludzkich mięśni. Aczkolwiek mamy tu do czynienia z bardzo złożonymi zjawiskami społecznymi, bez obawy popełnienia błędu można powiedzieć, że na jakości i tempo tych przemian socjaldemokratyczny ruch robotniczy wpływał w znacznym stopniu. W krajach zachodnich rezygnacja z rewolucyjnego programu Marksa i przejście do parlamentarnych form walki otworzyło wielu partiom robotniczym drogę do władzy politycznej, a z czasem do wyłonienia się modelu państwa opiekuńczego.

Model państwa opiekuńczego nie był wyłącznie tworem lewicowych intelektualistów. Kryzys finansowy lat dwudziestych skłaniał również wielu ekonomistów i polityków prawicowych do poszukiwania nowych rozwiązań, pozwalających na złagodzenie wstrząsów społecznych, powodowanych cyklicznie powtarzającymi się kryzysami ekonomicznymi. Ideę państwa dobrobytu łączy się z teorią Johna Keynesa. Państwo opiekuńcze jest jednak w pierwszym rzędzie tworem zachodniego ruchu robotniczego i jego organizacji politycznych. W wielu krajach zachodnich partie socjaldemokratyczne wygrywały wybory i jako partie rządzące przeprowadzały reformy społeczne, zmierzające do zagwarantowania ekonomicznego bezpieczeństwa najgorzej uposażonych mieszkańców kraju. Państwo opiekuńcze nie znosiło rynkowych mecha-

nizmów systemu ekonomicznego, stopniowo tylko zwiększając rozmiary wtórnie dzielonej części dochodu narodowego. Innymi słowy, podczas gdy komuniści dążyli do upaństwowienia środków produkcji, socjaldemokracja zmierzała do uspołecznienia części zysków z pracy opartej na prywatnej własności i zorganizowanej na zasadach rynkowych. Socjaldemokracja zdobywała władzę polityczną w drodze demokratycznych wyborów i zwiększała rozmiary wtórnie dzielonej części dochodu narodowego przez stopniowe reformy systemu podatkowego. Systematycznie wzrastające koszty siły roboczej oraz wzrost obciążeń podatkowych, ku zdziwieniu wielu ekonomistów, nie tylko nie rujnowały prywatnego kapitału, ale wręcz nakręcały koniunkturę. Wzrost płac i wzrost wtórnie dzielonej części dochodu narodowego nie tylko zwiększał siłę nabywczą ludności, a tym samym rozszerzał wewnętrzny rynek zbytu, ale finansowane przez system podatkowy reformy społeczne stanowiły rodzaj zbiorowego funduszu inwestycyjnego, gwarantującego systematyczne doskonalenie siły roboczej (oświata, opieka zdrowotna), rozwój transportu, energetyki itp.

Symbioza państwa opiekuńczego z systemem rynkowym trwała co najmniej do roku 1973, kiedy to polityczna decyzja państw OPEC o podniesieniu cen ropy naftowej gwałtownie zaburzyła wszystkie dotychczasowe relacje ekonomiczne. Wydarzenie to poprzedziło inne interesujące zjawisko — w krajach zachodnich liczba robotników przemysłowych wzrastała do połowy lat sześćdziesiątych, później nastąpiło zahamowanie wzrostu i stopniowy spadek zatrudnienia w przemyśle. W krajach rządzonych przez socjaldemokratów pierwsza faza tego zjawiska nie wywołała żadnych zaburzeń, ponieważ nadwyżkę siły roboczej wchłaniał gwałtownie rozwijający się sektor publiczny. Jedynym jej skutkiem było wstrzymanie importu siły roboczej do przemysłu. Niektórzy badacze wysuwali wówczas hipotezę, że spadek bezwzględnej liczby robotników przemysłowych spowoduje również spadek liczby głosów, oddawanych w tych krajach na partie robotnicze. Do takiego wniosku skłaniała historia partii chłopskich, które w ciągu kilku dziesięcioleci stopniały do mało znaczącego marginesu na arenie politycznej państw zachodnich. Analogia ta była jednak zwodnicza, ponieważ partie socjaldemokratyczne, nie zmieniając swojej robotniczej ideologii, miały już nową klientelę wyborczą w szeregach pracowników i klientów sektora publicznego. W ruchu, który nadal nosił nazwę ruchu robotniczego, miejsca robotników przemysłowych stopniowo zajmowali pracownicy szkół i szpitali, urzędnicy kas opieki społecznej, urzędnicy pośrednictwa pracy, itp. Jeszcze przed drugą wojną światową kategorie te stanowiły drobny ułamek ogółu pracujących. Obecnie jednak jesteśmy świadkami jakościowej zmiany struktury społecznej. W Szwecji, którą wielu ludzi uważa za modelowe państwo opiekuńcze, 26 % ogółu zatrudnionych pracuje w sektorze publicznym, dalsze 28 % dorosłej ludności to renciści, emeryci, studenci, bezrobotni i inne osoby, które nie wytwarzają

ani dóbr, ani usług i których utrzymanie spoczywa na podatnikach. Zaledwie 30 % dorosłej społeczności w Szwecji to pracownicy najemni w prywatnych przedsiębiorstwach, a wreszcie 8 % ogółu dorosłej ludności stanowią samodzielni przedsiębiorcy, z czego zaledwie jedna czwarta to producenci żywności. Tak więc dochody 54 % dorosłej ludności szwedzkiej pochodzą z wtórnie dzielonej części dochodu narodowego.

Jakie konsekwencje pociąga ta nowa struktura społeczna? Problem ten został niedawno podjęty przez dyrektora szwedzkiego Ośrodka Badania Opinii Publicznej (SIFO), profesora Hansa Zetterberga. Zdaniem tego autora zbliżające się wybory w Szwecji są unikalne w skali światowej, gdyż po raz pierwszy bezwzględna większość wyborców to ludzie uposażeni ze środków publicznych. Dominują wśród nich sympatycy partii socjaldemokratycznej — stwierdza Hans Zetterberg. Jest to o tyle naturalne, że partia ta domaga się ekspansji sektora publicznego i rozszerzenia świadczeń socjalnych, zwalcza wszelkie tezy o przeroście zatrudnienia w sektorze publicznym i wreszcie kanalizuje agresję społeczną za niepowodzenia gospodarcze na prywatnych przedsiębiorcach w przemyśle i w rolnictwie.

Jak pisze Hans Zetterberg, jeszcze w latach czterdziestych ruch robotniczy krajów zachodnich zmierzał do poprawy położenia klasy robotniczej przez rozwój ruchu spółdzielczego. Rychło jednak okazało się, że łatwiejsze jest przejmowanie i rozwijanie istniejących instytucji państwowych. Socjaldemokracja w krajach takich jak Szwecja stoi dziś przede wszystkim na straży interesów ludzi uposażonych ze środków publicznych. Co więcej, od kilku lat obserwuje się interesującą zmianę politycznej orientacji pewnej części robotników przemysłu prywatnego. Robotnicy ci są niezadowoleni z nadmiernej presji podatkowej (chodzi zarówno o podatki od wynagrodzeń, jak i obciążenia podatkowe przedsiębiorców, które coraz częściej stają się przyczyną bankructwa przedsiębiorstw i utraty pracy przez robotników). Robotnicy przemysłowi (szczególnie młodszy wiekiem) coraz częściej odczuwają wspólnotę interesów raczej z przedsiębiorcami aniżeli z socjaldemokratycznym ruchem politycznym. Zdaniem Zetterberga to, co niegdyś było walką klas, przerodziło się w konflikt interesów między dwoma sektorami ekonomicznymi — prywatnym i publicznym, a uposażona ze środków publicznych większość będzie bronić będzie swoich przywilejów.

Na czym polega różnica między tymi dwoma sektorami? Jakie znaczenie ma fakt, że jest się opłacanym przez państwo, a nie przez prywatnego przedsiębiorcę? Zaczniemy od tego, że Szwecja ma najniższe w Europie bezrobocie. Zdawać by się mogło, że można to zapisać wyłącznie na plus socjaldemokracji. W rzeczywistości jednak bezrobocie jest znacznie wyższe niż to wynika ze statystyk, ponieważ bezrobotni kierowani są na naukę lub do prac zastępczych za państwowe pieniądze. Ukryte bezrobocie jest ponad dwukrotnie wyższe od oficjalnego. Nie w tym rzecz, że

władze podejmują działania mające na celu zneutralizowanie skutków bezrobocia, ale że używają tych działań dla ukrycia faktycznych rozmiarów problemu. Jeszcze większym problemem jest przerost zatrudnienia w sektorze publicznym. Znaczna część sektora publicznego to biurokracja, która lwią część swojego czasu pracy poświęca na stwarzanie sobie zajęcia. Brak kontrolnych mechanizmów ekonomicznych powoduje również nieracjonalność zatrudnienia w instytucjach oświaty, opieki społecznej i służby zdrowia. W sektorze publicznym nie działa rachunek ekonomiczny. Podczas gdy sektor prywatny nastawiony jest na zaspokajanie potrzeb innych, sektor publiczny tworzy człowieka o mentalności biurokratycznej, zorientowanego na to, żeby dobrze wypaść w oczach przełożonych i rozszerzyć swoją władzę, mierzoną zazwyczaj w ilości podwładnych.

Polskiemu czytelnikowi może się to wydać dziwnie znajome. Istotnie, mamy tu do czynienia z dobrze nam znanym zjawiskiem. Jednak w kraju takim jak Szwecja, który dotychczas znakomicie prosperował i nadal należy do najbogatszych krajów świata, konsekwencje tego zjawiska nie są na razie tak dramatyczne. Jak jednak widać z przytoczonych wcześniej danych, zmiany strukturalne zaszły już tak daleko, iż wyłania się pytanie, czy możliwe jest odwrócenie tej tendencji. Ujemne cechy państwa opiekuńczego ujawniły się we wszystkich państwach zachodnich. Spowodowało to zmianę zachowań wyborczych i działania na rzecz zmniejszenia wtórnie dzielonej części dochodu narodowego. Rządy konserwatywne w krajach takich jak Wielka Brytania, Niemcy Zachodnie czy Norwegia nie zdołały jednak zapobiec rosnącemu bezrobociu i inflacji, nie zdołały również przywrócić wielkiej koniunktury lat sześćdziesiątych. Można się zastanawiać, czy było to w ich mocy? Nadmierny rozwój państwa opiekuńczego i przekroczenie granic racjonalności socjaldemokratycznych reform to tylko jedna z przyczyn współczesnych problemów gospodarczych i politycznych krajów zachodnich. Dwie inne przyczyny to postęp techniczny i automatyzacja pracy oraz kryzys międzynarodowego handlu. Zmiany w technice wytwarzania powodują głębokie zmiany strukturalne w strukturze produkcji przemysłowej. Produkcja materialna wiąże coraz mniejszą ilość pracujących. W średniowiecznym społeczeństwie rolniczym około 90 % ludności zajmowało się wytwarzaniem żywności; dziś w krajach najbardziej rozwiniętych liczba bezpośrednich producentów żywności wynosi 2-5 % ogółu pracujących. Przed ponad 100 lat trwał proces szybkiego przemieszczenia siły roboczej z rolnictwa do przemysłu. Od kilku dziesięcioleci obserwujemy nową tendencję — wyłania się społeczeństwo post-industrialne, w którym potrzeby materialne zaspokajane są przez mniejszość, podczas gdy większość pracujących zatrudniona jest w sektorze usług (handel, oświata, opieka zdrowotna, opieka nad dziećmi i starcami, urzędy), a równocześnie coraz większa część społeczeństwa znajduje się poza rynkiem pracy (przedłużony cykl nauki, rosnąca liczba emerytów i rencistów, wzrastające bezro-

bocie). Wynik walki o władzę w pierwszej fazie kształtowania się tego nowego społeczeństwa zadecyduje o formach politycznego ustroju w tych społeczeństwach. W przypadku zwycięstwa socjaldemokracji możemy być świadkami przekształcenia się demokratycznego państwa w społeczeństwo biurokratyczne, gdzie państwo jest największym pracodawcą, gdzie coraz więcej decyzji ekonomicznych podejmuje aparat polityczny, a państwo zmierza do zagwarantowania wszystkim obywatelom ekonomicznego bezpieczeństwa, pozbawiając ich jednocześnie tradycyjnych swobód obywatelskich. Alternatywą takiego rozwoju jest regres państwa opiekuńczego i stopniowa reprivatyzacja niektórych dziedzin życia, objętych dziś przez sektor publiczny. W tym kierunku od kilku lat zmierza polityka prezydenta Reagana oraz brytyjskich konserwatystów. Wyniki wyborów w Szwecji mogą mieć pewien wpływ na wyborców w innych państwach Europy Zachodniej. Prasa i system oświaty w Europie Zachodniej zdominowane są przez sympatyków socjaldemokracji, czasem cynicznych, częściej przywiązanych do tradycyjnych wartości tego ruchu i nie zauważających przemian, które dokonały się na przestrzeni ostatnich lat. Głosy tej prasy wspierać będą opcje na chwilowe bezpieczeństwo w zamian za rezygnację z wolności. W szranki o dusze wyborców stają dziś masy dworskich filozofów, którzy zrobili kariery na głoszeniu teorii równości. Gęsto padają argumenty, że niemoralne jest czerpanie zysków z opieki nad dziećmi, chorymi czy starcami. Nie jest to wcale takie proste ani jednoznaczne. Równie dobrze można powiedzieć, że niemoralne jest sprzedawanie chleba. Oparta o zasadę zysku wymiana towarów i usług przyniosła w efekcie najbardziej sprawny system społecznego podziału pracy. Zachodni ruch robotniczy wyłonił się jako ruch protestu przeciw bezwzględnej władzy pieniądza, która stanowiła nie tylko nadużycie zasady wolnego handlu, ale była również wewnętrznym ograniczeniem kapitalistycznego sposobu produkcji. Oparta o teorię społecznej sprawiedliwości kontrola prywatnego kapitału osiągnęła i przekroczyła pułap racjonalności. Wyłaniające się społeczeństwo post-industrialne rozdziera ją nowe konflikty, z których wyłoni się ekonomiczno-polityczna formuła tego społeczeństwa. Te nowe konflikty na arenie politycznej występują w starych, historycznych już kostiumach. Warto jednak zdać sobie sprawę z faktu, że ruch socjaldemokratyczny na Zachodzie nie jest już ruchem robotniczym, a neoliberalizm ekonomiczny nie jest prostym powtórzeniem idei zwolenników czystego kapitalizmu. Współczesne społeczeństwa zachodnie poszukują możliwości zachowania demokracji i gospodarczej racjonalności w sytuacji, w której zaspokajanie potrzeb materialnych spoczywa na mniejszości, zmieniła się struktura i pojęcie rynku, wyłonił się nowy społeczny podział pracy. Podstawowym pytaniem tego nowego społeczeństwa jest pytanie, czy nowy społeczny podział pracy organizowany będzie przez biurokratów-planistów czy przez rynek towarów i usług? Czy stworzyć będzie człowieka organizacji, zorientowanego na gry

biurokratyczne, czy człowieka rynku, zorientowanego na zaspokajanie potrzeb innych?

Pytanie o ustrój społeczeństwa postindustrialnego prowadzi również do pytania, czy historia demokracji parlamentarnych okaże się krótkim epizodem w dziejach ludzkości, czy też to nowe społeczeństwo znajdzie formułę, pozwalającą na przetrwanie demokracji w nowych warunkach? Zmagania obce mają doniosłe znaczenie nie tylko dla tych społeczeństw, ale również dla społeczeństw znajdujących się jeszcze na innym etapie rozwoju.

Andrzej KORASZEWSKI

Korespondencja z Rzymu

KRYZYS PONTYFIKATU CZY HISTORYCZNEJ KONCEPCJI?

Uptywający siódmy rok pontyfikatu skłania do zajęcia się krytyką różnych jego aspektów, która uległa znacznemu natężeniu w porównaniu z poprzednimi latami. Głośnie i mniej głośnie wypowiedzi prasy międzynarodowej w związku z podróżami apostołskimi Jana Pawła II i jego rzekomym dążeniem do „restauracji” doprowadziły do nieporozumień i dezorientacji, a to z kolei może sugerować, że mamy do czynienia z kryzysem pontyfikatu.

Trzeba najpierw stwierdzić, że krytyka tych czy innych zjawisk pontyfikatu niekoniecznie musi oznaczać „atak na Papieża”. Wszystko zależy od tego, z jakiej pozycji wychodzi, czy w dobrej wierze, jakimi argumentami się posługuje. Zupełnie przeciw inną miarę należy przykładać do krytycznych wystąpień w zgodzie z *sensus catholicus* lub z dystansem zawodowym, jakim odznaczają się nieraz wypowiedzi krytyczne czynione przez publicystów liberalnych na łamach prasy laickiej. Te ostatnie — rzecz znamienna — przewyższają niewątpliwie jakością i talentem bezkrytyczne peany pochwalne na łamach prasy prawicowej i ortodoksyjnie katolickiej. A tym samym są bardziej skuteczne i przynoszą większą korzyść pontyfikatowi. Co innego zaś frontalne napaści polegające na wynajdywaniu braków (prawdziwych, przesadzonych i zmyślonych), jakie znamionują niektórych watykanistów, którzy uprawiają bojową publicystykę, opartą na własnej wizji Kościoła, zaprawionej osobistymi urazami (np. kapłani zredukowani do stanu świeckiego). Sporą liczbę krytycznych wypowiedzi prasowych charakteryzuje typowe *parti pris*, tzn. opinie oparte na uprzedzeniu.

Z drugiej strony obrońcy Papieża bez przerwy wpadają w nadgorliwość, co wywołuje skutek odwrotny od zamierzonego, bo

hagiografia nie interesuje przeciętnego czytelnika prasy codziennej. I jest ponadto irytująca. Także, skądinąd zacni, teologowie czy publicyści katolicy wytykali nieraz małą skuteczność papieskiego wędrującego apostołatu, co nie wzbudzało zgorszenia w Kurii Rzymskiej. Nawet i w jej łonie niektóre przejawy podróży papieskich są przedmiotem krytycznych, dość nieraz drastycznych uwag. W czasie nie tak dawnej rozmowy, pewien dygnitarz watykański narodowości włoskiej — kiedy była mowa o wyidealizowanym, wypaczonym, a więc niewiarygodnym obrazie katolicyzmu polskiego w odbiorze Zachodu — zauważył: „nie wystarczają oceaniczne zgromadzenia tłumów” (*non bastano oceaniche radunate*). Odniosłem wrażenie, że miał na myśli nie tylko tłumy w czasie papieskich pielgrzymek do Polski, ale również i do innych krajów. Masowa obecność i owacje nie świadczą bowiem automatycznie o wysokim stopniu samoświadomości katolickiej i o panującym *consensus*, czyli o prawidłowej recepcji papieskiego nauczania.

Sedno rzeczy polega na tym, że Papież, aczkolwiek zdaje sobie doskonale sprawę, iż krytyczne głosy zawierają pewną dozę prawdy, nie zamierza bynajmniej zrezygnować z dalszych planowanych peregrynacji po świecie. Nie ulega zniechęceniu. Kilka dni przed odlotem do Wenezueli i Peru oświadczył, iż w tych podróżach chodzi mu o zachętę, umocnienie wiary i o spotkanie wszystkich ludzi dobrej woli, od których zależą losy danego społeczeństwa. Jest świadom „ciężaru, jaki na nim spoczywa, w służbie sprawiedliwości i solidarności”. Podróżuje — trzeba zaznaczyć, co przeciwnicy i krytycy kierujący się uprzedzeniem ignorują — bo domagają się tego lokalne Kościoły i wspólnoty, a poszczególne Konferencje Episkopatów nieraz natarczywie nalegają na jego przyjazd. Sam Papież patrzy nader realistycznie na efekty tych podróży. W drodze powrotnej z ostatniej podróży do Ameryki Łacińskiej na pytanie, co myśli o ich skuteczności, przyznał, iż jest ona „trudna do oszacowania, ponieważ podróże te są jak siew Ewangelii. Rzadko kiedy osiąga się 100 % plonu, czasem tylko 15 %, ale warto kontynuować ten siew”. Dodał: „wiem, że są osoby, którym te podróże nie podobają się i właśnie ta okoliczność utwierdza mnie, że należy je odbywać”.

Rzecz w tym, że nowe formy działania na rzecz nawracania błędzących i przyciągania obojętnych, czyli podróże papieskie, niosą z sobą ryzyko zastrzeżeń. Nie powinno to wywołać skandali. Ci, którzy znają z autopsji przebieg dotychczasowych podróży, a nie są uprzedzeni, twierdzą, że organizacja ich powinna ulec zmianie w kierunku większego wyartykułowania tak, by dopuścić do częstszych spotkań z kwalifikowanymi przedstawicielami lokalnych wspólnot. Z tego punktu widzenia podróż do Holandii i Belgii otworzyła nowy etap. Jak się okazało, tak trudna i odmienna od wszystkich poprzednich, bo bez wiwatujących tłumów, podróż do Holandii przyniosła pożytek. Można było to sprawdzić w okresie następującym po odejściu Papieża. Wzbudziła szacunek dla jego odwagi i zmianę postawy wielu tych,

którzy tę podróż kontestowali i z nieufnością lub wręcz wrogością odnosili się do „centralizmu rzymskiego”. Byli tacy, także w Kurii, którzy w związku z podróżą do Holandii twierdzili, że żaden z poprzedników Jana Pawła II nie zaryzykowałby zapłaconia tak wysokiej ceny w kategoriach prestiżu i autorytetu. W jego wizji jednak podjęcie trudnych i niewdzięcznych starań o rekonyliację umysłów wymagało przejścia do porządku dziennego nad tego rodzaju obawami i zastrzeżeniami. W podróży do Holandii i Belgii doszło do szczerego dialogu Papieża z laikatem — rzecz nie do pomyślenia w poprzednich pontyfikatach, w których funkcja Papieża była zawsze spełniana w sposób autorytarny. Wprawdzie nie ucichły krytyczne głosy inteligentnych „progresistów” — były one jednak z kolei kontestowane (w Belgii) przez większość zgromadzonych. Papież widzi te podziały wśród katolików, ale nie reagował na nie w duchu autorytarnym, uznając że przewyciężenie różnic, a więc osiągnięcie jedności, zależy od biskupów, którzy powinni „maszerować przed trzodą, a nie w ślad za nią, tak jakby musieli się bronić i pozwolić, by im przewodniono”.

Ostatnia podróż do Afryki stała się sukcesem w odbiorze mass-mediów. Dotyczy to szczególnie nacisku Papieża na „akulturację”, czyli przystosowanie nauczania Ewangelii do kultur rodzimych, potępienia *apartheid*'u oraz apelu do wyznawców islamu o sojusz przeciw wojującemu ateizmowi. Żaden z jego poprzedników w akcji kaznodziejskiej nie potrafił osiągnąć tak wielkiego stopnia przystępności słów wobec tych, dla których były przeznaczone. Jeden z watykanistów włoskich nazwał „hazardem” papieskie wystąpienie w Casablance. Było to bowiem wyzwanie, którego konsekwencje nie mogły być wykalkulowane, a śmiałość tego przedsięwzięcia każe zastanowić się politykom, którzy stoją wobec widma wojen religijnych. Niepoprawni, uprzedzeni krytycy także i tym razem wynajdowali dziurę w całym, twierdząc, że papieski apel do młodych muzułmanów był „dyplomatyczną nieostrożnością”.

Wzmogły się w ostatnim czasie narzekania na nieprzystępność papieskiej katechezy. Wymaga ona w rzeczy samej osobistego wysiłku, a nie oczekiwania, że wszystko będzie wyłożone w sposób tradycyjnie przystępny. Środowe audyencje generalne, na których Papież prowadzi kolejne cykle swej katechezy, których treść nie jest łatwa, są przeznaczone dla zmieniających się, w dużej mierze roztargnionych pielgrzymów, którzy od kwietnia do października gromadzą się na placu św. Piotra, gdzie dochodzi zgiełk ruchu ulicznego, krążą turyści popijający coca-cola i gwarząca młodzież różnych nacji. „*Sagra popolare*, czyli festyn ludowy — jak twierdzi wielu rzymian (także kurialistów) — a nie okazja dla religijnego skupienia. „Byłoby może bardziej stosowne, gdyby Wasza Świątobliwość podejmował w czasie audyencji generalnych wątki bardziej przystępne i zamykające się w obrębie jednego przemówienia” — z tymi słowami kardynał Felici zwrócił się do Papieża, który go prosił o wyrażenie opinii o spot-

kaniach z wiernymi. „Znajdą się zawsze tacy, którzy zrozumieją” — zareplikował Papież, mając nadzieję, że jego katecheza, daleka od katechezy poprzedników, może być jednak właściwie odebrana (epizod ten przytacza znany watykanista B. Lai, cieszący się dobrą reputacją w Kurii Rzymskiej). W zakończonym, trwającym z górą trzy lata, cyklu nauczania Papież prowadził wykład o antropologii małżeństwa, od niedawna zaś zaczął nowy cykl na temat wiedzy o Bogu. Są to przemówienia skoordynowane, połączone wspólną myślą przewodnią, wykładane co tydzień, a czasem — kiedy Papież jest w podróży — przerwa wynosi dwa lub trzy tygodnie. Jak twierdzą krytycy, posługujący się spokojną, racjonalną argumentacją, uniemożliwia to korelację tych wystąpień i wywołuje czasem błędne interpretacje. Katecheza ta bowiem nie jest łatwa do asymilacji przez tłumy, które zmieniają się podczas każdej audyencji, słuchając fragmentów tematyki rozwijanej w ciągu miesięcy i lat.

Szczególnego rozgłosu w środkach masowego przekazu nabrała sprawa „restauracji” w Kościele od chwili użycia tego terminu przez kardynała Ratzingera, prefekta Kongregacji Doktryny Wiary (dawne Święte Oficjum). Użycia — trzeba podkreślić — niefortunnego, ponieważ termin *restauratione* (po francusku: *restauration*) na wyraźną wymowę negatywną, oznaczając przywrócenie do *status quo ante*, czyli w tym przypadku do stanu przedsoborowego. Kardynał Ratzinger miał zaś na myśli co innego (co sam potwierdził), a mianowicie odnowę Kościoła, wychodząc z założenia, że wiele osób, także i teologów, interpretowało Sobór Watykański II w sposób jednostronny, reduktywny. Uznał więc w swym słynnym „raporcie o stanie wiary”, że trzeba tę interpretację oczyścić z naleciałości „progresywnych”, redukujących autentyczny sens Soboru. Z drugiej strony chodzi o wyeliminowanie nostalgicznych tendencji nawracania do dawnych czasów Papież uznał za prawidłową wykładnię uchwał soborowych w interpretacji Ratzingera, popierając go przeciw polemistom, aczkolwiek zdystansował się nieco od jego zbyt drastycznych czasem sformułowań, stwierdzając (w samolocie w drodze powrotnej z Afryki), że chodzi o „opinię personalną”.

Papież bowiem stoi na stanowisku ciągłości i aktualności Soboru, z tym jednak, że uważa za konieczne przyhamowanie pewnej niecierpliwości. Rzeczą stanowczo bezpodstawną jest więc oskarżanie go o konserwatyzm. Całe przeciwieństwo jego magisterium jest świadectwem, iż obrany kierunek jest przeciwieństwem konserwatyzmu. Po to, by przywrócić właściwe proporcje w patrze i recepcji Soboru zwołał Synod nadzwyczajny biskupów (na przełomie listopada i grudnia br.), który z okazji 20-lecia zakończenia Soboru Watykańskiego II ma za zadanie „przeżycie atmosfery kolegialności i jedności soborowej, wymianę i pogłębienie doświadczeń odnoszących się do wprowadzania w życie dokumentów soborowych oraz promowanie realizacji orientacji soborowych w przyszłości”. Według b. sekretarza generalnego Synodu Biskupów, kardynała J. Tomko, z niektórych części świata do-

tarły „skargi z powodu niekoherentnych i niecierpliwych 'ucieczek do przodu' lub nieuzasadnionych oporów”. Papież uznał za konieczne wykorzystać dwudziestą rocznicę Soboru, by zweryfikować stan różnych tendencji w łonie Kościoła Powszechnego, czyli przeprowadzić kolegialny rachunek sumienia.

Na tym Synodzie nadzwyczajnym dojdzie prawdopodobnie do zatwierdzenia projektu reformy Kurii Rzymskiej, który ma być przedstawiony w październiku na posiedzeniu specjalnej komisji kardynalskiej, powołanej przez Papieża w 1983 roku. Reforma ta, zwiększając — według projektu — atrybuty władzy Sekretarza Stanu — zmierza do tego, by aparat kurialny — tzn. kongregacje, rady, komisje i urzędy — stał się narzędziem wspierającym misję pastoralną Kościoła i Papieża w jego wędrującym apostołacie. Nie tyle więc Papież-suweren na czele Watykanu-Państwa — i tak jak w poprzednich pontyfikatach „wieźń Kurii” i manadżer — ile arcybiskup w służbie Kościoła Powszechnego i ludzkości. Według linii przewodnich projektu reformy, Kuria ma być przystosowana do wizji Papieża, który deleguje gestię nad jej dykasteriami Sekretarzowi Stanu. Dawniej Papież musiał być wciąż obecny w Watykanie — nowe funkcje Kurii ulegają głębokiej przemianie, uwalniając Papieża i umożliwiając tym samym pełnienie jego misji uniwersalnej. Charakterystyczne, że projekt reformy, jeszcze bardziej niż poprzednia reforma Pawła VI z 1967 roku, redukuje aspekt państwowy Stolicy Apostolskiej; do tego stopnia, że *Segreteria di Stato* nazywać się będzie *Segreteria Apostolica*. Nie chodzi oczywiście tylko o zmianę nazwy, lecz funkcji, która była dotąd zbyt biurokratyczna. Zestrojeniu z profilem pontyfikatu i nową wizją papieżstwa podlegają w obrębie kongregacji oraz przekształcenie w papieskie rady sekretariatów dla jedności chrześcijan, dla stosunków z wyznaniem niechrześcijańskimi i dla niewierzących.

Mamy więc do czynienia nie z kryzysem pontyfikatu, lecz z kryzysem czy raczej nawet przełomem w dotychczasowej, uwarunkowanej historycznie koncepcji papieżstwa. Do kategorii nieporozumień wynikających z nierozróżniania charakteru kryzysu, należy spotykane nieraz, zwłaszcza u Włochów, porównywanie Jana Pawła II z Pawłem VI (który w określonym przypadku „tak by nie postąpił”). To przeciwstawianie nie ma sensu; niezależnie od odmiennego stylu rządów, co przysługuje każdemu Papieżowi, mamy do czynienia z inną wizją funkcji papieskiej. Cały profil tego pontyfikatu (co będzie, rzecz prosta, rzutować na jego następców), czego krytycy nie doceniają, polega na tym, że Jan Paweł II został, można by powiedzieć, wybrany bardziej jako biskup-pasterz niż jako kardynał, tzn. ksiądz Kościoła. Siódmy rok pontyfikatu pokazał, że wyrasta on ponad Kurie, która nieco wyobcowana, nie nadąża za szybkim rytmem jego apostołatu. „Jest to Papież, który słucha wielu, rozmawia z nielicznymi, decyduje sam” — powiedział kiedyś O. B. Serge, redaktor naczelny pisma jezuitów *Civiltà Cattolica*. Prawdopodobnie na skutek

zjawiska pewnej niespójności z działaniami Kurii i nawyku do tradycyjnego odbierania papieskiej misji, powstała sytuacja konfliktowa na odcinku mass-mediów. Dziennikarze niewyspecjalizowani zdani są na depeze agencyjne, oszczędne w słowie i nieraz niechlujne lub w każdym razie niedokładne na skutek przekładów. Watykańscy zaś, czyli korespondenci akredytowani przy Watykanie nie są w stanie przetrwać masy informacji i dokumentacji wychodzącej spod pióra Papieża, czyli brak im czasu na refleksję. A pośpiech, jak wiadomo, nie sprzyja obiektywnym, wyważonym sądom.

Rozczarowanie, a nawet pewne zniecierpliwienie, z powodu jednostronnie krytycznych i uproszczonych, zniekształcających myśl Papieża — według otoczenia papieskiego — artykułów w prasie międzynarodowej, zwłaszcza włoskiej, francuskiej i niemieckiej, stało się źródłem pewnej sensacyjnej operacji edytorskiej. Oblatani i zasobny w gotówkę wydawca australijski Rupert Murdoch, właściciel szeregu gazet w Anglii i USA, wpadł na pomysł publikowania cotygodniowej kolumny pt. „Obserwacje Jana Pawła II”. Jak się okazało nie mają to być oryginalne artykuły Papieża z zastrzeżonymi *copyright*, ale montaż fragmentów jego wypowiedzi, przemówień i dokumentów. Wprawdzie watykański ośrodek prasowy zdementował, by doszło do zawarcia umowy z Watykanem, bo „papieskie teksty stanowią własność wszystkich” i nie ma mowy o podpisywaniu przez Papieża stałej rubryki w prasie, ale — jak się jednak okazało — coś jest na rzeczy. Komunikat watykański stwierdza *nota bene*, że „rozposzechnianie nauczania papieskiego jest żywo zalecane i doceniane są wszystkie inicjatywy, które to mają na celu, realizując je z rzetelnością i powagą zawodową”. Otóż Żyd polskiego pochodzenia, obywatel amerykański Alfred Bloch ma być redaktorem tej syntezy czy też *collage* sporządzanego z papieskich tekstów. Korzystając z tego, że tłumaczył i wydał niektóre prace kardynała Karola Wojtyły (odwiedzał nieraz Kraków) udał mu się nawiązać dobre kontakty w Watykanie, należy domniemywać, że z właściwymi osobami. Prasa podała tu, że jest on „ekspertem judaizmu” i doradcą w sprawach watykańskich Murdocha, dla którego pracuje od kilku lat. Czy ta impreza okaże się właściwą reakcją na nieprzychylnie dla pontyfikatu wystąpienia prasowe? Czy ta próba edytorska wzmocni autorytet Papieża i odda rzeczywistą usługę nowej koncepcji papieżstwa? Odpowiedź na te pytania zależy od tego, jak czytelnicy zareagują na ten eksperyment oraz oczywiście od sposobu sporządzania tego papieskiego *cocktail*'u przez pana Blocha, co tylko sam Papież będzie mógł sprawdzić i orzec, czy jest udany. Tymczasem gazety, które za pośrednictwem *News American Syndicate* kupiły od Murdocha „papieską kolumnę” (m.in. madrycka *ABC* i wiedeńska *Neue Kronen Zeitung*), opublikowały już pierwszy „artykuł” firmowany przez Papieża, poświęcony problemowi *apartheid*'u. Następne odcinki mają zająć się m.in. zagadnieniami: sprawiedliwości na świecie, stosunków pomiędzy chrześcijanami i Żydami, rodziny i mał-

żeństwa, przemocy, różnic pomiędzy grzechem osobistym i społecznym, stosunków pomiędzy Kościołem i Państwem, praw i etyki informacji. Prezentując czytelnikom pierwszą kolumnę papieską gazetą ABC (której korespondentem rzymskim był przez wiele lat obecny dyrektor watykańskiego ośrodka prasowego) stwierdza: „wobec oskarżeń o konserwatyzm pod adresem Papieża było rzeczą konieczną przedstawienie jego prawdziwego oblicza, dającego światu przykład, jak łączyć nowoczesność i tradycję, aktualność i wieczność”. Główna motywacja tego przedsięwzięcia dla hiszpańskiego dziennika (analogicznie chyba i dla wielu innych) polega na przeciwstawieniu się „zniekształcaniu myśli Papieża przez sowieckie agendy w różnych środkach przekazu na Zachodzie, którym kazano atakować i podważać postać Ojca Świętego”.

Dominik MORAWSKI

Pisane 8 września 1985 r.

POLSKI FUNDUSZ WYDAWNICZY W KANADZIE

P.O. BOX 173, Postal Station „B”, Toronto,
Canada M5T 2T3

poleca wydawnictwa Biblioteki Polskiej w Kanadzie:

Andrzej Chciuk: TRZYSTA MIESIĘCY	\$ 18.00
Stanisław Kawczyński: DZIEJE JEDNEGO ŻY- CIA	\$ 8.00
SEVEN POLISH CANADIAN POETS (Antolo- gia polsko-angielska z przedmową prof. Zbi- gniewa Folejewskiego)	\$ 15.00
Jadwiga Jurkszus-Tomaszewska: WCZORAJ I DZIŚ (szkice literackie)	\$ 15.00

Prosimy doliczyć 10 % na przesyłkę.

Roczne członkostwo Polskiego Funduszu Wydawniczego
— \$ 20.00. Szczegóły na żądanie.

Kraj

Powrót do starych dylematów

Ponad dwa lata temu zadawałem na łamach *Kultury* pytanie, czy narodowi polskiemu grozi zagłada? Dwa i pół roku w życiu narodu, to właściwie chwila. Bywają jednak chwile przełomowe. Dlatego też pozwalam sobie powrócić do nurtującego mnie dylematu.

Jak wszyscy zainteresowani tym, co się dzieje w Polsce, staram się bacznie śledzić dokonujące się tam przemiany. Nie martwi mnie specjalnie fakt, że coraz mniej jest spektakularnych akcji, że nie udało się stworzyć wielkich programów politycznych, że działalność podziemia przypomina czasami — myślę tu o działaczach — kręcenie się wokół własnej osi. Nie martwi mnie wreszcie panujący w tym kraju względny spokój. Ludziom należy się odpoczynek. A poza tym, jako urodzony optymista, śmiem twierdzić, że jest to cisza przed burzą.

Martwi mnie natomiast świadomość polityczna i życiowa społeczeństwa polskiego. Z niejednych ust słyszałem: „dzień którego się najbardziej obawiam to ten, kiedy Polacy odzyskają niepodległość”.

Jeden z moich przyjaciół przypomniał niedawno słowa Mieczysława Rakowskiego, wypowiedziane po pamiętnym zerwaniu rozmów z „Solidarnością” w Warszawie. „Wy i tak jesteście naszymi dziećmi” — powiedział wicepremier na pożegnanie. Niestety jest w tym stwierdzeniu bolesna prawda. Społeczeństwo polskie potrafiło zjednoczyć się w oporze przeciwko komunizmowi, ale nie potrafi wydobyć się spod wpływów komunizmu. Spróbujmy przyjrzeć się różnym formom życia i działania w dzisiejszej Polsce.

Totalitarnej władzy komunistycznej przeciwstawia się konieczność jednakowego myślenia. Kto nie jest z nami, jest przeciwko nam. Oczywiście, jeśli w danym kraju jednej partii przeciw-

stawiana jest jedna opozycja, to istnieje już konkurencja, która pozwala na rozwój danego społeczeństwa. Ale jeśli opozycyjna grupa rządzi się jakąkolwiek formą przymusu, to istnieje niebezpieczeństwo przejścia z jednej skrajności w drugą.

Studiując dość uważnie prasę podziemną wolną i niezależną, natykam się na różnego rodzaju „polemiki i dyskusje”. Piszę te wyrazy w cudzysłowie, ponieważ są to bardziej wzajemne napaści niż polemiki. Argumenty nierzadko zastępowane są przez plotki i pomówienia. Atmosfera, jaką wytworzono wokół domniemanego kandydowania uczestników Ruchu Młodej Polski do Sejmu PRL, jest tego jednym z przykładów.

Coraz częściej mówi się o słabnącej roli Tymczasowej Komisji Koordynacyjnej. Obciąża się ją zarzutem, że nie potrafiła wypracować pozytywnego programu. Wydaje mi się, że jest to zarzut bezpodstawny, bo jeśli przyjąć, że TKK kontynuuje dzieło „Solidarności”, to związek ten ma swój program uchwalony na Zjeździe, który byłby aktualny, gdyby był znany. Nie potrafi natomiast TKK zaproponować nowych form działania. Kiedy wyczerpał się skromny arsenał metod poznanych w szkolnych podręcznikach, rzeczywiście zabrakło inwencji politycznej.

Nie brak też głosów krytycznych pod adresem Lecha Wałęsy, że z uporem godnym lepszej sprawy trzyma się idei porozumienia. Uważam tę akurat krytykę za dość słuszną, bo aby nastąpiło porozumienie, muszą być dwaj partnerzy i obaj muszą tego chcieć. Boy-Zeleński pisał żartobliwie, że „w tym największy jest ambaras, żeby dwoje chciało naraz”. Tymczasem wbrew pozorom komunistyczna propaganda w Polsce czasami mówi prawdę. W tym wypadku zaś od dawna twierdzi, że porozumienia nie ma i nie będzie z nikim, kto nie jest wasalem komunistów. Trzymanie się raz ustalonego poglądu i przekonania może sprowadzić takiego polityka do rzędu mało znaczących postaci z gabinetu figur woskowych.

W szóstym numerze krakowskiego pisma *Bez Dekretu* Krzysztof Jerzewski pisał, że polityk to człowiek co najmniej dwuznaczny, przypominając w tym miejscu działanie jakże popularnego dziś w Polsce Marszałka Piłsudskiego.

„Znamy go pomnikowo, a zapominamy, że był politykiem. Był socjalistą i socjalizm porzucił. Był drukarzem i autorem nielegalnych gazetek, ale nie podziemna poligrafia była dlań celem. Organizował napady na pocztowe pociągi, ale nie był bandytą. Związał swą powstającą armię z Austrią, ale potrafił Austrię porzucić, gdy zobaczył, że przegrywa. Podporządkowywał się w drodze do celu przeróżnym chwilowym znakomitościom, aby za chwilę zmieść je z historycznej sceny. A wszystko po to, aby zrealizować cel, jakim była odbudowa Niepodległej. I cel ten zrealizował; gdyby trwał od początku do końca przy tym samym i w tym samym układzie politycznych sojuszy, byłby pewnie drugorzędny przywódcą, a komu innemu przypadłby zaszczyt

wskreszenia Polski i pewnie też w bardziej okrojonych granicach. Warto zapamiętać sobie tę lekcję”.

Niestety w pobieraniu takich lekcji jesteśmy dość oporni. Potrafimy wymienić z kart naszej historii znakomitych wodzów, natomiast trudno znaleźć bodaj jednego polityka, który cieszyłby się powszechnym uznaniem. Potrafimy jakże łatwo oskarżać się o zdradę, a jakże ciężko przychodzi nam zrozumienie przeciwnych racji. Jest to brak politycznego wyrobienia, bez którego trudno mówić o przyzwoitej społecznej i narodowej egzystencji.

Zejdźmy jednakże z wyżyn polityki w rewiry życia codziennego. Już pobieżna obserwacja przyjeżdżających z kraju Polaków pozwala przekonać się, jak druzgocący wpływ wywarło 40 lat komunizmu w Polsce. Jak odzwyczajono nas od samodzielności, inicjatywy, jak przyzwyczajono do oczekiwania, że ktoś wszystko zrobi za nas.

Prawnicy w kraju przerażeni są, jak dalece posunęła się ignorancja prawna społeczeństwa polskiego. Bardzo często ludzie biorą peerelowskie bezprawie za prawo. Podejmuje się obronę merytoryczną przeciwko zarzutom, które nazwać by można prowokacją na skalę narodową.

Ekonomiści zatruwani są niemal zupełną nieznajomością podstawowych reguł gry ekonomicznej.

Tu zresztą warto by się przyjrzeć bliżej temu, w jaki sposób w warunkach ruiny gospodarczej żyje się w Polsce. Wśród zapytywanych rodaków z kraju nikt nie był mi w stanie odpowiedzieć, jak to się dzieje, że mimo ciągle rosnących cen i galopującej inflacji ciągle jeszcze najdroższe nawet artykuły nie leżą na półkach, że święta i uroczystości rodzinne obchodzone są jak dawniej z polską fantazją i obfitością.

Wskazywano przy tym na wiele elementów, z których każdy jest co najmniej smutny, jeśli rozważać go w perspektywie przyszłości narodowej. Na ogół wymienia się pogłębiające się różnice w zarobkach, istnienie pozapaństwowego obiegu towarów i pieniądza czyli mniej lub bardziej jawnej spekulacji, która jako zjawisko społeczne jest fatalna w skutkach. Wymienia się wreszcie dość powszechne zjawisko kradzieży. Jest to wynik wyrobienia wśród ludzi w Polsce podwójnej moralności. Pierwsza, to ta rodzinno-towarzyska, a druga ta na zewnątrz, w pracy w szkole. Kradnę, bo to nie moje, kradnę, bo komunistyczne. Pozwolę sobie na razie nie komentować tego zjawiska, a dorzucić jeszcze tylko, że wiąże się z nim następne, mianowicie dyscyplina pracy. Nie wiadomo już na dobrą sprawę w Polsce, kto i za co pracuje. Oczywiście, że pracodawcą jest państwo, że pracodawca wykorzystuje pracownika, ale opór prezentowany w powyższej formie — praca żołniewa — przypomina angielską rewolucję polegającą na niszczeniu maszyn. Można powiedzieć, że nie interesuje nas to, co się dziś dzieje w zakładach pracy, że to nie my, tylko

komunistyczni organizatorzy produkcji doprowadzają do kryzysu gospodarczego. Zgoda. Czyjakolwiek by jednak nie była wina, skutki braku poszanowania dla pracy i skutki podwójnej moralności będą się odbijały na wielu jeszcze pokoleniach.

Dochodzimy tu do starego dylematu między romantyzmem a pozytywizmem. Jestem przekonany, że naród, który w dzisiejszej dobie skłania się ku wartościom pozytywistycznym, ma szansę przetrwania. Naród, który na swe sztandary wpisze jedynie romantyzm, emocje i sentymenty będzie co jakiś czas odgrzebywał swe pamiątki w kufrach i na strychach, ale będzie przeżywał głębokie trudności z własnym rozwojem. Oczywiście najlepiej byłoby połączyć oba nurty w rozsądnych proporcjach. Najlepiej byłoby połączyć politykę z oporem. Na to jednak potrzebne jest duże wyrobienie świadomości nie tylko narodowej, ale szeroko pojętej — politycznej. A jak przedstawia się owa świadomość — rozbudzona przecież w epoce „Solidarności” — dziś?

Z raportu wstępnego z badań przeprowadzonych w Polsce, a zatytułowanych „Robotnicy 84. Świadomość wielkoprzemysłowej klasy robotniczej” przytoczmy fragment dotyczący modelu porządku społecznego oraz polityki i gospodarki mierzonej w procentach. Na pytanie: „Wiele się ostatnio dyskutuje o zmianach w zarządzaniu gospodarką i w życiu społeczno-politycznym w kraju. Poniżej przedstawiamy listę rozmaitych zasad, na których można oprzeć organizację życia w Polsce lat 80-tych. Prosimy o ocenę tych zasad” — odpowiedzi były następujące: (należy tu nadmienić, że możliwości odpowiedzi były tylko takie: 1. zgadzam się 2. raczej zgadzam się 3. raczej nie 4. nie zgadzam się 5. trudno odpowiedzieć 6. brak odpowiedzi).

Jeśli chodzi o sprawowanie władzy i porządek polityczny, najwięcej respondentów zgadzało się z wyborami, które uwzględniałyby kilka konkurencyjnych list wyborczych (67,5 %) i z wprowadzeniem pełnej samorządności załogi w zarządzaniu przedsiębiorstwem (63,75 %). Jednocześnie 11,25 % zgadzało się z umocnieniem roli partii w sprawowaniu władzy, a 18,1 % było za zdecydowaną walką z przeciwnikami kierowniczej roli partii. W odpowiedziach zdecydowanie negatywnych te dwie ostatnie pozycje uzyskały najwyższy procent. Niemniej jednak blisko dwudziestoprocentowe poparcie dla kierowniczej roli partii mówi samo za siebie. Znaczny, bo blisko 30 %-owy sprzeciw wywołała propozycja ograniczenia cenzury.

W podpytaniu o sprawiedliwość społeczną i system społeczno-ekonomiczny największe uznanie (80,6 %) zyskał rozwój indywidualnych gospodarstw rolnych, natomiast — co charakterystyczne — 31,9 % zgadzało się z ograniczeniem zarobków dla najwyższej zarabiającej, 40,6 % było za ograniczeniem dochodów prywatnych przedsiębiorstw i tylko 37,5 % zgadzało się na rozwój prywatnych przedsiębiorstw handlowych, usługowych i przemysłowych. Oznacza to, że mimo krytyki państwowego systemu zarządzania wytworzono w nas przekonanie, że prywatny przed-

siębiorca może być jeszcze gorszy, że prywatnego należy tępić, bo za dużo zarabia. Jakie mogą być skutki takiego rozumowania ekonomicznego, niech sobie każdy sam odpowie.

Inny fragment badań dotyczy modelu idealnego systemu społecznego. Oto postawione pytanie: „Spośród poniższych cech prosimy wybrać takie, które koniecznie musi mieć ustroj, aby Pan(i) mógł(a) go uznać za dobry?”.

A oto łączne wyniki (w %):

1. społeczna własność środków produkcji	58,1
2. prywatna własność środków produkcji	10,0 (!)
3. planowa gospodarka	57,5
4. wolna konkurencja w życiu gospodarczym	42,5 (!)
5. poziom płac wyznaczony wkładem pracy	77,5
6. poziom płac wyznaczony potrzebami obywatela	17,5
7. istnienie kilku konkurencyjnych partii politycznych	65,0
8. kierownicza rola jednej partii	9,4
9. współdecydowanie obywatela w sprawach państwa	68,75
10. posłuszeństwo obywatela wobec władzy	21,9
11. wolność słowa i możliwość wypowiedzania publicznie różnych opinii dla wszystkich tak zwolenników, jak i przeciwników	80,0
12. ograniczenie swobody działania i wypowiedzi dla przeciwników ustroju	5,6

W powyższym zestawieniu bulwersujące są trzy odpowiedzi. Niskie poparcie dla prywatnych środków produkcji przy jednoczesnym sporym poparciem dla wolnej konkurencji w życiu gospodarczym świadczą może tylko o ignorancji reguł gry ekonomicznej. Po drugie, jeśli tylko ponad 21 % obywateli uważa, że posłuszeństwo obywatela wobec władzy jest niezbędne do tego, aby dany ustroj był dobry, to dominacja tendencji anarchistycznych jest oczywista. Jest to skutek sprawowania władzy przez komunistów, ale przecież w pytaniu określono władzę w sensie ogólnym, a nie komunistyczną.

Spójrzmy teraz na stosunek do socjalizmu. Zadano dwa pytania:

1. Czy Pan(i) uważa, że świat powinien się rozwijać w kierunku takiej formy socjalizmu, jaka występuje w naszym kraju?

2. Czy świat powinien się rozwijać w kierunku jakiejś innej formy socjalizmu?

	ad 1	ad 2
zdecydowanie tak	3,8	16,3
raczej tak	10,6	29,4
raczej nie	31,3	13,1
zdecydowanie nie	32,5	8,1
trudno powiedzieć	20,6	27,5
brak danych	1,3	0

Wniosek: Istnieje bardzo duża niepewność. Mało kto potrafi dokładnie określić ku jakiej formie ustroju powinien zdążać świat. I na koniec: zgodność z opiniami osób publicznych i postrzegany stopień ich wpływu na sytuację w Polsce. Oto dwa pytania:

1. Z czyją opinią odnośnie spraw społeczno-politycznych zgadza się Pan(i) najbardziej? (wskaźnik 1-4 pkt.).

2. Jaki jest Pana(i) zdaniem wpływ tych osób na sytuację w Polsce? (wskaźnik 0-4 pkt.).

Wyniki:

	ad 1	ad 2
1. Jan Paweł II	3,75	2,28
2. Kardynał Glemp	3,20	2,09
3. de Cuellar	2,80	1,12
4. Wałęsa	2,66	1,08
5. Jaruzelski	2,50	3,55
6. Dobraczyński	2,18	1,80
7. Bujak	2,15	0,87
8. Reagan	2,02	1,90
9. Rakowski	1,94	2,58
10. Czernienko	1,86	3,45

Wnioski z tych cyfr nasuwają się same. Najbardziej chyba dziwi wysoka pozycja sekretarza generalnego ONZ. Opinie Wałęsy i Jaruzelskiego są niemal jednakowo oceniane, podobnie jak Dobraczyńskiego i Bujaka, przy czym wpływ szefa PRON-u jest zdaniem respondentów znacznie wyższy, niż przywódcy TKK.

Powyższe dane statystyczne otrzymałem od mego przyjaciela z Polski jako uzupełnienie do mego listu publikowanego na łamach *Kultury* na temat świadomości socjalistycznej robotników polskich. Nie znam autorów tych badań. Poza tym jak wszystkie badania mogą budzić sceptycyzm, ale mogą też prowokować do zastanowienia — co polecam — nad stanem świadomości społecznej i narodowej.

Wydaje mi się, że wnioski w tym względzie nie mogą być optymistyczne.

Każda krytyka winna się kończyć jakąś propozycją. Nie czuję się jednak predestynowanym do podawania lekarstw na narodowe schorzenia. Chciałem je tylko raz jeszcze uświadomić. Uświadomić powagę sytuacji i przekonanie, że jeśli każdy z nas nie zrobi bodaj kroku w stronę wyjścia z istniejącego marazmu i tendencji ściągających naród w dół, to zaprzepaszczone zostanie kolejna szansa, która się zrodziła 31 sierpnia 1980 roku.

Krzysztof TUROWSKI

Kształtowanie atmosfery apatii

Całokształt politycznego oddziaływania władz na społeczeństwo, w tym szczególnie na inteligencję, zmierza w kierunku kształtowania atmosfery apatii, zniechęcenia i rezygnacji, totalnej i nieodwracalnej klęski wszelkich aspiracji społecznych i pogodzenia się z modelowaną przez władze rzeczywistością. Wśród licznych tej polityki przykładów nader wymownym bo i w strefie symboliki wkraczającym przykładem jest „potajemne” wystawienie w kwietniu 1985 marmurowego pomnika ofiarom „hitlerowskiego faszyzmu” pomordowanym w Katyniu. Istotą tego posunięcia nie jest wcale chęć wprowadzania w błąd opinii publicznej o faktycznych sprawcach zbrodni, co do których same władze, jak świadczą wypowiedzi prywatne, nie mają żadnych wątpliwości, lecz o swoiste „posłanie w kamieniu”: każdy obywatel ma sobie uprzytomnić, że jedynie władza władna jest stanowić fakty i przedstawiać je społeczeństwu ku trwałej pamięci.

Jednocześnie nabrały na nowo rumieńców liczne rzekome „przebiegi” ze „sfer wyższych” (faktycznie produkt służb specjalnych często wracający do kraju za pośrednictwem zachodnich środków przekazu jak np. ostatnio w *Der Spiegel* na temat rzekomej treści rozmowy Gorbaczow-Jaruzelski), że „Generał i jego ludzie” zmuszeni są swoimi rękoma (ale możliwie delikatnie) czynić to wszystko co wymusza na nich „Moskwa”, a czego uniknąć się nie da nie powodując ingerencji w sprawy polskie bardziej drastycznej czy to w postaci dojścia do władzy stalinowców czy też wzrostu bezpośredniego zaangażowania się „starszego brata” wobec przeciągających się ceregieli w traktowaniu „sił antysocjalistycznych”. W nurcie tej propagandy rozpowszechniana jest wersja, wzbogacana przez rodzimych, nadzianych strachem intelektualistów, że z trzech czynników które różnią Polskę od innych krajów obozu, tzn. Kościoła, gospodarki chłopskiej i „wolności akademickich” te ostatnie mają być w pierwszej kolejności likwidowane, m.in. w drodze „nowelizacji” ustawy o szkolnictwie wyższym. Wśród intelektualistów, którzy w różnym stopniu współdziałają z władzą a jednocześnie zależy im na opinii społecznej przed którą chcą uchodzić za rzeczników umiaru i rozwagi, obrońców „substancji” wylęga się ostatnio opinia, która jako główny problem wewnętrzno-polityczny wysuwa zmagania się Generała z rodzimym „betonem”. Na użytek intelektualistów zachodnich głównie francuskich są one przyrównywane do zmagania de Gaulle'a z OAS. W świetle tezy że główny front walki to walka z „większym złem” — pogrobowcami stalinizmu — sprawy policyjnych i sądowych represji wobec przedstawicieli opozycji, nie mówiąc już o „łagodnych krokach” administracyjnych

takich jak *Berufsverbot*, bywają wyraźnie bagatelizowane. Znamiennie, że rzecznicy tych poglądów intensyfikują ich „sprzedaż” w czasie kiedy oburzone zwolnieniem kolegi środowiska przygotowują protest, aby uchylić się od swojego w nim udziału.

Projekt „nowelizacji”, a faktycznie nowej, w duchu totalitaryzmu, ustawy o szkołach wyższych, likwiduje wszelkie pozostałości autonomii uniwersyteckiej i przekazuje pełnię władzy w ręce ministra i jego uniwersyteckich mandatariuszy. Ciąta kolegialne jak senat, rady wydziałów przestają być faktycznie ciałami wybieralnymi, ich skład radykalnie zmieniony, ich kompetencje sprowadzone niemal do zera. Studenci tracą swoje przedstawicielstwa i swój samorząd na rzecz zaakceptowanych przez władze organizacji młodzieżowych, do których należy 1% do 3% ogółu studentów. Władze nie przestają ignorować wielomiesięcznego protestu środowisk uniwersyteckich, który w drodze sondaży i głosowań wykazał że 82% ogółu studentów i pracowników jest przeciwko „nowelizacji”. Można odnieść wrażenie, że władze nie przeszkadzają tym licznym objawom sprzeciwu licząc, że zdyskontują je, z chwilą uchwalenia ustawy przez sejm, w postaci całkowitej rezygnacji, apatii i załamania tej „niemilczącej większości”, która walczy o utrzymanie kadłubowej autonomii szkół wyższych.

W przeciwieństwie do uczelni w PAN i jej instytutach sytuacja jest inna bowiem okres „Solidarności” nie przyniósł tutaj żadnych istotnych zmian utrwalonych w postaci aktów prawnych, powrót więc do statusu *quo ante* był tu szybki i dla władzy prawie bezbolesny (choć większość była za reformą PAN, znaczne podziały i w tym tendencje zmierzające do zmian zbyt radykalnych sprawiły że „okres możliwości” upłynął tu pod znakiem „niemożności”). Skład mianowanych rad naukowych instytutów zależy tu od sekretarza naukowego i sekretarzy poszczególnych wydziałów. W niektórych instytutach z rad usunięto wszystkie lub większość osób niewygodnych i o powoływaniu zaczęły decydować nie względy naukowe lecz stopień uległości. Nic też dziwnego, że podczas kiedy pracownicy naukowcy po internowaniu lub areszcie wracali na wyższe uczelnie, na swoje dawne stanowiska pracy, w PAN sprawy te szczególnie z biegiem czasu zaczęły upodabniać się do sytuacji w przedsiębiorstwach państwowych. Sekretarz naukowy PAN oraz podlegli mu urzędnicy-profesorowie zaczęli sprzeciwiać się ponownemu zatrudnieniu represjonowanych z powodów politycznych (do głośniejszych należy odmowa zatrudnienia K. Modzelewskiego). W uczelniach zaś usuwanie osób na polecenie władz musiało się odbywać w drodze ingerencji samego ministra i przy łamaniu obowiązujących postanowień prawnych, jak jak to miało miejsce w wypadku zwolnienia z uniwersytetu w Poznaniu filozofa-marksisty prof. Leszka Nowaka.

Zwolnienie Bronisława Geremka z pracy w Instytucie Historycznym PAN wkrótce po spotkaniu z ministrem Hume jest

ważnym ogniwem w akcji eliminowania słyszalnego publicznie głosu, odmiennego od poglądów władzy, oraz ubezwłasnowolnienia środowisk intelektualnych, terroryzowanych groźbą utraty pracy.

Podany przez rzecznika rządu pretekst, który posłużył do wypowiedzenia stosunku pracy — rzekomo antysowiecki charakter wystąpienia publicznego — nie był prawdziwy. Prof. Geremek w marcu bież. roku miał wykład w uniwersytecie w Gdańsku „Polska między Wschodem i Zachodem w wiekach średnich”. „Wieki średnie” zostały opuszczone, jednocześnie prof. G. przypisało niektóre wypowiedzi w dyskusji po wykładzie, w której nawiązywano do czasów nowszych i wypowiadano się krytycznie o stosunkach polsko-sowieckich, co zwykło się w żargonie politycznym kwalifikować jako wypowiedzi antysowieckie. Próby rzetelnego sprawdzenia wysuniętych publicznie zarzutów zostały przez władze i sekretarza naukowego PAN zignorowane. Znamiennie że sekretarz naukowy PAN, który podpisał zwolnienie, „tłumaczac się”, podkreślał w rozmowach z osobami piasującymi różne godności i urzędy w PAN, że wykonywał polecenie „władz wyższych”. Ponieważ statut PAN nie przewiduje w zakresie zatrudniania i zwalniania pracowników ingerencji z zewnątrz, polecenie takie mało charakter bezprawny. Przy okazji ujawnił się fasadowy charakter wybieralnych władz PAN, w pierwszym rzędzie jej prezesa i członków prezydium. Całość decyzji skupia sekretarz naukowy PAN formalnie również obieralny ale faktycznie nominat partii i rządu. Jego rola jako instrumentu represji politycznej ujawnia się w pełni w piśmie wystosowanym do wszystkich instytutów naukowych PAN polecającym ukarać zakazem wyjazdu za granicę w celach badawczych, udziału w konferencji itp., wszystkich tych, którzy złożyli swój podpis pod protestami przeciwko zwolnieniu prof. G. Zwolnienie bowiem to spowodowało w różnych instytucjach naukowych zarówno podległych PAN jak i uniwersyteckich sprzeciw. Kilkanaście pism podpisanych, każde przez kilkudziesięciu pracowników naukowych, i adresowanych do Prezydium i prezesa PAN trafiło natychmiast do rąk sekretarza naukowego, natomiast Prezydium PAN składające się z 40 osób, w tym również autentycznych uczonych, w sprawie tej stanowiska nie zajęło.

Wiadomo już że wyjazdy niektórych sygnatariuszy protestu w sprawie G. zostały w ostatniej chwili wstrzymane, są również notowane zdjęcia ze stanowisk kierowników zakładów naukowych oraz wicedyrektora instytutu. Notowano też próby namawiania do cofnięcia podpisu (w rozmowach indywidualnych), o ile wiadomo bez powodzenia.

Tymi łagodnymi formami represji typu administracyjnego władze zmierzają do wywołania podziałów w samym środowisku naukowym, co trzeba stwierdzić, w części im się udaje. Nie chodzi tu o zwolenników władzy choć trzeba podkreślić że niekiedy więcej zrozumienia i solidarności w proteście ujawniali partyjni profesorowie podczas kiedy niektórzy bezpartyjni nie mieli od-

wagi wystąpić publicznie. Swoj strach najczęściej objawiali znikając na czas zbierania podpisów z instytutów lub odmawiając z powoływaniem się na konieczność ratowania „substancji” („bo nas wszystkich rozpędzą”) lub, co rzadkie, deklarując brak sympatii dla osoby zwolnionego. Te podszyte zwykłym strachem motywacje doczekały się już nagrody — wyjazdy zagraniczne pracowników naukowych PAN, którzy nie podpisali protestu, będą normalnie realizowane.

L.

25 maja 1985

MSZA ŚW. Z OJCEM ŚWIĘTYM W CASTEL GANDOLFO
— 2 WRZEŚNIA 1985 ZA TYCH, KTÓRZY ZGINĘLI
W OBRONIE WOLNOŚCI

MODLITWA POWSZECHNA (2 września 1985)

1. Módlmy się za Piotra naszych czasów — Jana Pawła II, aby kochając więcej niż inni, wspierany działaniem Ducha Świętego, umacniał wszystkich, a nas szczególnie, w wierze, miłości i nadziei. Ciebie...
2. Módlmy się za Księdza Prymasa i Episkopat Polski, aby naśladując wiarę i Męstwo Apostołów, odważnie bronili powierzony sobie Naród przed niesprawiedliwością, kłamstwem i totalnym zniewoleniem. Ciebie prosimy...
3. Módlmy się za naszą Ojczyznę, aby była naszym prawdziwym domem, w którym my sami moglibyśmy decydować o jej losie i solidarnie bronić jej niepodległego bytu przed zakusami przemocy. Ciebie prosimy...
4. Módlmy się za polskich robotników, rolników i ludzi kultury, aby ich trud mógł służyć zawsze dobru i ubogaceniu wszystkich ludzi w naszej Ojczyźnie i nigdy nie był marnowany, a niekiedy obracany przeciw samym mieszkańcom tej ziemi. Ciebie prosimy...
5. W piątą rocznicę umów Gdańskich, Szczecińskich i Jastrzębskich módlmy się za wszystkich, którzy ochotnie służyli Narodowi pod sztandarem Solidarności, znosząc prześladowania i przemoc ze strony tych, którzy nie dotrzymali słowa. Ciebie prosimy...
6. Módlmy się za tych, którzy oddali życie w obronie prawdy, sprawiedliwości i niepodległości naszej Ojczyzny, za tych, którzy zginęli w obozach, za tych, którzy zostali zamordowani w kopalni Wujek, w Lubiniu, w Nowej Hucie, we Wrocławiu, na Wybrzeżu, za Ks. Jerzego, aby Dobry Bóg obdarzył ich szczęściem...
7. Módlmy się za nas samych, abyśmy obdarzeni zostali darem Mądrości i odwagi, byśmy nigdy nie zwątpili w moc Bożą i ufny sercem uciekali się do Tej, Która od wieków ratowała nasz Naród od upadku i ostatecznej zagłady. Ciebie prosimy...

HOMILIA

WYGŁOSZONA W KAPLICY MB CZĘSTOCHOWSKIEJ POD
BAZYLIKĄ ŚW. PIOTRA DNIA 31 SIERPNI 1985 ROKU
W PIĄTĄ ROCZNICĘ UMÓW GDAŃSKICH — SZCZECIŃSKICH
— JASTRZĘBSKICH

Kochani!

Dobrze się stało, że właśnie tu, w kaplicy polskiej pod Watykanem, u stóp Matki Bożej Częstochowskiej, tuż przy grobie św. Piotra, czcimy 5-lecie Umów Gdańskich, Szczecińskich i Jastrzębskich. Właśnie tu, w domu Ojca Świętego, Polaka, czujemy się najbezpieczniej i jeszcze raz wracamy myślą i sercem do tamtych dni oczekiwanych przez cały niemal świat z zapartym tchem. I choć od dziesiątków lat są tacy, którzy — nawiązując do dzisiejszej Ewangelii — chcą zakopać, przysypać ziemią talenty tego Narodu, którzy czyhają, aby ten Naród zubożyć, ograniczyć, skarlić, uczynić z niego skłócone zbiorowisko przyziemnych istot, to jednak koniec tych jest zawsze taki sam: wyrzucenie precz — co spotkało nieużytecznego sługę.

Siły te usiłowały w 1981 roku zabić Ojca Świętego, aby łatwiej ujarzmić Naród, za którym się wstawiał. Aby tym łatwiej uczynić z tego Narodu bezwolne narzędzie produkcji, która nie wiadomo kogo żywi. Siły te targnęły się na życie wielu tych, którzy usiłowali być głosem uciemżonych.

5-lecie Umów przede wszystkim uczy nas tej ważnej prawdy, że Naród jest wciąż tak żywy, drzemią w nim tak ogromne siły, że gdy chce i bardzo chce, może zmobilizować całe niemal społeczeństwo ku dobru; że ma wciąż takie energie, iż pomimo sił przeciwnych, potrafi być sobą i potrafi zachować swoją narodową tożsamość. Siły te płyną z Jezusa Chrystusa, który przez chrzest związał się z Narodem i daje każdemu pokoleniu moc potrzebną do przetrwania i do rozwijania talentów, którymi został obdarzony przez Boga.

5-lecie więc jest radosnym przypomnieniem zwycięstwa mocy Bożych w duszach i sercach naszego Narodu. Jest przypomnieniem wydarzenia, które — jak Konstytucja 3 Maja kiedyś — przez całe dziesięciolecie będzie budziło podziw i chęć czynu u kolejnych pokoleń Polaków.

5-lecie jest jednak także przypomnieniem zdrady, podłości, przypomnieniem faktu, że człowiek bez Boga w sercu, jest najczęściej człowiekiem bez honoru, człowiekiem, któremu nie można wierzyć, bo nie jest zdolny wypełnić tego co przyrzekł. Tak było ze wszystkimi dotychczasowymi uzgodnieniami, które zawierano ze społeczeństwem na przestrzeni kilku ostatnich dziesięcioleci. Jedynym argumentem dla tych ludzi jest siła, przemoc, której się chwytają przy każdej okazji, chyba, że czują się słabsi — wtedy przybierają postać ludzi dialogu.

5-lecie, które przeżyliśmy od sierpnia 1980 roku — to ciężka droga Krzyżowa tych wszystkich, którym bliskie są ideały „Solidarności”. Na tej drodze krzyżowej spotykamy zwycięskiego Chrystusa, ale spotykamy też Judaszów, mistrzów przekupstwa, płaczące niewiasty, pomagających Cyrenejczyków. Spotykamy też naszą i Chrystusa Matkę. Jeżeli chcemy, by nasza droga krzyżowa zakończyła się zwycięstwem, zmartwychwstaniem, musimy stać blisko Tej, która jest naszą Matką i Królową. Ona tyle razy ratowała nasz Naród z ostatecznej klęski, i tym razem pomoże nam przetrwać, poprowadzi nas do ostatecznego zwycięstwa. Amen.

o. Konrad HEJMO, OP

Rzym

NOWOŚCI WYDAWNICZE

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 400 — CZESŁAW MIŁOŚZ

NIEOBJĘTA ZIEMIA

Zbiór nowych wierszy i epigramów

Str. 148.

Cena F. 55,00.

TOM 401 — JÓZEF ŁOBODOWSKI

DWIE KSIĄŻKI

Na tom składają się dwa tomiki poezji: „Dytyramby nieprzejednane” o charakterze zdecydowanie politycznym i „Południe fauna” o charakterze całkowicie odmiennym: są to pejzaże, niekiedy mitologiczne i erotyki pisane w różnych epokach.

Str. 108.

Cena F. 45,00.

TOM 402 — ZOFIA ROMANOWICZOWA

NA WYSPIE

Nowa powieść znanej autorki to dzieje młodej Polki, ocalałej z niemieckiego obozu śmierci, którą dziwne koleje losu wyrzuciły na wyspę świętego Ludwika w Paryżu.

Str. 168.

Cena F. 65,00.

TOM 404 — ADAM MICHNIK

Z DZIEJÓW HONORU W POLSCE

Wypisy więzienne

Próba analizy problemu honoru we współczesnej literaturze polskiej ilustrowana fragmentami utworów Zbigniewa Herberta, Hanny Malewskiej, Czesława Miłosza, Jana Józefa Szczepańskiego oraz Henryka Elzenberga i Witolda Kuli.

Str. 288.

Cena F. 95,00.

TOM 405 — JAN MUR

DZIENNIK INTERNOWANEGO

(GRUDZIEŃ 1981 - GRUDZIEŃ 1982)

Str. 200.

Cena F. 85,00.

Sąsiedzi

Trzeci numer "Widnowy"

Ukazał się trzeci numer czasopisma *Widnowa* (Odnowa), wychodzącego od ubiegłego roku w Monachium. Jest to numer podwójny, za lato i jesień 1985. Książkowego formatu, liczy sobie 280 stron, co nawet jak na podwójny numer kwartalnika wygląda dość imponująco. W skład blisko dwudziestoosobowego komitetu redakcyjnego wchodzi oprócz Ukraińców Rosjanie, Polacy, Żydzi i przedstawiciele innych narodowości, a więc mamy do czynienia z czymś w rodzaju swoistego ekumenizmu polityczno-publicystycznego. Numer poświęcony został w całości „wzajemnym zagadnieniom polsko-ukraińskim”, co zwrócić musi na niego specjalną uwagę polskiej emigracji.

Otwiera go zasadniczy artykuł Bohdana Osadczyka, poddający solidnej analizie stosunki polsko-ukraińskie w stosunkowo niedawnej przeszłości. Autor nie ukrywa ciemnych stron tych stosunków. Dostrzega np. rolę prowokacji niemieckiej lub sowieckiej, ale nie przypisuje jej głównego znaczenia. Przyczyny wrogości polsko-ukraińskiej kryły się gdzie indziej. „Byłoby wielkim uproszczeniem — pisze słusznie Osadczyk — gdyby ktoś spróbował wyjaśniać polsko-ukraińskie konflikty i wzajemne rzezie podczas drugiej wojny światowej czy masową deportację Ukraińców z Łemkowszczyzny w roku 1947 jedynie intrygami sąsiadów. Że owe intrygi przyczyniły się do tego, to jedna sprawa, a że Polacy i my, Ukraińcy — każdy na swój sposób i według swoich możliwości — czyniliśmy rzeczy najgorsze, to druga sprawa i bezsprzecznie najważniejsza”.

Gdy strona przeciwna zajmuje taką rozsądną postawę, droga do obiektywnej dyskusji zostaje szeroko otwarta. Cały numer *Widnowy* został zredagowany właśnie w taki sposób: mówienie prawdy obydwu stronom, choćby była ona najnieprzyjemniejsza. Oficjalnie mówi się, że do starej waśni polsko-ukraińskiej nie ma już powrotu i że wszelkie powody dawnej wrogości zostały raz na zawsze usunięte. Wiemy jednak, iż rzeczywistość

jest całkowicie odmienna. Reżym generała Jaruzelskiego prowadzi politykę zdecydowanie antyukraińską, usiłując skierować antysowieckie i antyrosyjskie nastroje społeczeństwa przeciw Ukraińcom. W ankiecie, przeprowadzonej z wybitnymi polskimi działaczami na emigracji i w kraju znalazły się między innymi następujące pytania: „Od niedawna w Polskiej Republice Ludowej rozszerzyła się gwałtowna kampania antyukraińska. Co jest przyczyną tej kampanii? Skąd wyszła inspiracja? Kto bierze w niej udział?”. Jedna z osób ankietowanych — mianowicie Jerzy Giedroyc — odpowiedziała w sposób równie kategoryczny, jak niedwuznaczny: „Nie mam najmniejszych wątpliwości, że prowadzona obecnie w Polsce antyukraińska kampania została zainspirowana przez Moskwę. Porozumienie i normalizacja stosunków polsko-ukraińskich stanowiłyby, rzecz zrozumiała, groźbę dla sowieckiego imperium”.

Dotychczas prawie zawsze działo się tak, że gdy emigracyjne czasopisma zabierały głos w sprawie krwawych wydarzeń podczas drugiej wojny światowej na terenie polsko-ukraińskim, zarzuty były niemal zawsze skierowane przeciw jednej stronie. Trzeci numer *Widnowy* nie popełnia tego błędu. W artykule Mychajły Demkowycza-Dobriańskiego znalazło się kilkanaście przykładów zbrodni, popełnianych przez obydwie strony. „Wołyń, Chełmszczyzna i Hałyczyna były podczas drugiej wojny światowej — pisze Dobriański — terenem tragicznych wydarzeń w konsekwencji polsko-ukraińskiego konfliktu. Tysiące ludzi zamordowano, często przy akompaniamencie znęcania się i tortur”. Dobriański nie oszczędza nikogo i podaje szereg przykładów straszliwych scen, jakie działy się w owych latach na wymienionych terenach.

„Dotąd nie mamy — czytamy w dalszym ciągu — całościowego poglądu na historię ukraińsko-polskiego konfliktu podczas drugiej wojny światowej. Istnieją wzajemne oskarżenia. Polacy krzywdzili w tej walce naszych ludzi i my, Ukraińcy, krzywdziliśmy Polaków. Obie strony kultywują pamięć o tym, co komu uczyniono. A tak naprawdę obydwu narodom potrzebna jest obiektywna historia tego okresu”.

Niewątpliwie odegrały swoją rolę nieuzasadnione nadzieje ukraińskie na Niemców i niedocenienie przez obydwie strony niebezpieczeństwa sowieckiego.

„Jak wiemy *post factum* — to dalszy cytat z tegoż artykułu — z 'Dziennika' generalnego gubernatora, Hansa Franka, i z wypowiedzi Himmlera, ich reżym nie robił istotnej różnicy w traktowaniu ukraińskiego i polskiego narodu. Jedni i drudzy należeli do rodzaju *Untermensch*ów. Warszawa była dwukrotnie zrujnowana, Kijów miał być zrównany z ziemią. Rozkazu tego nie wykonano wyłącznie z powodów technicznych. Hans Frank zapisał: 'Gdy wygramy wojnę, zrobimy siekane mięso i z Polaków i z Ukraińców'. O nastawieniu Hitlera do narodów słowiańskich można było dowiedzieć się z jego książki 'Mein Kampf', w której szczególnie pogardliwie wyrażał się o galickich 'Rusi-

nach'. Ale Ukraińcy nie czytali tej książki. Znam tylko trzy osoby z Hałyczyny, które ją czytały przed wojną”. Powstaje pytanie: ilu Polaków przeczytało „Mein Kampf” i ilu z tych, co ją przeczytali, wzięło wyłożone tam idee i pomysły na serio?

Inny znamienity fragment z artykułu Osadcuka: „Tak Rosja, jak i Niemcy widziały w możliwości rozpalania polsko-ukraińskich konfliktów instrument, służący do urzeczywistniania własnych imperialistycznych interesów. Tak było za republiki weimarskiej i za reżymu hitlerowskiego. Jak dalece Niemcy to rozumieli i realizowali, mogli się ich ukraińscy 'sojusznicy' przekonać po podpisaniu polsko-niemieckiej umowy o nieagresji w roku 1934 i paktu między Hitlerem i Stalinem w roku 1939. Do tego ABC niemiecko-ukraińskiej współpracy można jeszcze dodać sprzedaż Karpackiej Ukrainy Węgrom Horty'ego na wiosnę 1939 roku. Ale istnieją bardziej niepokojące przykłady, które powinny stać się dla obecnych i przyszłych pokoleń ukraińskich przestrogą przed udziałem zarówno w moskiewskich, jak i niemieckich planach, skierowanych przeciw Polsce. Konkretnie mam na myśli następujące zjawisko: kiedy w latach 1920 i 1939 niemieckie koła wojskowe i wywiadowcze podtrzymywały antypolską działalność ukraińskich nacjonalistów, jednocześnie aktywnie współpracowały z bolszewicką Moskwą, nie wtrącając się do antyukraińskiej polityki Stalina. Dmytro Doncow, główny ideolog ukraińskiego nacjonalizmu, nigdy jasno nie powiedział swoim zwolennikom o tym rozdwojeniu niemieckich „sojuszników”. Całkowity krach tej orientacji nastąpił dopiero po epizodzie z 30 czerwca 1941 roku we Lwowie, kiedy faktycznie podzielono terytorium Ukrainy między Niemcy, Węgry i Rumunię”. Jak wynika z powyższego cytatu, Osadcuk nie przypisuje intrygom sąsiadów zasadniczego znaczenia.

Aż do Układu Warszawskiego między Piłsudskim i Petlurą polska myśl polityczna nigdy nie stawiała na niepodległość Ukrainy, wysuwając pretensje do granic na wschodzie z roku 1772. A jak było za drugiej niepodległości? Ma rację Osadcuk, że niewiele się zmieniło na korzyść. Osadcuk uczciwie wymienia wszystkie grupy, które usiłowały zmienić postawę społeczeństwa polskiego, jak na przykład *Biuletyn polsko-ukraiński* Włodzimierza Bączkowskiego, *Bunt Młodych*, przekształcony następnie w *Politykę* Jerzego Giedroycia, ruch prometejski, chełmską *Kamień*, ale jednocześnie słusznie stwierdza, że były to „małe wysepki w morzu wrogości i ignorancji”, albo „białe kruki”, jak je nazwał... Iwan Kedryn-Rudnycki.

Wśród młodzieży endeckiej, która grała główne skrzypce na uniwersytetach i w wojsku, panowała zasada „trzymania za mordę”. Jak mi powiedział w dyskusji pewien przyjaźnie do mnie nastawiony major z lubelskiego 8-go Pepelegu: „byliśmy tyle czasu pod wozem, dlaczego teraz nie mamy się odkuć za tamte czasy?”. Odpowiedziałem: „A jeżeli znowu znajdziemy się pod wozem, co wtedy?”. I tak rzeczywiście się stało. Stare zwyczaje nie zniknęły i na emigracji. „Nie mamy czego się wstydzić!” —

zapewniał pewien emigrant w liście do redakcji w odpowiedzi na mój artykuł, usiłujący przedstawić sprawę w prawdziwym świetle, a nie jako wymyśloną sielankę. „Nasze narody — ukraiński i polski — pisze w zakończeniu swego artykułu cytowany już powyżej Demkowycz-Dobriański — mają żyć i wywalczyć sobie lepszą przyszłość. Należy przedkładać drogę uspokojenia, zbliżenia i współpracy, bo tylko wspólnym wysiłkiem te dwa narody mają szansę obronienia się przed wspólnym wrogiem — komunistycznym imperializmem rosyjskim”.

Cóż dodać do tych słusznych i mądrych słów? „Warunkiem takiej współpracy ma stać się przeczystnienie atmosfery na drodze wzajemnego przebaczenia. Zgłaszając taki warunek, jednocześnie go wykonuję: *przebaczam*. I proszę, aby nam wybaczone. Ale wybaczyć można tylko to, co jest znane. Toteż poznanie ukraińsko-polskiej tragedii podczas drugiej wojny światowej jest naszym wspólnym obowiązkiem. Postanówmy zatem, że nigdy więcej nie może, nie śmie powtórzyć się bratobójcza walka między naszymi narodami”.

A czy nie ma po obydwu stronach czynników, które już szykują się do krwawej powtórki? Wystarczy uważnie poczytać prasę emigracyjną, wśród której nie brakuje publicystów, którym najwidoczniej zależy na tym, aby stara nienawiść kwitła w dalszym ciągu i pogłębiała się. Jakże! — są bohaterzy, którzy już szykują polskie armie, mające maszerować na Lwów, aby pomścić śmierć polskich kobiet i dzieci, pomordowanych w latach drugiej wojny światowej, oraz na Wilno. Sami nie wybierają się maszerować, bo ledwie chodzą, niektórzy o laskach. Ja także chodzę o lasce, ale się na wojenny marsz nie wybieram i innych, młodych do tego nie namawiam. Kiedyś pewien Polak zapytał mnie: 'Ilu naszych Ukraińcy zamordowali w latach 1943-1945?'. Odpowiedziałem: 'Nie liczyłem!'. Nie liczyłem także Ukraińców, zamordowanych przez Polaków.

Po zawarciu pokoju ryskiego, który stanowił zwycięstwo polskiej endecji nad federacyjnymi planami Józefa Piłsudskiego, ze starej Rzeczypospolitej pozostała jedynie nazwa. Zwycięstwo w wojnie z armią halicką przyniosło panowanie nad Lwowem na dwadzieścia lat, po czym prawie wszystkie ziemie o większości ukraińskiej dostały się pod panowanie moskiewskie, a i sama Polska również, chociaż zachowane zostały pozory niepodległości. Z artykułem Osadczyka sąsiaduje znakomita praca Łysiaka-Rudnyckiego pod tytułem „Historyczne doświadczenia”. Autor przypisuje większą odpowiedzialność za nieudaną współpracę w stosunkach polsko-ukraińskich polskiej stronie. Tak istotnie było. Polska strona była zawsze silniejsza i to decydowała.

„Historyczna dokumentacja — pisze Rudnycki — dowodzi bez wątplenia, że poczynając od późnego Średniowiecza Polska była na ogół silniejsza i bardziej rozwinięta od Ukrainy. Siła Polski w zestawieniu z Ukrainą wypływała nie z jakiejś przyrodzonej niższości Ukraińców, czy z przyrodzonej wyższości Polaków, lecz z potężnych geopolitycznych czynników, takich jak bez-

bronne położenie Ukrainy na stepowej równinie i bliskość rosnącej potęgi Moskiewii-Rosji. Niestety, Polacy wykorzystywali swoją stosunkową przewagę nad ukraińskimi sąsiadami z małym politycznym wyczuciem i dalekowzrocznością”.

Dalej Rudnycki precyzuje swoje stanowisko: „Przerzucając na Polaków główny ciężar odpowiedzialności za katastrofalny rozwój polsko-ukraińskich stosunków, absolutnie nie mam zamiaru wybielać Ukraińców. Oni także popełnili mnóstwo błędnych posunięć i sądów, tracąc niejedną okazję do porozumienia. Doprawdy, przy przeglądzie dokumentacji stosunków polsko-ukraińskich często uderza wielkie podobieństwo stanowisk i postępowania obydwu społeczeństw. Ale właśnie dlatego, że Polacy byli zazwyczaj silniejsi, mieli większe możliwości zapobiegania nieszczęściu”.

Rudnycki nie jest optymistą. Widzi rzeczywistość bez różowych okularów. Oto zakończenie jego artykułu, nad którym nie jeden Polak powinien się głęboko zastanowić: „Jeszcze jedno końcowe ostrzeżenie. Jakże często w przeszłości Polska znajdowała się w stosunkowo (choćby tylko stosunkowo) wygodniejszej sytuacji niż Ukraina. Zarówno Polska jak Ukraina są w niewoli imperialnego systemu Rosji Sowieckiej, ale status Polskiej Republiki Ludowej jest wyraźnie wyższy od statusu Ukraińskiej Sowieckiej Socjalistycznej Republiki. W ZSSR zagrożone jest — jak podczas wielkiego najazdu Mongołów — samo istnienie narodu ukraińskiego, podczas gdy Polska, chociaż kontrolowana przez Moskwę i jej podporządkowana, jeszcze korzysta z zewnętrznych atrybutów suwerenności i niemal pełni życia narodowego. Istnieje potencjalne niebezpieczeństwo, że podobnie jak w przeszłości, Polska może ulec pokusie nadużycia swojej większej siły, aby odnowić terytorialne pretensje do ziem ukraińskich właśnie w chwili, gdy cała energia ukraińskiego narodu będzie konieczna dla ostatecznego rozrachunku z Rosją. Mamy nadzieję i modlimy się, by nigdy nie powtórzyły się dawne błędy, za które tak drogo zapłaciły i naród ukraiński, i polski”.

Wiadomo, że na emigracji istnieje i działa niemała grupa polityczna, która postawiła sobie za zadanie dogadanie się z Rosją, obecną czy przyszłą, w sprawie dawnych ziem wschodnich. Grupa ta uważa samą działalność proukraińską za zdradę polskiej racji stanu, Ukraińców za głównego wroga Polski, a odnowienie traktatu ryskiego za nadrzędny cel polskiej polityki wschodniej. Obawa Rudnyckiego nie jest więc tworem imaginacji. Wspomniana grupa twierdzi, że w Polsce niepodległej będzie miała głos decydujący. Po stronie rosyjskiej również istnieją grupy polityczne, skłonne do identycznych rozwiązań. Wystarczy przypomnieć, co Sołżenicyn miał do powiedzenia na temat Ukraińców halickich: że Stalin popełnił błąd, przyłączając ich do państwa rosyjskiego. Nacjonaliści rosyjscy chętnie rzekliby się Lwowa, byle utrzymać Kijów i Charków.

Prawie sześćdziesiąt stron zajęła w tym numerze polemika o stosunkach polsko-ukraińskich, która rozgorzała w Polsce na

wiosnę ubiegłego roku. Sprowokował ją wywiad Piotra Łuczki z profesorem historii na Uniwersytecie Warszawskim, Jerzym Tomaszewskim. W wywiadzie tym była mowa nie tylko o stosunkach polsko-ukraińskich, Tomaszewski miał odwagę stwierdzić, że rzeź była wzajemna, a nie — jak zapewnia propaganda reżimu warszawskiego — wyłącznie skierowana przez Ukraińców przeciw ludności polskiej. Natychmiast po ukazaniu się wywiadu z Tomaszewskim nastąpiły repliki publicystów komunistycznych: Jacka Wilczura, Jędrzeja Sereta, Wojciecha Janickiego... Posypały się także listy od czytelników, jedne obraźliwe i wrogie profesorowi Tomaszewskiemu, inne solidarne z nim. Tomaszewski odpowiedział w listopadowym numerze poznańskiego miesięcznika *Nurt*, w którym ukazał się uprzednio ów wywiad.

Wspomniałem już o ankiecie *Widnowy* z wybitnymi polskimi działaczami, między innymi z redaktorem paryskiej *Kultury* Jerzym Giedroyciem, z Janem Kielanowskim, Janem Józefem Lipskim, Ryszardem Łużnym i jeszcze trzema panami z kraju i z emigracji. Wszyscy są zgodni co do konieczności dyskusji i porozumienia Polaków z Ukraińcami.

Numer uzupełniają źródłowy artykuł Jerzego Iranka-Osmekiego o zeszłorocznym zjeździe „Polonii” w Londynie i o uchwalonych na nim rezolucjach w sprawie stosunków polsko-ukraińskich i artykuł profesora Piotra Poticznego o metropolie Szeptykim.

Nie jest to pierwsza próba zaznajomienia emigracyjnego czytelnika ukraińskiego z poruszonymi tematami, ale z prób dotychczasowych na pewno najsolidniejsza i bodaj najuczciwsza. Autorzy niczego nie usiłują ukryć, mówią całą prawdę, nie licząc się z zastarzałymi kompleksami po jednej i drugiej stronie. Jest to jedyny właściwy sposób, aby dojść do prawdziwego porozumienia. Dzieli nas tyle krzywd, tyle przelanej krwi, tyle ludzkiego nieszczęścia, że tylko mówienie całej, wolnej od hurra-patriotycznych frazesów prawdy może nas wyprowadzić na drogę porozumienia i skutecznej współpracy. Reakcja naszego wspólnego wroga jest niedwuznaczna i wskazuje bezbłędnie, jak powinniśmy postępować. Wydanie trzeciego numeru *Widnowy* stanowi niewątpliwie duży krok naprzód w dziele nawiązywania dobrych stosunków między naszymi narodami.

Dyrektor przedwojennego Instytutu Ukraińskiego w Warszawie, Ołeksander Łotoćkyj, napisał w swoich wspomnieniach z kijowskiej i petersburskiej młodości następujące rozsądne słowa: „Zawsze uważałem i nadal uważam, że ostateczne rozstrzygnięcie historycznych losów naszych narodów polega na zrozumieniu istoty chwili historycznej, w jakiej w konsekwencji minionych sporów nastąpiła obopólna niewola”. Słowa te napisał jeszcze przed pierwszą wojną światową. Dziś, gdy nasza wspólna niewola jest jeszcze gorsza od tamtej, powinniśmy nauczyć się ich na pamięć.

Józef ŁOBODOWSKI

W sowieckiej prasie

Niedawno umarł w szpitalu obozowym rosyjski poeta Walentin Sokołow (Zeka). Piątego września 1985 rozeszła się wiadomość o śmierci w obozie nr 36/I w permskim rejonie jednego z największych współczesnych poetów ukraińskich, Wasyla Stusa. Skazano go w latach 70-tych na pięć lat łagru i trzy lata zesłania na Magadan. W obozie przeszedł ciężką operację resekcji żołądka. Ledwie wyszedł na wolność i zdołał spędzić kilka miesięcy z rodziną w Kijowie, aresztowano go ponownie w maju 1980 roku i skazano za udział w Ukraińskiej Grupie Helsińskiej na dziesięć lat łagru o surowym reżymie i pięć lat zesłania.

W książce „Ukraińskie sylwetki”¹ Michaił Hejfec wspomina ukraińskich więźniów politycznych, z którymi zetknął się w obozie w latach 70-tych, między innymi właśnie Wasyla Stusa — utalentowanego poetę, mężnego, nieugiętego bojownika o wolność człowieka i swojego narodu. Charakter i talent Wasyla Stusa w zupełności wystarczały, by go zamordować (trudno inaczej nazwać jego śmierć w obozie) w dziesiątą rocznicę podpisania umowy w Helsinkach.

Liczne śmierci w obozach, o których się coraz częściej dowiadujemy, znaczą nowy etap sowieckiej polityki karnej. Zrodzony w epoce zamętu po śmierci wodza (kiedy nie wiadano jeszcze dokładnie, jak kontynuować dzieło Stalina bez Stalina) ruch dysydencki został rozgromiony, a sowieccy przywódcy zabrali się do fizycznej zagłady wszystkich adeptów „buntowniczych idei”. „Dysydenci” wszystkich kierunków — obrońcy praw człowieka, nacjonałiści, działacze religijni — po odbyciu jednego wyroku z reguły zasądzeni są na następny. Według nowej ustawy z maja 1985 łatwo będzie ich posyłać do psychuszek. Cel tej operacji: wypalić grunt, na którym mogłyby się rozciąć „dysydenckie” kwiaty, zlikwidować wszystkich, którzy pamiętają, że można wątpić w mądrość sowieckich przywódców.

W dniach, kiedy nadeszła wiadomość o śmierci w obozie Wasyla Stusa, świat zachwycał się właśnie mądrością Gorbaczowa: tygodnik *Time* opublikował długi wywiad generalnego sekretarza KC KPZS (pierwszy, jakiego udzielił zagranicznej prasie). W jakiejś amerykańskiej powieści spec od reklamy zapewniał, że wszystko może: „dajcie mi pieniądze, a przeforsuję na wyborach parszywego psa przeciw świętemu Pawłowi”. Dziennikarze z *Time'a* niewątpliwie byliby zdolni przeforsować w wyborach zwycięstwo Gorbaczowa przeciw jakemukolwiek innemu kandydatowi. Opisuując wycieniowanymi słowami sylwetkę rozmówcy, *Time*

1. *Suczastnist'*, 1983.

omdlewa z zachwytu: „Zapowiadając przetasowanie od góry do dołu letargicznej biurokracji państwowej, walcząc zdecydowanie z alkoholizmem, zadając się ze zwykłymi ludźmi, ściskając dłonie i całując dzieci na podobieństwo amerykańskich polityków, Gorbaczow (czytaj Gor-ba-tchov) jest najmocniejszym sowieckim przywódcą ostatnich dziesięcioleci”. Przekonany widocznie, że to nie wystarczy, *Time* kontynuuje: „W toku rozmowy, która trwała 2 godziny 12 minut — o godzinę dłużej aniżeli było przewidziane — Gorbaczow okazał się człowiekiem dobrze poinformowanym, dobrze wychowanym, energicznym, twardym, dowcipnym, ale przede wszystkim obdarzonym zdyscyplinowanym intelektem”.

Zbędne dowodzić, że po takim wstępie czytelnik rzuca się na wywiad. Przejrzawszy go po angielsku, przeczytałem wersję rosyjską, po czym porównałem. Uzyskałem szczególny obraz, mianowicie dwa niemal różne teksty: jeden dla czytelnika amerykańskiego, drugi dla rosyjskiego. Główne linie zostały wprawdzie zachowane w obu wariantach, jak jednak wiadomo, najważniejsze są drobiazgi. Tylko *Time* mógłby powiedzieć, czy tekst który opublikował został zaaprobowany przez Moskwę, czy też był oryginalnym zapisem rozmowy. Gorbaczow pisemnie odpowiedział na sześć pytań, ale potem wiele punktów „objaśniał” improwizując.

Z tekstu, ogłoszonego przez wszystkie sowieckie gazety, co nieco wypadło. Zabrakło żartu o ministrze finansów RFSSR, który spał na zebraniach, a kiedy go budzono, odpowiadał: nie ma pieniędzy, nie ma pieniędzy. Gorbaczow porównuje go do amerykańskich polityków, którzy zawsze reagują odmownie na pokojowe propozycje ZSSR. Zabrakło też zdania o Bogu, którego Gorbaczow przywołał w prezencie dla Amerykanów. W Związku Sowieckim, jak wiadomo, Boga nie ma i nie było. Podobnie jak nigdy nie było Chruszczowa, którego również wspominał Gorbaczow, dowodząc tym głębokiej znajomości historii.

Co nieco wypadło też z tekstu amerykańskiego. Jest zresztą możliwe, że to, co wydaje się opuszczeniem, zostało dopisane do tekstu rosyjskiego. W każdym razie Gorbaczow w *Time* wypada bardziej pokojowo aniżeli w *Prawdzie*. Czytelnicy *Time'a* odniosą wrażenie, że w Genewie spotka się „gołąb” Gorbaczow z „jastrzębiem” Reaganem.

Czytając pytania, a zwłaszcza odpowiedzi, nie mogłem opędzić się myśli, że skądś znam ten tekst. Ostatnie pytanie i odpowiedź otworzyły mi oczy. Sięgnąłem do dzieł zebranych Stalina w wytwornej wiśniowej oprawie i tam znalazłem wyjaśnienie. I pytania, i odpowiedzi z 1985 roku ze zdumiewającą dokładnością powtarzały pytania i odpowiedzi Stalina z lat 1931-1936. Stalin pierwszego dużego oficjalnego wywiadu udzielił cudzoziemcowi w grudniu 1931 roku. Do tego czasu skromny wódz narodu sowieckiego i światowego proletariatu udawał, że polityką zagraniczną zajmują się inni towarzysze. Z zagranicznymi dyplomatami Stalin zaczął rozmawiać dopiero w roku 1939.

Rozmówcą Stalina w grudniu 1931 był niemiecki pisarz Emil Ludwig, autor książek o biednych ludziach. Właśnie ten wywiad jest modelem wywiadu Gorbaczowa dla *Time'a*. Dziennikarze z *Time'a* opisali skromny, ale ze smakiem urządzone gabinet, w którym ich przyjął Gorbaczow, zwracając szczególną uwagę na stół ze stojącymi wokół osiemnastoma krzesłami. Kiedy Emil Ludwig opisywał gabinet, w którym go przyjął Stalin, zwrócił uwagę na podłużny stół ze stojącymi wokół szesnastoma krzesłami. Można więc z zadowoleniem stwierdzić, że władza sowiecka zdemokratyzowała się drogą rozszerzenia składu: zamiast szesnastu, za „wielkim stołem” siedzi dziś osiemnastu wodzów.

Ostatnie pytanie zadał Gorbaczowowi redaktor naczelny *Time'a* Henry Grunwald: „Czy ludzie boją się Pana?”. W amerykańskim tekście znajduje się w nawiasie uwaga: „Gorbaczow się śmieje”. W tekście sowieckim odpowiada z powagą, o żadnym śmiechu nie ma mowy. Emil Ludwig powiedział Stalinowi: „Wydaje mi się, że znaczna część ludności Związku Sowieckiego boi się”. Stalin odparł na to: „Myli się Pan”. Gorbaczow na podobne pytanie odpowiada: „Myślę, że nie”. Stalin dodał, że 90 % ludności ZSSR „stoi murem za sowiecką władzą” i wobec tego nie boi się, co do pozostałych zaś, to „powszechnie wiadomo, że my, bolszewicy, nie zadowolamy się zastraszaniem, lecz idziemy dalej, w kierunku likwidacji tej burżuazyjnej warstwy”. Gorbaczow zauważa, że „ręcz nie w tym, żeby się ludzie bali”, tym bardziej, że „ludzie” pochwalają „nasze podejście”.

Trudno znaleźć wymowniejszą charakterystykę systemu sowieckiego niż odpowiedzi na pytanie o strach, które 55 lat po tym, jak je pierwszy raz postawiono, brzmi równie aktualnie.

Wszystkie główne odpowiedzi są zadziwiająco zbieżne. Jedyna, bardzo jednak istotna różnica polega na tym, że na początku lat 30-tych Związek Sowiecki był słaby nie tylko gospodarczo, ale i wojskowo, i jedyną jego bronią — potężną co prawda — był międzynarodowy ruch komunistyczny. Dziś sytuacja się zmieniła: Związek Sowiecki dysponuje, podobnie jak USA, bronią nuklearną i jest w stanie zniszczyć cały świat. Trzy typy pytań, jakie mu się stawia, pozostały bez zmian. Amerykanie, podobnie jak Emil Ludwig, pytają przede wszystkim o sowiecką gospodarkę i przyczyny trudności. Gorbaczow, powtarzając dosłownie Stalina, odwołuje się do historii: „Władza sowiecka przejęła trudne dziedzictwo od poprzedniego reżymu: przestarzałą gospodarkę, silne przeżytki feudalizmu, miliony analfabetów”. Powoływanie się na „trudność” sprzed siedemdziesięciu lat widocznie tak zdziwiło Amerykanów, że wykreślili to zdanie z angielskiego tekstu. Gorbaczow przypomniał także „dwie niszczycielskie wojny”: wojnę domową i wojnę z Niemcami. Stalin w 1931 roku miał w zapasie tylko jedną.

Stalin udzielił Ludwigowi wywiadu pod koniec pierwszej pięcioletki — jego propozycje wydawały się nowe i obiecujące: planowanie i inicjatywa mas pracujących, którym w ślad za powszechną równością wódz obiecywał „materialne bodźce”, tj. za-

płatę zależną od rezultatów pracy. Gorbaczow rozmawiał z Amerykanami pod koniec jedenastej pięciolatki. Oświadczył im, że „zdołaliśmy przekształcić Związek Sowiecki w największą potęgę ekonomiczną” (Amerykanom taka chępliwość wydała się przesadzona, zmienili więc „największą potęgę” na „wielką potęgę ekonomiczną”), przyznał jednak, że „są trudności”. Trudności te zamierza usunąć — zgodnie ze stalinowską recepturą — „drogą dalszego umacniania centralizacji w strategicznych działach gospodarki”, a zarazem „umacniania demokratycznych założeń zarządzania..., rozszerzenia samodzielności”. Gorbaczow, podobnie jak Stalin, stoi w obliczu kwadratury koła, o której pisał rosyjski historyk Wasilij Kluczewskij: jak strachem pobudzić samodzielność w zniewolonym społeczeństwie, co zrobić żeby niewolnik — nie przestając być niewolnikiem — postępował jak człowiek świadomy i wolny...

Drugi typ niezmiennych pytań dotyczy niebezpieczeństwa, jakim jest komunizm. Podobnie jak Stalin, Gorbaczow zdecydowanie neguje samą myśl o tym, że ZSSR mógłby ingerować w sprawy innych państw. W 1936 roku Stalin wprost oświadczył przewodniczącemu amerykańskiego koncernu prasowego, Royowi Howardowi: „Eksport rewolucji to bzdura”. W 1985 roku Gorbaczow, przekazując podpisany tekst odpowiedzi dla *Time'a*, miło zażartował: „Zwróćcie uwagę — okładka zielona, eksportem rewolucji nawet nie pachnie!”. Zebrani wybuchnęli wesołym śmiechem.

Trzeci typ „wiecznych pytań” dotyczy możliwości współpracy między Związkiem Sowieckim a Zachodem. Rozmawiając z Emilem Ludwigiem Stalin przyznał: „Szanujemy amerykańską pracowitość we wszystkim — w przemyśle, w technice, w literaturze, w życiu”. Po czym dorzucił: „Jeśli jednak mowa o naszych sympatiach do jakiegoś narodu, czy właściwie do większości jakiegoś narodu, to naturalnie należałoby mówić o sympatii do Niemców”.

Szacunek i sympatia to szlachetne uczucia, ale najwierniejszy z uczniów Marksa i Lenina dobrze wiedział, że kapitalistom chodzi o zyski. Dlatego też w wywiadzie z 1931 roku bezustannie powtarzał: „Mamy nieograniczone możliwości spożycia wewnętrznego”; Stany Zjednoczone „mają więcej powodów do ścisłych więzi gospodarczych z ZSSR aniżeli jakiegokolwiek inny kraj”; „jedyny wielki rynek z ogromnymi możliwościami — to rynek rosyjski”; „jesteśmy największym na świecie rynkiem i gotowiśmy zamawiać i płacić za każdą ilość towarów”...

Gorbaczow nie wspomina o szacunku ani sympatii, za największą zastęgę ZSSR uważa „niepodsycanie nienawiści do USA” (w czym także bezczelnie okłamuje swoich rozmówców) i podkreśla interesy, mocno wiążące ZSSR i Stany Zjednoczone. Generalny sekretarz bezustannie przypomina, że dialog toczy się między dwoma mocarstwami. Zachowanie „parytetu” uważa za warunek wszelkich rozmów i stosunków.

Najważniejsza chyba różnica między amerykańskim a rosyjskim tekstem wywiadu polega na tym, że w pierwszym złago-

dzono natrętne podkreślanie roli obu super-mocarstw w świecie. Na przykład tam, gdzie generalny sekretarz mówi o odpowiedzialności przywódców ZSSR i USA „przed własnymi narodami i całą ludzkością”, angielski tekst ogranicza się do słowa „odpowiedzialność”.

Gorbaczow uważa, że sytuacja na świecie „grozi wybuchem” i z naciskiem przypomina, że „odprężenie” między ZSSR i USA leży w ekonomicznym (ogromny rynek!), ale jeszcze bardziej w politycznym interesie Amerykanów. Swą lekcję pod adresem Amerykanów kończy prostym wywodem: ponieważ mamy „kolosalne plany uporządkowania naszego kraju”, potrzebne nam jest odprężenie. Innymi słowy: jeśli chcecie żyć w spokoju — pomożcie nam zrealizować nasz plan przebudowy gospodarki. Jeszcze więcej: nasze plany są gwarancją waszego bezpieczeństwa.

Długi, bezdennie nudny wywiad Gorbaczowa, przy którym Stalin wydaje się Szekspirem, wspomina o planach, które w „artystycznej”, „ożywionej” formie wyraziły powieść G. Markowa „Ku przyszłemu wiekowi” i nakręcony według niej film telewizyjny. Pisałem o nich w poprzednim przeglądzie prasy sowieckiej. Nie zdążył się jednak jeszcze ukazać kolejny numer *Kultury*, gdy Markow napisał według powieści i filmu — sztukę. Nowe dzieło jest dopasowane do podróży Gorbaczowa do Paryża i Genewy. Centralny epizod sztuki powinien zwrócić uwagę polityków, socjologów, psychologów i psychiatrów. Bohater powieści, filmu i sztuki, Anton Sobolew, przyjeżdża do Wenecji celem zakupu masyzyn u najbogatszego przemysłowca Ciano, „gorącego zwolennika sowiecko-włoskich związków gospodarczych i kulturalnych”. Miliarder Ciano ma córkę, piękną Eleonorę, „która zdegenerowała się w kapitalistycznych porządkach”. Sowiecki gość robi na Eleonorze wielkie wrażenie: „Otwarta, skora do uśmiechu twarz, wysportowana sylwetka... jasne włosy, jasne oczy, różowo-mleczna cera, powolne, stateczne ruchy...”. Eleonora zwraca uwagę na „wykwint Sobolewa”. W następnej scenie dowiadujemy się, że piękna Eleonora w strachu przed mafią pojechała skryć się i odetchnąć od kapitalistycznych porządków w ZSSR. Przypadkiem trafiła na Syberię, gdzie jej czarujący znajomy, przedstawiciel nowego świata, zajmuje stanowisko pierwszego sekretarza *obkomu* partii. Eleonora uprzytamnia sobie, że kocha Sobolewa, który kocha partię, ojczyznę i żonę Lenę. Lena — agronom — głęboko kocha kotchoz i męża. Piękna Eleonora pojmuję, że jest obcym ciałem w świecie „nowych stosunków międzyludzkich” i składa Sobolewowi propozycję, o której marzy sam generalny sekretarz. Eleonora: „Dysponuję kapitałem wysokości około stu milionów dolarów. Czy mogę te pieniądze ulokować w błękitnogórskim banku?” (Błękitne Góry są stolicą sybirskiej *oblasti*, którą rządzi jej ukochany). Sobolew (*nie zdradzając zdziwienia*): „Na jakich warunkach, signora Ciano?” Eleonora: „Chodzi Panu o procenty? Nie wyższe niż te, które zazwyczaj płacą sowieckie banki”. Sobolew: „W takim razie nikt Pani prawdopodobnie nie odmówi”.

Sztuka kończy się szczęśliwie: sowiecki bank przyjmuje od włoskiej piękności sto milionów dolarów na 2 % rocznie.

Nie ma poważnych podstaw by wątpić, że spełnią się marzenia generalnego sekretarza. Sądząc po odgłosach prasy zachodniej na wywiad dla *Time'a*, na świecie roi się od milionerów — może nie tak pięknych jak Eleonora, ale za to znacznie od niej bogatszych — których już urzekł piękny i młody generalny sekretarz, który na dodatek — wciąż zdaniem zachodniej prasy — mężnie walczy z alkoholizmem w Związku Sowieckim.

W sierpniu rozwiały się obawy przed zmniejszeniem wpływów z „towaru nr 1” wskutek kontroli sprzedaży alkoholu. Od pierwszego września pół litra najtańszej wódki kosztuje 6 rubli 20 kopiejek. Zważywszy, że średnia miesięczna płaca w ZSSR wynosi 130 rubli — przeznaczana na alkohol część budżetu pozostanie bez zmian.

Kampania anty-alkoholowa Gorbaczowa i jej cele wzbudziły ożywioną dyskusję. Złe języki mówią, że Gorbaczow chce sprawić wrazenie, że jednak coś się w kraju dzieje. Inni powiadają, że chodzi mu — jak wszystkim przywódcom — o dobro narodu. Niedawno wydarzył się przypadek, pozwalający na jeszcze inne domniemanie. Rzecz miała miejsce w Czechosłowacji. Sowiecka dywizja pancerna brała udział w manewrach. Jeden z czołgów zbłądził. Cztery pancerni zgłodnieli i zmarli. Ponieważ jak przystało na sowieckich żołnierzy nie mieli grosza przy duszy, wymienili czołg na wódkę. Pracownicy Czesi natychmiast rozebrali czołg na części — dziesięć dni trwało, zanim zebrano wszystko z powrotem do kupy. Za czołg sowieccy czołgści dostali dwie skrzynki (24 butelki) wódki i na dodatek, „z miłości do narodu sowieckiego” — dwa kilo ogórków i kilo śledzi. Należy zaznaczyć, że wymiana miała miejsce przed anty-alkoholową wyprawą krzyżową Gorbaczowa. Teraz, kiedy ceny alkoholu wzrosły, wartość broni sowieckiej spadnie.

A nuż Gorbaczowi chodzi o to, żeby w drodze walki z alkoholizmem rozbroić armię sowiecką? Jeśli wierzyć wizerunkowi generalnego sekretarza w *Time*, wykluczyć takiej możliwości nie można.

Adam KRUCZEK

9 września 1985

Kronika niemiecka

Redaktor naczelny bońskiego dziennika *Die Welt*, Wilfried Hertz-Eichenrode: „Naród polski z trudem może przyjąć do wiadomości, że jest adresem pojednawczych tendencji Niemców, gdy widzi, że niemal bezkrytycznie

popieramy reżym jego dręczycieli. (...) My, Niemcy — i nasze wolnościowe instytucje, będziemy musieli dokonać wyboru pomiędzy uciskającymi a uciskanymi”. ■ Ambasada RFN w Warszawie udzieliła: w 1980 r. — 283.781, w 1981 r. — 458.623, w 1982 r. — 136.537, w 1983 r. — 210.423, w 1984 r. — 327.400, i do końca lipca bież. roku — 222.145 wiz. Odmowy stanowią zaledwie ok. 1 % podań. ■ Prasa zachodniemiecka omawiając szczegółowo wywiad udzielony przez gen. Jaruzelskiego telewizji austriackiej, zwróciła uwagę, że premier rządu PRL „przestrzegął przed próbami mieszania się w wewnętrzne sprawy Polski” oraz potępił sankcje gospodarcze USA, które „naraziły PRL na straty w wysokości 15 mld dolarów”. Podkreślono też zabawny fragment wypowiedzi Jaruzelskiego: „Próby bojkotu Polski spełniły mimo wszystko na panewce”... ■ *Uniwersytet Ruhry* w Bochum nadał doktorat *honoris causa* bp. Marianowi Jaworskiemu, administratorowi apostolskiemu w Lubaczowie. Była to pierwsza honorowa promocja w dziejach *Wydziału Teologicznego* tej uczelni. ■ Prezydent RP na *Uchodźstwie*. Edward Raczyński, rozwiazał *Oddział Rady Narodowej RP w RFN*. *Oddział RN* został rozwiązany na skutek rozłamu, jaki nastąpił po przedstawieniu wniosku *Klubu Radnych PPS* o *rotum* nieufności dla dotychczasowego przewodniczącego. Nowy *Oddział* powinien być powołany najpóźniej w styczniu 1986 roku. ■ *Ośrodek Badań Opinii Publicznej (OBOP)* w Warszawie przeprowadził badanie dotyczące znajomości języków obcych wśród Polaków. Język niemiecki — zna 20 % Polaków, w tym dobrze 6 %, słabo 14 %. Osoby powyżej 50 roku życia częściej deklarują znajomość niemieckiego niż rosyjskiego. ■ Organizacje kościelne i charytatywne z Karlsruhe urządziły wakacje letnie dla 1.500 polskich dzieci (pobyt u rodzin niemieckich, zaopatrzonych w słowniki i rozmówki niemiecko-polskie). Władze PRL początkowo nie chciały się zgodzić na tę akcję. NRD-owcy natomiast próbowali żądać opłaty w dewizach za tranzyt. Trudności zostały pokonane dzięki zabiegom zachodniemieckiego i polskiego duchowieństwa. ■ W NRD poważnie wzrosła liczba więźniów politycznych: w 1983 r. — ok. 5 tys.; w br. — ok. 9 tys. Do 31 lipca br. z NRD zbiegło różnymi drogami do RFN 1.676 Niemców (67 uciekinierów pokonało mur berliński i inne zasieki graniczne). ■ W 1955 roku ludność NRD liczyła ponad 18 milionów. Po 10 latach w 1965 roku zmniejszyła się o ok. milion. W 1984 roku wynosiła już tylko 16 i pół miliona. Ocenia się, że łącznie od chwili powstania NRD w 1949 roku opuściło ten kraj ponad 3 miliony ludzi. ■ *Ulotka kursująca* w kraju: *PROMINENCI OKRADAJĄ KOMBATANTÓW*. W połowie lat 70-tych Gierek wielokrotnie przypominał RFN o obowiązku wypłacenia odszkodowań obywatelom polskim b. więźniom obozów koncentracyjnych. Sprawa została faktycznie uregulowana w umowie między rządami PRL i RFN z dnia 9 października 1975 roku. Peerelowscy negocjatorzy wykazali przy rokowaniach odpowiednio dużo cwaniactwa i fakt został zaznaczony w porozumieniu enigmatycznym stwierdzeniem o otrzymaniu od rządu RFN kwoty 1,3 mld marek z tytułu zaopatrzenia wypadkowego i emerytalnego i 1 mld marek jako pożyczki na dogodnych warunkach. Wobec zamierzonych malwersacji nie było dziełem przypadku szybkie rozwiązanie w ZBoWiD-zie niewygodnych w tej sytuacji *Środowisk Byłych Więźniów Hitlerowskich Obozów Koncentracyjnych*. W ten sposób pozbawiono b. więźniów możliwości zorganizowanej obrony swoich interesów. W późniejszych latach wielu b. więźniów podejmowało indywidualne starania o uzyskanie odszkodowań z RFN i otrzymywało niezmiennie informacje o wypłaceniu odszkodowań rządowi PRL. *Środowisko Byłych Więźniów Hitlerowskich Obozów Koncentracyjnych* wznowiło działalność w 1980 roku, jednakże nie jest jak dotychczas w stanie wpłynąć na decyzje o rozpatrzeniu swoich słusznych roszczeń. Sprawa nabrała już takiego rozgłosu, że naczelne władze ZBoWiD-u zmuszone były do utworzenia specjalnej komisji do zbadania

sposobów rozchodowania funduszy odszkodowań. ■ 20 zachodniemieckich harcerzy *Hufca św. Jerzego* z Essen kompletnie odrestaurowało zabytkową zagrodę chłopską położoną w polskich Beskidach. ■ Paweł Krzyżan, wschodząca „gwiazda” PRL-owskiego niemiecoznawstwa w krakowskim *Życiu Literackim*: „Sam napisałem kilka książek przedstawiających charakter polsko-niemieckich stosunków...”. Badania przeprowadzone przez warszawską *Politykę* wykazały, że Krzyżan nie napisał ani jednej książki! Komu wierzyć? ■ Kolońska Komisja Katolików wysłała do Krakowa już 130 transportów ciężarówek z żywnością, lekarstwami i odzieżą. Przy odjeździe transportu obecni byli arcybiskupi Kolonii i Krakowa — kard. Joseph Höffner i kard. Franciszek Macharski. ■ Właścicielem znanego kolońskiego antykwariatu — *Galerie Ritter von Habicht*, jest Polak, Janusz Kulesza de Jastrzębiec. ■ Na *Międzynarodowej Wystawie Radiofonicznej* w Berlinie Zachodnim pokazano sfilmowane inscenizacje teatralne Andrzeja Wajdy; były to adaptacje sceniczne utworów Dostojewskiego, zrealizowane na deskach *Teatru Starego* w Krakowie. W Berlinie Wajda pokazał trzy produkcje: *Nastazję Filipową* według *Idioty*, *Zbrodnię i karę* oraz małą znaną sztukę, prezentowaną pt. *Die Sanfte* (*Łagodna*). ■ W Stuttgarcie obradował *XVI Światowy Kongres Historyków* (ok. 2.000 uczestników). Na Kongres przybyła ponad 50-osobowa delegacja naukowców polskich, reprezentujących ośrodki akademickie we Wrocławiu, Poznaniu, Toruniu, Warszawie, Lublinie i Krakowie. Obradom sekcji zajmującej się mniejszościami narodowymi i sprawami obcokrajowców miał współprzewodniczyć doc. dr Bronisław Geremek, niedawno usunięty z pracy w *Polskiej Akademii Nauk*, który nie przybył jednak do Stuttgartu ponieważ nie otrzymał paszportu służbowego, a odmówił przyjęcia paszportu prywatnego. Polski historyk nadesłał do uczestników Kongresu list, który został odczytany przez sekretarza generalnego *Międzynarodowego Komitetu Nauk Historycznych* — Helenę Ahrweiler z Francji. Wielu polskich historyków mogło przyjechać do Stuttgartu jedynie dzięki zaproszeniom i hojnej pomocy finansowej udzielonej przez zachodniemieckie fundacje. ■ Delegacja 30 polskich nauczycieli, pod kierownictwem Kazimierza Piłata, bawiła w Hamburgu na zaproszenie tamtejszego *Kuratorium Szkolnictwa*. Korzystając z zaproszenia *Fundacji im. Friedricha Eberta* goście z PRL mogli ponadto zwiedzić szkoły i uczelnie w Würzburgu, Rothenburg ob der Tauber i Norymberdze. ■ Na zaproszenie *MSZ* przebywał w Warszawie Hans Koschnick, prezydent *Senatu* Bremy, członek prezydium zarządu *SPD*. Koschnick zalicza się do lewego skrzydła *SPD*. ■ Eksport towarów z RFN do Polski (styczeń-maj 1985): 1 mld 130 mln. W tym samym okresie ub. roku 910 mln marek. ■ Daniel Passent z warszawskiej *Polityki* był przez trzy miesiące gościem redakcji hamburskiego tygodnika *Die Zeit*. Opublikował na łamach tego pisma kilka długich artykułów. Ton ich był daleki od pojednawczego. ■ W kolońskim *Centrum Wschodnioeuropejskim IGNIS* odbył się wieczór autorski Barbary Sadowskiej. Znana poetka czytała także wiersze swego syna, Grzegorza Przemyska, zamordowanego przez milicję w Warszawie przed dwoma laty. ■ Ponad 300 tys. uczniów spędziło lato w NRD i w Polsce na zasadzie sąsiedzkiej wymiany. *Trybuna Ludu*: „Na wyjazd do NRD wybierano tych, którzy wyróżnili się aktywnością społeczną”. ■ Biskupi starokatolicy z RFN (*Unia Utrechcka*) odwiedzili parafie polskokatolickie w woj. lubelskim i zamojskim. ■ W kolońskiej *Izbie Rzemieślniczej* wystawiono obrazy, grafikę, rysunki, ceramikę i tkactwo artystyczne 300 krakowskich artystów. Wystawą połączoną ze sprzedażą kierował Leszek Dutka, przewodniczący *Spółdzielni Artystów „Plastyka”*. Prasa kolońska i bońska życzliwie oceniły poziom artystyczny wystawy. ■ Okazuje się, że coraz więcej członków działającego w RFN *Ziostkostwa Ślązaków* ma dość wojowniczych artykułów ukazujących się w *Der Schlesier*, czasopiśmie

uważanym za wyraziciela ich opinii. Paulus Garon, przewodniczący jednej z lokalnych grup *Ziostkostwa Ślązaków* oświadczył, że władze naczelne organizacji muszą wyjaśnić swoje związki z pismem *Der Schlesier*. Garon wyraził również opinię, że jeśli *Der Schlesier* w dalszym ciągu będzie drukował napastliwe i antypolskie artykuły, to wówczas *ziostkostwo* będzie musiało odżegnać się od tego pisma. ■ W końcu czerwca na terenie RFN przebywało ok. 530 tys. uciekinierów z różnych krajów. Jeden cudzoziemiec-uciekcinier przypada na 115 obywateli RFN, podczas gdy w Szwecji jeden na 194, we Francji na 389. ■ Kolońska radiostacja *WDR* nadała specjalne audycje opracowane przez Helgę Hirsch i Reinholda Vettera poświęcone 5-tej rocznicy powstania *Solidarności*. ■ Hamburski *Die Zeit* zapytuje czy zasiłki z pieniędzy podatników, wypłacane przez bońskie ministerstwa organizacji wysiedleńców dla umożliwienia ich kulturalnej i politycznej działalności, są jeszcze usprawiedliwione w dzisiejszej sytuacji politycznej? ■ Marzena Guz, redaktorka *Radia Polonia*, córka kierownika sekcji niemieckiej *PAP*, rozjeżdża po RFN i rozdaje dzieciom dyplomy za rzekome słuchanie niemieckojęzycznych audycji. Towarzyszy tej akcji osobliwe *publicity* w prasie niemieckiej (np. boński *General-Anzeiger*). Eugeniusz Guz był korespondentem *PAP-u* w Bonn. ■ Z krajów zachodnich RFN nadal jest największym partnerem handlowym Polski; zapotrzebowanie na technikę niemiecką jest olbrzymie. Koła gospodarcze PRL liczą, że Republika Federalna jest bardziej zainteresowana w rozbudowywaniu handlu z Polską, niż inne kraje Wspólnoty Europejskiej. Polska, oprócz nowych kredytów, zabiega obecnie o rozszerzenie współpracy z firmami niemieckimi, chce również zwiększyć eksport tekstyliów, odzieży i produktów żywnościowych. ■ Liczne wiece, spotkania, wystawy i dyskusje w Republice Federalnej w 5-tą rocznicę powstania *Solidarności*: w Hamburgu tamtejsza grupa *PPS*, we współpracy z *Biurem Koordynacyjnym NSZZ Solidarność* z siedzibą w Brukseli, zorganizowała wystawę dokumentującą łamanie praw człowieka w PRL; znalazły się na niej książki, plakaty, fotografie, znaczki *Poczty Solidarność* i różne pamiątki z obozów internowania. W Berlinie Zachodnim odbył się udany wieczór z inicjatywy ruchliwego *Towarzystwa Solidarność* (grupa skupiona wokół dwutygodnika *Pogląd*), na którym wystąpili: Joanna Pilarska (Bruksela), Seweryn Blumsztajn (Paryż) i Edward Klimczak (Berlin Zachodni). Ukazały się liczne i obszerne sprawozdania w prasie niemieckiej. Dzięki zabiegom Andrzeja Wirgi (*Solidarność Walcząca*) w *DGB-Haus* w Moguncji odbyła się dyskusja z udziałem: prof. Helmuta Wagnera (Berlin Zachodni), Mirosława Chojeckiego (Paryż) i Clive Loertschera (Lozanna). Oprawa muzyczna: Jacek Kaczmarek. W foyer czynna była wystawa fotografii, publikacji i różnego rodzaju wydawnictw ikonograficznych, związanych z działalnością *NSZZ Solidarność* i opozycji demokratycznej w Polsce. Udaną imprezę odnotowała *Frankfurter Rundschau*. W auli *Uniwersytetu Kolońskiego* miejscowa *Grupa Robocza Solidarność*, w ścisłej współpracy z *Zielonymi* urządziła dyskusję, którą poprowadził młody historyk — dr Hans Henning Hahn. Ponadto udział wzięli: Lukas Beckmann (członek federalnego politbiura *Zielonych*), prof. Martin Kriele (znany prawnik z Kolonii), Jan Minkiewicz (przedstawiciel *Solidarności* z Amsterdamu), dr Josef Pokstefl (członek czeskiej grupy *Listy*, z Kolonii) i Kazimierz Wóycicki (członek redakcji miesięcznika *Więź*, tymczasowo w Kolonii). Dyskusja miejscami ciekawa (tylko że *Zieloni* i inni lewacy stale mówili o Nikaragui!), frekwencja bardzo słaba. Natomiast sporo ludzi oglądało interesująco urządzoną wystawę poświęconą *Solidarności* w kolońskiej *Księgarni Wawel* (obszerne relacje w programach radiowych). Różne imprezy i akcje protestacyjne na mniejszą skalę odbyły się w Hildesheim, Oldenburgu, Werlte, Bad Zwischenahn i Essen.

Kronika kulturalna

Miron Białoszewski: powierzchnia i istota

1.

Białoszewski obudził literaturę (nie całą — gdybym twierdził inaczej, byłaby to zwykła nieprawda i nietakt choćby w stosunku do „literatury źle w Polsce obecnej”) z przedziwnego snu, który z różnymi nawrotami w cyklu przebudzeń i kolejnych drzemek morzył ją od roku, w przybliżeniu: 1949. Należał do tych nie liczących, których ominęły zaczarowania, ekspiacje i obrzędy wyzwolin. Nie zaznał nihilistycznego smaku *d w u m y ś l i*, a więc nie musiał budować zawitych konstrukcji intelektualnych, które usprawiedliwiałyby sen w świetle przebudzenia. Przykucnął pod stołem i ocalał — tylko wyjątkowi ignoranci mogą sprowadzać znaczenie tych dwóch słów do pacyfizmu. Przykucnął i ocalał.

Być może powyższe słowa brzmią zbyt patetycznie i sugerują coś, co wydaje się zbyt odległe od twórczości Mirona Białoszewskiego: związek między literaturą i polityką. Nie chodzi jednak o żadne analogie, ale o doświadczenie, którego sens nie ogranicza się do laboratoryjnych prób ze słowem, natomiast dotyczy podstaw porozumiewania się. Białoszewski dokonał przewrotu w pisanej polszczyźnie.

Bez opisu środków wyszukaných przez Białoszewskiego w wierszach i prozach, tak znakomicie przeprowadzonego w studiach Marii Janion, Stanisława Barańczaka i Janusza Sławińskiego, nie można by zrozumieć sensu tego przewrotu. Dręczy mnie jednak równie natarczywe, co niejasne poczucie, że ów sens wykracza poza sprawy techniczne i laboratoryjne, a nawet poza literaturę. Jeśli więc powiadam, że przewrót Białoszewskiego dotyczy porozumiewania się, to mam na myśli *ruch logosfery*.

2.

Termin: „logosfera” określa sens wypowiedzi przez miejsce, które zajmuje ona w „przestrzeni logicznej”. (Por. Michał Heller, Józef Zyciński, *Wszecławiat i filozofia*, Kraków 1980, str. 142 i nast.). Logosfera, podobnie jak czas, jest równocześnie czymś oczywistym i trudnym do zdefiniowania. Jeśli funkcjonuje względnie normalnie — nie zdajemy sobie sprawy z jej istnienia: czujemy dokuczliwy brak dopiero wtedy, gdy przybiera postać patologiczną, a więc przestaje być tym, czym jest: warunkiem możliwości składni i semantyki. Wiadomo: oddychamy, nie myśląc o oddychaniu, dopóki w powietrzu jest tlen.

Logosfera to obszar tego, co da się powiedzieć. Świat wypowiedzi o różnym statusie, stopniu rozwoju, donośności. Występują tu obok siebie gatunki mowy (to nazwa Michała Bachtina. Rozróżnił on z wielką przenikliwością gatunki mowy, zdania i gatunki literackie), z których korzystamy we wszystkich życiowych okolicznościach: od towarzyskich rozmów do wierszy, powieści, dramatów. Czymś innym są jednak formy artystyczne, a czym innym gatunki mowy, w których owe formy się realizują. Odróżniam strofę saficką od oktawy. Niezależnie od czasu, miejsca powstania i „treści” utworów mogą określić gatunkowe różnice między, powiedzmy, *Barbarą Radziwiłłówną* i *Dziadami*. Ale jeśli zechcemy myśleć o nich jako o gatunkach mowy, to musimy pytać nie tylko o nie same, ale przede wszystkim o ich miejsce w „przestrzeni” mowy.

Porządek myślenia będzie wówczas mniej więcej taki: pośród złożonych, pisanych gatunków mowy są takie jak sonet, rondo, dramat. Co to znaczy, że są pisane? Z jakich innych gatunków pisanych lub mówionych powstały? Jakie inne gatunki wtopiły się w nie i na jakich zasadach? Co zmieniła ich obecność w porządku logosfery? Ważne więc będą nie cechy „same w sobie” tych utworów, ale ich życie jako aktów mowy.

Zwykle literatura jest bardzo złożonym systemem wypowiedzi, dysponującym niewyczerpywalną rezerwą znaczeń. Sprawa to dobrze znana: żadna lektura wybitnego utworu literackiego nie wyczerpuje go do końca. Miron Białoszewski: „Każde pokolenie od początku łączy się z romantyzmem, z Mickiewiczem. A tym bardziej piszący. Ustawiać się do wieszczów, do Kochanowskiego, do Izajasza. Dzieło sztuki nie jest ustalone raz na zawsze. Samo się zmienia, kruszeje w fakturze farb, słów. I zmienia się otoczenie. Odbiór dzieła sztuki ma za życia autora niejaki wpływ na autora. A więc niejaki wpływ na jego sztukę i na to dzieło sztuki już niby zakończone. Po śmierci, zdawałoby się, że wpływu mieć nie może, a jednak coś jest”.

Literatura socrealistyczna miała być narzędziem wychowawczym, instrumentem służącym do prac inżynierskich nad duszami. Z tego względu każdy „luksus” znaczeniowy stawał się podejrzany. Czyli literaturę trzeba było (a może chciało się) pisać przeciw literaturze. Wiemy dobrze, że żywot takiej *quasi*-literatury jest krótki i wiadomo też dlaczego: bo jeśli następuje gwałt, jeśli gatunki literackie przestają być gatunkami mowy — inne gatunki mowy przejmują funkcje gatunków literackich. To jedno z najważniejszych praw logosfery. Nie można go ani obejść, ani przeskoczyć.

Gdy nastąpiła odwilż, wielu, bardzo wielu ludzi budziło się z sennego odrętwienia i tłumaczyło sobie oraz innym sens wielkiej imitacji, wyyskując w tym celu Camusa i Sartre'a, Koestlera i Vercorsa. Klaskali. Klaskaniem mieli obrzękłe prawice. Przebudzenie ze snu — stanu odrętwienia, to bardzo ważne, bo nie chodzi o żadną metaforę, ale o najdosłowniejszą — do-słowność. Odańcowywanie szamańskiego tańca słów oderwanych od rzeczy, słów, których znaczenie mogło być poddane dowolnym zmianom, redukcjom i wszelkim innym amputacjom.

Ale nawet nie poszczególne słowa i ich znaczenia są tu najważniejsze. Najważniejsza jest „przestrzeń mowy”, która nie znosi próżni. Czarną dziurę po literaturze wypełniły inne akty mowy. W ramach rekompensaty. Z wszystkimi korzyściami i stratami dla piszących, mówiących, czytających — dla każdego z nas.

3.

Jeśli w teatrze mowy socrealistyczna powieść zagrała rolę stręczycielki lub inkwizytora, to rolę markizy musiała zająć plotka. Akademię literatury zastąpił magiel, literacką agorę — podwórka. Marek Hłasko powiadał, że nauczył się pisać na donosach. Donosy rzeczywistości Białoszewskiego zaczynają się tak:

Donos pierwszy

Markiza wyszła z domu.

Literatura: zbyt kowne, rozrzucone, niewyczerpalne mówienie, nie cierpiące przymusu, zakazów oraz semantycznych docisków, wyszła z domu i schroniła się na wolnym polu mowy. Nastąpiło coś w rodzaju odwrócenia porządku rzeczy, chociaż nie sposób myśleć o zwykłej symetrii, ponieważ życie języka, jego bogactwo i migotliwość wymyka się wszelkim upraszczającym schematom:

można tylko określać w przybliżeniu kierunki przesunięć większych skupisk wypowiedzi.

Funkcje literatury przejęły intymne, familiarne, „domowe” gatunki ustne: szumy, zlepy, ciągi, frywole, cytaty (przedrzeźnione), śnitki, ujścia, ożywienia i tysiące innych wypowiedzi. Ich byt, podobnie jak ich nazwy, jest ulotny i niestały, jednorazowy, zgodnie z naturą nieskomplikowanych gatunków mowy, szybko powstających i równie szybko zanikających. Ze świata martwego języka, literatura trafiła do żywiołu mowy trudnej do okiełznania i kontroli.

Zauważmy paradoksalność tej drogi: warunkiem możliwości literatury staje się jej milczenie. Nie chodzi mi jedynie o milczenie pisarzy, którzy nie chcieli uczestniczyć w tym żalosnym cyrku i wycofali się ze sceny (właściwie powinienem powiedzieć areny), chociaż wiadomo, że Miron Białoszewski milczał i prawie głodem przymierał. Myślę o azylu literatury w żywej mowie, o literaturze, która chroniła się wśród „niskich” i codziennych gatunków mowy, aby jako wypowiedź zachować swoją podmiotowość, prawo do indywidualnej oceny, błędu, fobii, naciągania, fantazjowania, udziwniania, komplikowania itd., itd. Krótko mówiąc, by zachować prawo do artystycznej ryzyka.

Tu był azyl. Oj, nie lubiono onego czasu gadułów, bardzo nie lubiono. Mój wujek opowiadał, a mieszkał na Stalowej, na Pradze, we wspólnym pokoju przedzielonym dechami na małe kłitki, zupełnie jak u Białoszewskiego na Poznańskiej, że jego sąsiad zza desek nazwał lekkomyślnie Stalinogród słowem Katowice. Zza desek trafił prosto za kratki lokatora sąsiedniej kłitki.

Mieli swoją rację ci, którzy nie lubili gadułów, a gaduły słusznie pokutowały srożej niż sprawcy innych przestępstw. Bo biada rządcom i dowódcom, którzy lekceważą naszepty. Władza ryczy, naród szepcze. I nie zapomina. W latach pięćdziesiątych — wiele mamy na to świadectw — maglowego, knajpianego, ulicznego i domowego gadania nie lekceważono zgodnie z tezami niezapomnianej rozprawy Genialnego Językoznawcy, Ojca Narodów, Ziutka Słoneczko.

Gatunki literackie znalazły się w granicach mowy zastrzeżonej i kontrolowanej. Zostały całkowicie sparaliżowane. Sparaliżowane nie tylko znaczenie rzeczowników, czasowników, przymiotników, ale nawet spójników i przysłówków.

Zastrzeżony był również szyk zdania, jego kontekst i istnienie wypowiedzi jako całości — fortunność aktów mowy. Były one fortunate o tyle, o ile piszący potrafili je wystarczająco

o d - z n a c z y ć, nasycić papką słowną. Podobną, w warunkach względnie normalnego funkcjonowania logosfery, do zwykłej ploty, bajdurzenia. Oczywiście, to od-znaczanie odbywało się zgodnie z nieprzekraczalnymi normami, ale to sprawa raczej drugorzędna. Ważne jest to, że wszyscy (może tylko z wyjątkiem pogrążonych w szczególnie głębokim *Dämmerzustand*) wiedzieli, iż takie pisanie literatury to mowa-trawa. Powtarzam: p i s a n i e t o m o w a - t r a w a. Nie tylko wiedzieli, ale dawali temu publiczny wyraz w formie może nieco zawoalowanej, ale wystarczająco czytelnej. Na przykład minister kultury mówił w latach pięćdziesiątych do literatów (według Aleksandra Wata, por. *Klucz i bak*): „Dajemy wam tym razem nagrody i sceny, ale pamiętajcie, jeżeli szybko nie nauczycie się pisać, nie będzie ani nagród, ani scen”. Jeżeli szybko nie nauczycie się pisać — komentarz wydaje się zbyteczny.

Pismo nie gwarantowało już obecności sensu w mowie, wręcz przeciwnie, przenosiło osobliwą semantykę języka podporządkowanego rygorom doktryny. Wypowiedzi literackie utrwalone na papierze im staranniej spełniały stawiane przed nimi wymagania, tym silniej eliminowały adresata rozpoznającego w nich fałsz i nieprzystawalność słów do rzeczy. Pismo stawało się zaklęciem w przestrzeni nieoznaczoności. Zdawali sobie z tego sprawę ci piszący, którzy budzili się z sennego zaszczepienia. Powtarzali: to nie ja pisałem, to ktoś inny. Sobowtór zrodzony w martwym czasie. Sobowtór, którego jak najszybciej trzeba było zabić. Ale — jak mówi poeta — czas nie może być cofniony. Wielkie odwrócenie funkcji mowy i pisma już nastąpiło.

Mowa i pismo. Mówienie o pisaniu. Pisanie o mówieniu. Mówienie o niepisaniu. Pisanie o niemożliwości dalszego pisania. Rozpoczął się kolejny akt dramatu mowy, przekształceń polszczyzny, którego konsekwencje jeszcze trudno ogarnąć i przewidzieć, chociaż wystarczająco wiele znaków już teraz domaga się lektury.

Tłumaczenie się z twórczości

chęć od mojego pisania nabrania życia
otoczenia

a ja ich łapię za słowa
po tocznie
po tworzę

Znamy dobrze ten wiersz z cyklu *M'ironia*. Tę *Romantyczność* połowy XX wieku przeciwstawiającą mędrca „szkiełku i oku” — „bełtanie mowy i tchu”.

4.

Ludzkie, arcyłudzkie poczucie rozdziwienia odczuwane przez każdego człowieka mówiącego po polsku (w każdym języku?). Rozdziwienie na życie w dwóch nieprzystawalnych domenach języka: w języku poza dobrem i złem, którego reguły wytycza z matematyczną precyzją, przy jednoczesnej całkowitej dobrowolności, jedyny właściciel wszelkich słów i rzeczy oraz w języku prywatnego ukrycia.

Język poza dobrem i złem, oprócz wielu innych „wspaniałych” zalet, ma również tę, że nie pozostawia miejsca na żadne wahanie i niepewność. „A jest białe. B jest czarne”. Dzisiaj. Jutro może być odwrotnie, ale nie wpływa to na samą pewność oznaczania. Nie możesz powiedzieć: „wydaje mi się że A jest białe”, ani: „nie jestem pewien, ale B ma jakieś białawe plamy”. Nie ma żadnej wątpliwości. N i e m a r o z m o w y. Ale potrzebna jest za to spontaniczna, radosna akceptacja, „szerokie poparcie”, euforyczne objawienie: „tak, tak, A jest białe! B jest czarne! Chociaż wczoraj było jeszcze białe!” Może jutro, pojutrze, dowiesz się z gazety, że A nigdy w ogóle nie istniało, a kolor czarny wymyśliła obca agentura.

Tę odmianę języka cechuje obiektywność absolutna. Wyklucza obecność kłamstwa i prawdy, neguje wszelką intencjonalność w relacji między mówiącymi, słowem i rzeczą. To język genialny, potrafiący całą rzeczywistość wciągnąć w nawias — dokonać totalnej „redukcji fenomenologicznej”. Świat nie istnieje sam dla siebie, nie istnieją wartości. Świat jest codziennie powoływany do życia i nikt dokładnie nie wie w jakim kształcie się pojawi. Dlatego tak wielu podwykonawców obawia się nagłych ataków serca.

Języki codzienne zapewniają nieprzerwane istnienie świata. Przywracają względnie normalne stosunki między słowami i rzeczami, pozwalają kłamać, oszukiwać, kłąć, złorzeczyć, modlić się, płakać, śmiać, przysięgać na duszę, bajdurzyć, gadać o cudach, plotkować, podsłuchiwać, jęczeć i robić tysiące innych rzeczy. Powstają w nim nieskrępowane i niekrępujące fabuły, w których ludzie się kochają, nienawidzą, umierają, przybywają na białych koniach, oszukują, kradną. Radość subiektywności — krynica „wydaje mi się”.

Proste, bardzo proste: prawo do postrzegania, prawo do własnego postrzegania, prawo do wymiany spostrzeżeń zgodnie z własnym sposobem widzenia. Od tych elementarnych praw zależy życie mowy. Na tych zasadach polega logosfera. Zwykle

prawo do: „zaznaczam, mogłem się przestyszczyć”, prawo do „sprawdzania sobą”:

Sprawdzone sobą

Stoi krzesło:

artykuł prawdy

rzeźba samego siebie

powiązana w jeden pęk

abstrakcja rzeczywistości

Połamano się.

I to też forma

tak — świecznik

tak — mina byka.

Abstrakcyjne powołanie krzesła

przyciąga teraz

całe tłumy rzeczywistości

wiąże w jeden pęk

w składzie prawdy

rzeczywistość abstrakcji

W języku codziennym znalazła przytulisko subiektywność, ułomność indywidualnego widzenia. Ale właśnie ułomność i złudzenie zapewniają obecność prawdy w mowie. Ocalała też podstawowa relacja gwarantująca tę obecność — partnerski stosunek między mówiącymi. Mogą się oni lubić lub nienawidzić, płakać lub wygrażać sobie pięściami, ale są dwaj, jest ich dwóch, dwóch równych w rozmowie. Tu, w codziennym teatrze ściera się wiele języków, a więc wiele prawd. W codziennym mówieniu kryły się przetrwalniki sensu. Ocalała również pamięć języka: tradycyjne relacje między mówiącym i obiektem mówienia, chroniące przed nagłym, arbitralnym nasycaniem wyrazów nieoczekiwaną treścią. Ale myli się ten, kto sądzi, że tu był raj. Tu był raczej gigantyczny czyściec języka.

Życie na pograniczu dwóch obszarów mowy — dwumowa — rodziło nihilizm i budziło demony. Najgroźniejsze jest samo rozdwojenie, samo pogranicze. Bo jeśli przed chwilą napisałem, że przetrwalniki sensu schowały się w prywatności, że puste formy zawłaszczonych gatunków literackich zastąpiły niepisane odmiany mowy, to zdaję sobie sprawę z niebezpieczeństw tej sytuacji. Z choroby, wielkiego schorzenia-leżenia języka, kto wie, czy nie na śmierć.

Bo z tego rozdwojenia któż uchodzi cało? Czy ten, kto po-

trafił dać mu świadectwo i nie udaje, że się nie splamił, nie utaplał, że nie wiedział, że nie był sobą? Czy ten, kto przeprowadził „wywód jestem'u”?

Wywód jestem'u

jestem sobie

jestem głupi

co mam robić

a co mam robić

jak nie wiedzieć

a co ja wiem

co ja jestem

wiem że jestem

taki jak jestem

może niegłupi

ale to może być tylko dlatego że wiem

że każdy dla siebie jest najważniejszy

bo jak się na siebie nie godzi

to i tak taki jest się jaki jest

Dwóch rozdzielonych obszarów mowy nie da się na powrót scalić. Są oczywiście różne ukryte prądy w mowie, ale pismo to już nie będzie pismo, powieść to już nie będzie powieść, najwyżej miazga powieści lub „kupa konstrukcyjna”. Poeci próbowali w latach sześćdziesiątych stworzyć nowy język, by „przeskoczyć” to rozdwojenie. Białoszewski uznał je za swoje, ponieważ odczuł, że nie ma powrotu na wyspy szczęśliwe.

5.

Białoszewski odczuł/uznał/odkrył; że jeżeli pismo schroniło się w mówieniu, jeżeli gatunki literackie wyrzucone z dotychczasowego miejsca w logosferze znalazły tragiczne przytulisko w gadaniu, to potrzeba nowej składni i nowego rytmu stała się natarczywa i nie można udawać, że nic się nie stało:

„Wiersze. Rzucam się z określenia w określenie. Łańcuchem. Potem przejeżdżam przez to skracaniem. Potem sprawdzić: czy przekazało się to rzucanie? Nie można opuścić żadnego z oczek bo puści całość jak w górach albo w pończosze.

Wątek czynny, osnowa bierna. Wątek się snuje, osnowa jest osnuwana. A osnute na tle? To osnowa jest czynna, tło bierne. Za co tu jest tło? Za osnowę? A wątek jest osnuwany?

Nie wymagać od języka sprzeczności. One też należą do życia”.

Decydujące było doświadczenie nihilizmu na styku dwóch odmian języka: mowy niczyjej i języka azyłu. Ten azył pozwalał przemycać cząstki prawdy oraz — co może najważniejsze — dawał możliwość kontaktu wielu różnych prawd. Ale miał też nie małą wadę, bo rodził nowe mity, negatywy sparaliżowanej składni, odciski arbitralnej semantyki, przechwytywał powszechne nie-domówienia. Degeneracji pisma towarzyszyły przecież różne konsekwencje, na przykład zanik umiejętności normalnego czytania. Każdy tekst opalizuje podtekstem, każde słowo „wzbudza się” przeciwstawnym sensem. Sztuka czytania przeradza się w sztukę podejrzeń w jakimś absurdalnym, antyfreudowskim wymiarze powszechnej, nieokiełznanej nerwicy. Lektura utworów Białoszewskiego jest w porównaniu z tamtą dziecinną igraszką i dziwić muszą zarzuty niezrozumiałości ze strony tych, którzy tak świetnie opanowali sztukę nieporównanie bardziej skomplikowaną.

6.

Reécriture, marzenie Mallarme’go i wszystkich prawdziwych poetów, obowiązek ponownego zobaczenia i o-znaczenia z wszelkimi możliwymi konsekwencjami, bez względu na koszty własne. *Reécriture* Białoszewskiego jest heroiczną i na miarę greckiej tragedii. Zlikwidował czarną dziurę w logosferze, odwracając hierarchię wartości. Nie było w tym żadnego nadużycia ani uproszczenia. Skoro nie ma żadnej głębi, naprawdę głęboka jest tylko powierzchnia. Skoro zagnano pismo do rozmowy, to rozmowa jest racją odnowionego pisma. Skoro rozpadła się składnia, to rozpad jest sensem języka. Taka jest prawda (jedna z wielu prawd) i nie wolno udawać, bo tylko prawda uzasadnia nadzieję. Nie trzeba się przy tym szarpać, krzyczeć, nie trzeba się wychylać:

NIE WYCHYLAĆ SIĘ NIE WYCHYLAĆ

nie cochwilać
mieć głowę
w dalszym ciągu
daleko od wierzchu
a ręce przy sobie — wieszczu

Wiemy wszyscy: Miron Białoszewski odkrył codzienność, pisze tak, jak się mówi, artysta osobny, człowiek osobny, Miron

— wieszcz szarych eminencji zachwytu. Tak, to prawda. Ale dlaczego *reécriture* Białoszewskiego jest tak ważna, jakaż jest treść w objawieniu tego, co najbardziej oczywiste?

Musiała być jakaś racja, choćby podejrzenie wieloznaczna, która by uzasadniała mechanizm martwego języka. Z lekcji historii powszechnej wiadomo, że racji tych mogło być wiele. Z lekcji dziejów najnowszych wynika natomiast, że była właściwie tylko jedna racja, ogromnie pociągająca, której na imię Obiektywne Prawa Historii.

Ujawienie Obiektywnych Praw Historii podzieliło użytkowników języka na tych, którzy owe prawa odczytali i poznali, czyli Strażników Tajemnicy i na tych, którzy powinni jak najszybciej im się podporządkować i być posłusznym tym, którzy wiedzą co czynią. Na nauczycieli i adeptów. Nic więc dziwnego, że znaczenia słów i reguły składni zależą od przebiegu procesu edukacyjnego. Świat mowy — co logicznie wynika z podstawowego dualizmu bytu i zjawiska — należy bowiem do rzędu zjawisk, a więc można go traktować instrumentalnie jako coś bezwzględnie plastycznego, podległego woli Strażników Tajemnicy.

Wcielanie w życie („praktyczne zastosowanie teorii”) Obiektywnych Praw Historii polega więc na nauczaniu języka tych wszystkich, którzy nie dość jasno widzą czym jest byt w swej istocie i, ciemni, krążą wśród błędów i pozorów. Nie widzą jasno, nie są jeszcze w pełni racjonalni.

Postępy edukacji byłyby pewno wyraźniejsze, gdyby nie pewna przeszkoda, która je opóźnia. Jest nią właśnie świat życia codziennego. Należy on — co dla Strażników oczywiste samo przez się — do zjawisk, a więc jest w stosunku do bytu wtórny i przez to podejrzany. Uznanie świata życia codziennego za zjawisko, tylko zjawisko, powoduje, że ów świat należy traktować z lekceważeniem jako coś przejściowego: to istny przedsięwzięcie lub poczekalnia bytu. To lekceważenie wyraża się na różne sposoby i na każdym kroku, jednak najczęściej w postaci hasel progresywistycznych: pracy dla lepszego jutra, poświęcenia dla przyszłych pokoleń, zagrożenia obcym spiskiem, matactwami „określonych kręgów” itd. Ale świat życia codziennego jest oporny, hardy choć dwuznaczny. Dlaczego?

Istnienie dwóch światów zakłada również orientację przestrzenną: świat życia codziennego znajduje się „na powierzchni” w stosunku do „głębi” przyczyn nadających mu cel i sens. „Ta hierarchia — pisała Hannah Arendt, powołując się na wyniki dociekań współczesnych filozofów, biologów, fizyków i psychologów, prowadzonych niezależnie od siebie w różnych miejscach globu — została współcześnie zakwestionowana w istotny sposób.

Czy nie może być tak, że zjawiska nie są dla procesu życia, lecz, przeciwnie, że proces życiowy jest dla zjawisk? Skoro żyjemy w pojawiającym się świecie, to czy nie jest bardziej prawdopodobne, że ważne i pełne znaczenia w naszym świecie jest to, co znajduje się na powierzchni?”

Jeśli świat życia codziennego uznaję za wtórny, powierzchowny, to w tym samym momencie, w ruchu lekceważenia, unieważniania wszelkie swoje wypowiedzi, całą logosferę, bo odrzucam podstawowy warunek istnienia mowy. Warunek jej intersubiektywności. Martwy język: ten, który ma objawiać byt, odbiera mi mowę, chociaż nie pozwala milczeć. Nakazuje mi mówić tylko w jeden sposób, redukuje mnie do roli mówiącej maszyny. Redukuje też relacje między mówiącymi: nie ma już związków: „ja — ty — on”, pozostaje tylko hierarchiczny system lusterek absolutnego „Ja”, bezwzględnego podmiotu mówienia. Opór świata życia codziennego polega na nieprzerwanym demystyfikowaniu absolutnego „Ja”, ponieważ ten świat uwzględnia prawo do rozmowy, zależy od rozmowy, pomyłki, „widzi-mi-się”, uwzględnia prawo do bycia niecałkiem, tak sobie, bycia sobie jednym. Chroni podstawy mowy obejmującej rzeczywistość, powstającą w kontakcie między tobą i mną, którzy żyjemy pośród złudzeń wynikających z ułomności naszych zmysłów, możemy jednak, wspólnie zainteresowani rzeczą, wymienić swoje sądy i w ten sposób określić (współokreślić) jej sens, wywołać ją do życia oraz powołać nasze „jestem” przez mowę. I chociaż błędzimy, mamy różne zdania o rzeczy: tak — świecznik, tak — mina byka, to przecież wiemy, że mówimy o tym samym. Istniejący w rozmowie, odgadywaniu:

może najwięcej prawdy
jest w domysłach

Tu jest punkt wyjścia, miejsce narodzin wszelkich gatunków mowy. Tu jest źródło, na powrocie do źródła polega wartość *réécriture* Mirona Białoszewskiego.

7.

Dramat współczesnej logosfery, który wyraża twórczość Białoszewskiego, mógł skończyć się tragicznie. Ale Białoszewski, na szczęście, wśród szumów, zlepów i ciągów dotarł do miejsca narodzin wszelkiej wypowiedzi. Jego rzecz o wolności słowa nie jest niczym innym jak tylko wydobyciem na jaw

tę, co dzieje się z każdym z nas, gdy chce coś powiedzieć. Odkryciem oczywistości — objawieniem poezji.

8.

Miron Białoszewski:

Gdyby to było coś, co jest
a racja... : jest...
ale dlaczego tego nie ma?
czy ja się mgłę
czy coś

Krzysztof RUTKOWSKI

Warszawa, 1983

O Tadeuszu Łomnickim

3 września 1985 r.

Wielce szanowny i drogi Panie Redaktorze!

O Tadeuszu Łomnickim, jak zapewne o każdym człowieku, który wykracza ponad przeciętność, można powiedzieć wiele rzeczy zarówno dobrych jak złych, ale należy większość ich ułożyć w czasie i na tle czasu przemijającego. Jedno natomiast jest zawsze, niezależnie od upływu czasu ważne i prawdziwe: jest to jeden z najwybitniejszych współczesnych aktorów polskich, kto wie czy nie najlepszy? Gusta bywają różne, ale nie można nie uznać jego wielkości. Dorobek ma również imponujący.

Karierę artystyczną rozpoczął z początkiem lat pięćdziesiątych (piszę z pamięci, nie posługując się źródłami, ale też nie encyklopedyczną notę chciałbym Panu przedstawić, a raczej coś w rodzaju szkicu do portretu) — i początkowo nie było wcale całkiem jasne, czy będzie z niego aktor, czy... literat. Były to czasy naporu „realizmu socjalistycznego”. Poeci stawali na estradach, by recytować swe płomienne wiersze, zagrzewające do oddania wszystkich sił budownictwu socjalistycznemu — zaś aktorzy chwyтали za pióro, by tworząc nowy repertuar teatralny wykurzyć ze scen przyżytki mieszczańskiej dramaturgii. Tadeusz Łomnicki napisał sztukę pod tytułem „Kąkol i pszenica” — treść wiadoma z samego tytułu.

Został jednak aktorem. Pierwszy wielki krok na scenie, tuż

po październikowym przełomie, to pierwszy warszawski Kordian w reżyserii Erwina Axera, na deskach Teatru Narodowego. Potem wraz z Axerem Łomnicki wycofuje się na mniejszą, ale o wiele bardziej twórczą scenę Teatru Współczesnego, tam się kształtuje, rozwija i osiąga pierwszy stopień wielkości aktorskiej. Niezapomniane osiągnięcia: Arturo Ui w sztuce Brechta — ekspresyjny, skrótowy, dynamiczny, podporządkowany w niezwykle zdyscyplinowany sposób agresywnej tezie politycznej sztuki — i jakby na drugim biegunie, w opozycji do tej metody, całkowicie przesiąknięty polską tradycją aktorską Łatka we fredrowskim „Dożywociu”. To była rola! Młodzież aktorska chadzała uczyć się na spektakle. Po Jaraczach, Zelwerowiczach, po Kurnakowiczach, po mistrzach przedwojennych — a można by sięgać i wcześniej, do czasów Żółkowskiego, jeśli wierzyć starym przekazom — pojawił się aktor, który umiał typowi wykreowanemu ze szlacheckiej anegdoty (jak wszystkie typy Fredry) nadać cechy współczesne, bliskie obserwacji życia aktualnego. Był to portret aktorski, literacki, teatralny — i socjologiczny zarazem. Typ polski, i peerelczykowski, jeśli tak można powiedzieć — jednocześnie. Stary szlachecki komizm łączył ze współczesną tragifarsą. Był to bogaty komentarz do naszego życia.

Prócz tych największych ról było wiele świetnych, których nie zliczę. Coraz bardziej mistrzowskie opanowanie zawodu, coraz bogatszy warsztat aktorski. Gdy zmarł Jan Kreczmar, który prowadził warszawską Szkołę Teatralną (PWST im. Aleksandra Zelwerowicza) naturalną stała się kandydatura Tadeusza Łomnickiego. Został rektorem.

Otwierały się lata siedemdziesiąte. U władzy Gierk z ekipą modernizatorów socjalizmu. Zapowiada się życie bogate dla wszystkich. Z tym, że na dole ogranicza się to do tak zwanej konsumpcji. A na górze zbliża się do komfortu.

Proszę porównać te uwagi z tym, co pisze o powojennym teatrze polskim Pański oddany sługa Jan Krajowiec w artykule pt. „Czterdziestolatek”, który zamieścił Pan w numerze 71 *Zeszytów Historycznych* z 1985 r. W tym czasie zaczęło się życie dworskie teatru. Tadeusz Łomnicki stał się ważną figurą w tej galerii w stylu komunistycznego rococo. Był nie tylko „Jego Magnificencją”, tytułowano go „Jego Magnificencja Towarzysz Rektor”.

Trochę obłudny, a trochę przerażony, sprytny i przebiegły Łatka, który zawsze wie kiedy upaść plackiem na dywanik, a kiedy ugryźć — teraz nabiera cech władczych. Rozwija się. Bywa groźny, bywa łaskawy... Urzęduje. Ma wiele spraw na głowie. Coraz mniej gra, coraz więcej reprezentuje. Zostaje delegatem na zjazd partii, której członkiem (szarym, szeregowym) jest od lat młodzieńcych. Zostaje wybrany członkiem KC. Co za karia! Senator w łasce, w łasce, w łasce...

W zmontowanym przez Łukaszewicza i jego drużynę oszustów systemie wyprowadzania sztuki polskiej na manowce „artyzmu”, odrywania od łączności ze społeczeństwem, z rzeczywistymi pro-

blemami kraju, z prawdziwym życiem — Tadeusz Łomnicki odgrywa znaczną rolę. Przewodzi wielkiemu oszustwu, zaprogramowanemu pod hasłem „teatr robotniczy”. Oto na zlecenie władz partyjnych odebrano warszawskiej fabryce im. Kasprzaka, mieszczącej się na Woli, zbudowany po wojnie dom kultury, gdzie oprócz sali kinowej znajdowały się sale biblioteczne, czytelnicze, do nauki dzieci, do rozrywki, a nawet miejscowa przychodnia zdrowia. W błyskawicznym tempie przerobiono go na teatr. Dyrektorem i kierownikiem „robotniczego” Teatru na Woli został towarzysz rektor.

Oczywiście z robotnikami teatr ten miał tyle tylko wspólnego (poza frazeologią), że odebrał im możliwość posyłania dzieci na lekcje tańca i rytmiki, gimnastykę korekcyjną, do kółek rozwijających zainteresowania artystyczne czy techniczne, wreszcie pójścia samemu na szachy czy karty do klubu. Nie wywołała ta kradzież — bo inaczej tego nie można nazwać — entuzjazmu wśród robotników od Kasprzaka, nie zbliżyła ich do sztuki teatralnej, wprost przeciwnie. Konflikt ten bardzo przykro odbił się w czasach „Solidarności” na stosunkach między środowiskiem robotniczym a aktorskim i nie mało kłopotów przysporzył regionowi Mazowsze.

Trzeba natomiast przyznać, że jako dyrektor Tadeusz Łomnicki prowadził teatr interesujący. Zagrał kilka dobrych sztuk, z własnymi dobrymi rolami, wśród których najlepsza chyba była rola Salieriego w słynnym „Amadeuszu” reżyserowanym przez Romana Polańskiego, który zresztą bardzo udatnie partnerował Łomnickiemu jako Mozart. Ale był to już rok 1981. Okres buntu teatru, środowiska teatralnego przeciw swemu własnemu poprzedniemu wcieleniu paziów i trubadurów na gierkowskim dworze.

Tadeusz Łomnicki złożył urząd rektorski, złożył dyrekcję Teatru na Woli zanim ktokolwiek zdążył przedstawić mu rachunki do rozliczenia. Szczęśliwie się stało. Został w pamięci jako artysta, jako aktor, nie prominent odchodzący w niesławie wraz z całym kukiełkowym personelem upadłego reżimu. Co jeszcze? Miał kłopoty ze zdrowiem...

IX Zjazd PZPR oglądał już razem z nami w telewizji. Po 13 grudnia 1981 roku odesłał swym byłym towarzyszom legitymację i zasilił szeregi bezpartyjnych.

Czy był komunistą? Myślę, że nie. Kiedyś, w początkach, razem z aktywną większością swego pokolenia uwierzył w szansę polskiej rewolucji, w industrializację, rewolucję kulturalną, w przebudowę życia na nowych zasadach. Potem było coraz mniej entuzjazmu, a coraz więcej życiowych konieczności, codziennych potrzeb — nie tylko własnych, osobistych, ale i potrzeb społecznych — potrzeb teatru, kultury, zbiorowości. Robił przecież wiele dobrego. Rozwinął szkołę teatralną, zbudował nowoczesny teatr na warszawskiej Woli, nauczał młodzież aktorską... Uczył dobrze, ale czy dobrze wychowywał?

Jego grudniowy gest zrobił wielkie wrażenie w środowisku teatralnym, wśród aktorów — ale i widzów. Tadeusz Łomnicki odciął się od własnej przeszłości.

Sądzę, że odciął się od pewnej sztucznej konstrukcji, która sprawiała mu w życiu sporo kłopotu, od kostiumu, który przywdział, a w którym było mu coraz mniej do twarzy. Wrócił do siebie, do własnej skóry. Sądzę, że każdemu przysługuje prawo do powrotu.

Jak wiadomo, święty Piotr zaparł się Chrystusa (trzykrotnie), gdyż noc była zimna i bardzo mu zależało na tym, by pogrząć się przy ognisku rozpalonym przez przeciwników Mistrza. Nasz klimat jest jeszcze chłodniejszy (co zauważył rosyjski eseista Wiktor Szkłowski w swym mało znanym szkicu o zaprzaństwie świętego Piotra), i gdyby ta historia wydarzyła się nie w Palestynie, a u nas, byłby znaczny tłok przy ognisku.

Tadeusz Łomnicki nie tylko ogrzewał się sam, ale chadzał z pochodnią lub kagankiem między ludzi, by ogrzewać i oświecać także tych nieśmiałych (czy niechętnych). Ale kiedy 13 grudnia żołnierze generała Jaruzelskiego rozpalili koksowniki na skrzyżowaniach ulic, nie widziałem, by ktokolwiek poza nimi krzyszał z tego ciepła, choć marzli wszyscy.

Dowiaduję się, że Tadeusz Łomnicki przebywa obecnie prywatnie w Australii i przy tej okazji zamierza dać parę wieczorów aktorskich, a miejscowa Polonia zamierza go zbojkotować, gdyż w przeszłości — zapewne — błądził. Byłaby wielka szkoda, gdyby rodacy mieli nie zobaczyć i nie usłyszeć tego naprawdę wielkiego aktora z tego powodu, że zmieniał się, i zmienia, jak samo życie.

Wszystkie wyrazy szacunku przesyła

J. K.

PRZYPOMNIENIE KSIĘGARNI TRZASKI, EVERTA I MICHALSKIEGO W WARSZAWIE

Od p. Wiktora Padzika (71, South St., Hartford CT 06114, USA) otrzymaliśmy wzruszający w swej intencji „List otwarty”, domagający się przypomnienia niewątpliwie zasłużonego księgarza warszawskiego Władysława Trzaski i jego firmy (Trzaska, Evert i Michalski) czynnej w 20-leciu, oraz indywidualnej jego działalności w czasie okupacji i w latach powojennych aż do śmierci w roku 1964.

Autor wezwania uważa, że teść jego, Władysław Trzaska, jest „niegodnie zapomniany” i „niegodnie pominięty tak w kraju jak i poza jego granicami” i zwraca się do „wszystkich Polaków, Księży i Kościołów Polskich, Uniwersytetów, Instytucji i Korporacji z prośbą o poparcie, opiekę, pomoc i patronat nad wskrzeszeniem Imienia Firmy”

P. W. Padzik zdaje sobie sprawę z tego, że „wskrzeszenie Firmy”, którą zniszczył totalitarny walec „przodującego ustroju” na równi z dziesiątkami innych zasłużonych wydawnictw, instytucji czy organizacji z Polską Akade-

mią Umiejętności na czele, jest w obecnej sytuacji niemożliwe. Wysuwa przeto projekt utworzenia Muzeum i Fundacji poświęconych pamięci Księgarni i Wydawnictwa T.E.M.

Twierdzenie p. Padzika, iż Władysław Trzaska jest „zapomniany” nie jest słuszne. W „Słowniku pracowników książki polskiej”, wyd. w 1972 przez PWN jest jego czołownicowy biogram (na str. 910), a w dodatku do czasopisma *Księgarz* (1960, nr 11/12) ukazał się zarys historii księgarni pióra M. Łusakowskiej, obejmujący nie tylko międzywojnie, ale i lata 1939-1959. W roku 1964 Władysław Trzaska został odznaczony krzyżem kawalerskim Odrodzenia Polski, a Związek Księgarzy Polskich nadał mu Złotą Odznakę. Czego więcej oczekuje P. Padzik w Kraju? Można obchodzić co roku 3 Maja, 15 sierpnia, 11 listopada, ale nie sposób święcić wszystkich zasłużonych dla kultury polskiej. Były ich — na szczęście — tysiące.

Autor „Listu otwartego” upomina się o Władysława Trzaskę. Wspomniany wyżej „Słownik pracowników książki polskiej” zawiera jednak również biogramy dwu pozostałych współników księgarni: Ludwika Everta (str. 209) i Jana Michalskiego (str. 582), jak również czołowego współpracownika księgarni i redaktora jej wydawnictw Stanisława Lama. Dwa ostatnie biogramy zawierają bibliografię wydawnictw, o którą upomina się p. Padzik.

Skoro stworzono Muzeum Literatury, nie zawadziłoby jednak pomyśleć o analogicznym Muzeum Księgarń i Wydawnictw, poświęconym historii najbardziej zasłużonych placówek zarówno w Kraju jak i na obczyźnie — w Paryżu, Lipsku, Petersburgu — i na „ziemiach utraconych” — w Wilnie, Lwowie, a nawet Brodach czy Złoczowie.

Pan Padzik wyraża nadzieję, że jego „List otwarty” ułatwi mu nawiązanie kontaktu z rodzinami współników Władysława Trzaski i w ogóle przyjaciółmi księgarni. Dodajmy do nich dawnych klientów księgarni, zajmującą część parteru Hotelu Europejskiego, i współpracowników „Nowej Książki”, odwiedzających redakcję wydawnictw, ozdabianych charakterystycznym znakiem byka unoszącego Europę.

Z myślą o nich podaliśmy wyżej adres autora „Listu otwartego”.

17 sierpnia 1985

ZAWIADOMIENIE O PRYZNANIU NAGRODY IM. JANINY ŁAWRUK ZE STARZYCKICH

Jury Nagrody w składzie: dr Bohdan Budurowycz, profesor Wydziału Języków i Literatur Słowiańskich na Uniwersytecie Toronto; Jerzy Giedroyc, redaktor *Kultury* w Paryżu; Benedykt Heydenkorn, były redaktor *Związkowca* w Toronto; Iwan Koszeliweć, były redaktor, a obecnie członek kolegium redakcyjnego *Suczasności* w Monachium; dr Bohdan Ławruk, profesor Wydziału Matematyki i Statystyki na Uniwersytecie McGill w Montrealu — fundator, wybrało w tym roku dr. Bohdana Osadcuka, profesora na Wolnym Uniwersytecie w Berlinie oraz znanego publicystę i pisarza katolickiego Tadeusza Żychiewicza.

Bohdan Osadcuk, intelektualista ukraiński, jest wybitnym publicystą zajmującym się w szczególności problematyką polsko-ukraińskiego zbliżenia, należy do rzeczników pełnego porozumienia i trwałego współżycia Ukraińców z Polakami, długoletni współpracownik *Kultury*. Jego zasługi w normalizacji stosunków polsko-ukraińskich są wyjątkowe.

Tadeusz Żychiewicz, członek redakcji *Tygodnika Powszechnego* w Kra-

kowie, dużo miejsca w swej publicystyce, przeważnie o charakterze religijnym, poświęca ostatnio Kościołowi greckokatolickiemu i zarazem problematyce stosunków polsko-ukraińskich. Brał on udział w przygotowaniu specjalnego numeru *Znaku* poświęconego tym zagadnieniom, a który został w całości skonfiskowany przez cenzurę. Nagroda została jemu przyznana za publikacje związane z Unią, a w szczególności za opracowanie biograficzne pt. „Jozafat Kuncewicz”, które pojawiło się w dwóch częściach w ostatnich numerach *Znaku*.

Jury przyznało wybranym kandydatom dwie równorzędne nagrody w wysokości po \$ can. 1.500,00.

Nagroda im. Janiny Ławruk ze Starzyckich przeznaczona jest dla osób zasłużonych dla idei zblżenia polsko-ukraińskiego, która przyświecała śp. Janinie Ławruk w ciągu Jej życia. Dotychczas wynosiła ona \$ can. 1.500,00. Przewiduje się, że nagroda ta będzie przyznawana co trzy lata w miesiącu maju. Ufundował ją, dla uczczenia pamięci swej matki syn, Bohdan Ławruk, pierwszego maja 1976 roku w trzecią rocznicę śmierci, na którego adres: 3425 Stanley St., apt. 405, Montreal, P.Q., H3A 1S2, Canada, można kierować ewentualną korespondencję.

Dzięki ofiarności dr. Stanisława Mariana Mazewskiego z Guelph, Ont., Kanada, który przyłączył się do Nagrody w 1980 roku, suma przeznaczona na tę Nagrodę została przez niego podwyższona o następne \$ can. 1.500,00 i wynosi obecnie \$ can. 3.000,00.

Wręczenie nagród odbywa się poprzez Fundację Adama Mickiewicza w Toronto.

W 1976 roku Nagrodę im. Janiny Ławruk ze Starzyckich otrzymali: Władimir Łesycz, Józef Łobodowski oraz Juliusz Mieroszewski; w 1979 roku — prof. dr Petro Poticznyj oraz dr Ignacy Tokarczuk, biskup ordynariusz diecezji Przemyskiej, a w 1982 roku — prof. dr Roman Szporluk i redakcja Niezależnego Pisma Młodych Katolików *Spotkania*.

NOWA FUNDACJA

Latem 1985 roku powstała w Montrealu (Kanada) Fundacja Tadeusza i Zofii Romerów „Pomoc dla Polskich Pracowników Kultury i Nauki”. Jej celem jest ułatwienie polsko-kanadyjskiej wymiany kulturalno-naukowej, a zwłaszcza pobytów polskich naukowców i artystów w Kanadzie. W tym celu Fundacja zamierza działać na rzecz bliższych kontaktów między kanadyjskim i polskim światem uniwersyteckim i artystycznym oraz zakłada fundusz, z którego odsetki pozwolą jej uczestniczyć w kosztach pobytu Polaków w Kanadzie.

Książki

Czas utrwalony

Imponujący dorobek prozatorski Czesława Miłosza jest rezultatem wieloletniego nawyku codziennych medytacji z piórem w rękę. Tylko część jego tekstów rozproszonych jest dostępna w formie książkowej, ponieważ autor stosuje surowe kryteria i wzbrania się przed wznowieniem niektórych szkiców, zawierających jego zdaniem zbyt dużą dozę publicystyki.

W swojej najnowszej książce, *Zaczynając od moich ulic**, (XII tom z serii *Dzieł Zbiorowych*) Miłosz zgromadził ponad 20 przemówień, esejów, polemik, odczytów, wspomnień i nekrologów, napisanych w ciągu 40 lat. Tom ten różni się więc nieco formułą od jego wcześniejszych książek eseistycznych jak *Ogród nauk* czy *Prywatne obowiązki*. Tamte, choć są również zbiorami szkiców (drukowanych najpierw w *Kulturze*), powstały najwyżej w ciągu kilku lat, a autor w trakcie ich pisania miał mniej czy bardziej uświadomiony rysunek całości. Natomiast niniejszy tom nie ma ani tak zwartych ram czasowych, ani nie da się tak łatwo sprowadzić do wspólnego mianownika. Gęstość tematów i różnorodność form wymykają się zdefiniowaniu.

Daty i okoliczności powstania tych tekstów są ważne, bo pozwalają prześledzić stopniową ewolucję poglądów Miłosza, jego sądów o sobie i innych, a także — co może ważniejsze — uchwycić zasadniczą stałość jego pasji intelektualnych i ciągłe drażnienie coraz głębszych warstw interesujących go zagadnień: historii, ontologii, metafizyki. I choć układ materiału w *Zaczynając od moich ulic* nie jest mechanicznie chronologiczny, to czytelnik po

* Czesław Miłosz, *Zaczynając od moich ulic*, Instytut Literacki, Paryż 1985, str. 364, cena 120 FF.

odłożeniu tej książki dostrzeże jej wewnętrzną dramaturgię, której sprawcą jest czas. Obcuje bowiem z autorem w różnych okresach jego życia, poczynając od 1943 roku, gdy w okupowanej Warszawie pisał szkic o doniosłości filozofii Stanisława Ignacego Witkiewicza, do 1983 roku, gdy w swoim domu w Berkeley żegna przyjaciela z tamtych lat, Jerzego Andrzejewskiego.

Mieszana formuła książki nie oznacza więc, że ten obszerny, liczący ponad 350 stron tom jest rodzajem literackiego remanentu. I tak z wyczerpanego od lat zbioru *Kontynenty* (1958) autor włączył zaledwie kilka szkiców. Wybrany materiał podzielił na pięć części tematycznych: Wilno, Stare Awangardy, Portrety, Pożegnania, Przemówienia. Podział ten jest do pewnego stopnia umowny, bo niektóre teksty mogłyby z powodzeniem znaleźć się w innej grupie. W tej wielości tematów i wypowiedzi adresowanych do różnych odbiorców, polsko- i obcojęzycznych, wygłaszanych *ex cathedra* i publikowanych pierwotnie w pismach dla elitarniej publiczności, można jednak wykryć motywy przewodnie i sprowadzić je do trzech kluczowych zagadnień: rozważań nad istotą wygnania, nad rolą poety i poezji, i wreszcie nad konsekwencjami rozszczepiania intelektualnego, tj. przeciwstawienia rozum-wiara. Żadna z tych spraw nie jest traktowana w oderwaniu od pozostałych, ale w poszczególnych tekstach inaczej jest rozłożony ciężar. Książka Miłosza, choć momentami anegdotyczna, lekka, świadcząca o dużym poczuciu humoru, jest zarazem bardzo poważna ze względu na wagę przedstawionych w niej problemów, co w końcu jest stwierdzeniem oczywistym w odniesieniu do jego twórczości. Przy tym wszystkim *Zaczynając od moich ulic* nie jest zbiorem uczonych rozpraw literacko-filozoficznych, lecz wypowiedziami człowieka wątpliwego, szukającego, rozdartego — nie tylko chłodnego myśliciela, ale i poety kultuwującego w sobie sprzeczność. W miarę upływu lat można zauważyć, jak zaciekle i gwałtownie sądy Miłosza ustępują na rzecz większej klarowności dyskursu, rosnącego dystansu, łagodniejszej oceny. Niemniej cały tom stanowi świadectwo wysokiej temperatury intelektualnej autora. W zebranych w nim szkicach, może bardziej niż w utworach poetyckich, Miłosz odsłania się, nawet jeśli weźmie się pod uwagę jego przemilczenia i przyjmie poprawkę na nieuniknioną autokreację. Często odwołuje się do biografii własnej (szczególnie w szkicach o Teodorze Bujnickim i Józefie Czechowiczu oraz o Zygmuncie Hertzcu), choć podkreśla, że chodzi mu nie tyle o wspomnienia, co o portrety z tłem. Swoje losy traktuje z dystansem, patrząc na siebie jakby obcym okiem. Mimo wyraźnej niechęci do autobiografizmu dostarcza jednak wielu szczegółów z czasów swojej młodości i lat dojrzałych, pominiętych np. w *Rodzinnej Europie*. Szkice te można

również traktować jako materiał źródłowy do analizy niektórych jego wierszy. I tak Bujnicki został następnie przywołany w poemacie *Gdzie wschodzi słońce i kędy zapada* (1974), a Czechowicz — w *Kartkach dotyczących lat niepodległości*, wchodzących w skład *Osobnego zeszytu* (1980).

Miłosz przedstawia swoją literacką konfraternię i przyjaciół spoza ściśle artystycznego kręgu w części „Portrety” i w „Pożegnaniach”. Pisze na ogół o zmarłych, ale, jak sam niegdyś zauważył, poeta stale prowadzi dialog z umarłymi. Te wizerunki są nie tylko wnikliwymi studiami losów, postaw, wyborów. Emanuje z nich ciepło, przejęcie się sprawami ludzi, nie abstrakcyjnym „człowiekiem”. I zawsze są to uwikłania w historię. Ta więź z ludźmi, jak się wydaje, wzmacnia się u Miłosza w miarę upływu lat. Świadczy też o potrzebie zadaniem ponad siły. Stąd może tak wiele w tej książce uwag i wspomnień o żagarystach, Klubie Włóczęgów, czasach wileńskich.

Próżność i pychę, o jakich Miłosz pisze w odniesieniu do siebie, należy traktować nie tyle w kategoriach psychologicznych, co filozoficznych. Jest to arystokratyzm intelektualny, każący mu ustanawiać coraz ściślejszą hierarchię, podwyższać wymagania zarówno wobec twórczości własnej, jak i innych. Ale zarazem „pyszny jak diabeł” (określenie Jana Błońskiego) Miłosz jest pokorny, odczuwa ogromną potrzebę mistrza, autorytetu, partnera w dialogu, przynależności do grupy ludzi, zadających, jak i on sam, pytania o rzeczy ostateczne. Stąd w poszczególnych szkicach pochwała głębokich związków z Gombrowiczem, Stanisławem Vincenzem, Józefem Szadzikiem, by wymienić tylko kilku z galerii przyjaciół poety.

W tomie tym znalazły się teksty powszechnie znane, w tym przede wszystkim przemówienie Miłosza-noblisty w Królewskiej Akademii Szwedzkiej w grudniu 1980 roku, obok szkiców ogłoszonych przed laty w pismach naukowych, wspomnienia utrzymane w tonie prywatnym i wystąpienia publiczne, utwory o takim stopniu destylacji (jak *Noty o wygnaniu*), że mogłyby być zaliczone do poematów prozą i gawędy, jak uroczy *Dykcjonarz wileńskich ulic*, do którego nawiązuje tytuł książki.

W *Notach o wygnaniu* (1975) Miłosz pisze o wyobraźni: „zawsze przestrzenna, wskazuje na północ, południe, wschód i zachód od pewnego centralnego, zawsze uprzywilejowanego miejsca, którym jest przypuszczalnie wioska naszego dzieciństwa czy nasz powiat”. Tytuł książki podkreśla ważność tego ośrodka jego *universum*. W innych szkicach poeta twierdzi wręcz, że wygnańcem stał się w 1937 roku, kiedy musiał opuścić Wilno

i przenieść się do Warszawy. Dalsze emigracje były jakby dopełnieniem tego losu. Wygnanie jest przedmiotem medytacji Miłosza na wielu planach, jako doświadczenie indywidualne i całych zbiorowości, niegdyś i teraz, w kategoriach historycznych i metafizycznych, bo przecież każde wygnanie jest odpryskiem pierwszego wygnania z Raju. W przedmowie do książki Stanisława Vincenza *Po stronie pamięci* Miłosz ostrzega przed skutkami „niepobożności”, czyli zerwania związków z przeszłością, gdy szczególnie traci ważność, i przed „nihilizmem”, czyli poczuciem utraty „ojczyzny ziemskiej i niebieskiej”. Człowiek wykorzeniony to człowiek pozbawiony zbiorowej pamięci. „Tam, gdzie nie ma pamięci, nie tylko czas jest pustkowiem, także przestrzeń, drzewa i skały mówią do nas, ale my ich nie rozumiemy. Tylko poprzez pamięć możemy nauczyć się rozumieć ich mowę”. A zatem tęsknota do ojczyzny nie ma u Miłosza podłoża sentymentalnego, nie jest wyrazem nostalgii emigranta. Zresztą samo pojęcie „ojczyzna” nie oznacza państwa, lecz ziemię rodzinną — „małą, wrosniętą w przeszłość, grzejącą serce”. Wygnanie — zauważył Miłosz na światowym kongresie poezji w Montrealu w 1967 roku — „jest losem dzisiejszego poety, niezależnie od tego, czy mieszka w swoim rodzinnym kraju czy za granicą, bo prawie zawsze jest on wyrwany z małego swojskiego świata obyczajów i wierzeń, jaki zna z dzieciństwa”. Wszystko jednak zależy od tego, jaki się z tego zrobi użytek.

Miłosz stale podkreśla swoją odrębność *gente Lithuani natione Poloni* — jest „tutejszy”, „prowincjonalny”, z pogranicza. Wielkie Xięstwo Litewskie, Żmudź, Litwa środkowa na północ od Kowna, pofalowany krajobraz z rzeką dzieciństwa stale powracają w jego twórczości, bo tam znajduje się źródło zbiorowej pamięci poety. W tym sensie fizyczne wygnanie, jakkolwiek bolesne, jak każda amputacja, może się w końcu okazać pomocne, ponieważ prowadzi do oczyszczenia, dystansu, sublimacji, pod warunkiem jednak, że nie zostanie zerwana niewidzialna nić z tym ośrodkiem.

I tu dochodzimy do drugiego głównego tematu *Zaczynając od moich ulic*: istoty twórczości poetyckiej i roli poety. W swoich rozważaniach Miłosz nie buduje abstrakcyjnych struktur intelektualnych, lecz powołuje się na konkretne postacie, programy literackie, spory obecne i dawne. Stara się też zdefiniować poezję własną, nie unikając zresztą wielu sprzeczności. Należy przy tym pamiętać, że na wizerunek własny poety przedstawiony w tej książce składają się przemyślenia odnotowane w ciągu czterech dziesiątków lat. Sam autor podkreśla zasadniczą sprzeczność tkwiącą w poezji. W szkicu o twórczości amerykańskiego poety Robinsona Jeffersa (1962) formułuje to mniej wię-

cej w ten sposób: poeta nie może być aparatem do odnotowywania subiektywnych, zmysłowych doznań, ale nie może też działać pod naciskiem myśli spekulatywnej. A więc ani medium (choć w innym miejscu, w odczycie wygłoszonym na KUL-u w Lublinie w 1981 roku Miłosz twierdzi, że jest „medium, przez które przemawiały głosy pewnej określonej cywilizacji”), ani filozof (choć wielokrotnie daje wyraz swojej niechęci do poezji będącej poniżej najwyższego progu umysłowego swojej epoki). Pierwszy wybór grozi zachłyśnięciem się magią słowa, drugi — dyskursywnością, wpadnięciem w publicystykę. Miłosza nie zadowala ani poezja czysta, gdzie liczy się tylko zestaw dźwięków, ani przeintelektualizowana, zaprzątnięta ideami. Dochodzi w końcu do wniosku, że „poezja jest latarką odsuwającą ciemność, poeta przebywa na samej granicy, jakiej dosięga świadomość ludzkiego rodzaju”. W innym miejscu pisze, że jest to „medytacja antropologiczna”. Ale z drugiej strony nie jest wynikiem samej medytacji, lecz i natchnienia. Tu jednak zastrzega, że przedmiotem kontemplacji poety nie jest świat subiektywny, lecz istniejący obiektywnie — „cała rzeczywistość ludzka, zawsze nowa i nienazwana”, a według jednej z jego licznych definicji poezji zawartych w tym tomie, jest ona energią. Poeta, będąc medium, jest zarazem jego zdaniem istotą jak najbardziej rozumną. Dodajmy do tego niezbędny element cudowności, będący rezultatem wyzwolenia wyobraźni oraz imperatyw pisania prawdy (Miłosz wspomina, jak wielkie wrażenie wywarła na nim w młodości pogardliwa uwaga Nietzschego: „Poeci? Poeci za dużo kłamią”). Stawia więc przed poetą ogromne wymagania: jego twórczość musi być wysokiej próby intelektualnej i zawierać element cudowności, dziecinnego zachwyty nad światem; być wynikiem wyostrzonej świadomości, a zarazem sięgać do archetypu; musi wyrażać pamięć zbiorową, a jednocześnie nazywać nienazwane; cenić szczególnie, konkret, a zarazem stanowić wielkie rozszerzenie. Wreszcie poezja, zdaniem Miłosza, musi spełniać dwa podstawowe warunki: musi być wolna i konieczna. Konieczna w tym sensie, że to co jest wyrażone w wierszu, nie da się wyrazić w żadnej innej formie a wolna, ponieważ wedle zacytowanego określenia Jaspersa — ma panować nad światem zewnętrznym. Jest to program maksymalisty, sformułowany dość wcześnie, w latach pięćdziesiątych. Niewiele się zmienił, jeśli porównamy go z uwagami na temat poezji zawartymi w przemówieniu noblowskim, gdy poeta mówi o zasadniczej sprzeczności widzenia ziemi w każdym szczególe i zarazem z dystansu, oddalenia, które jest nieodłączną cechą kreacji artystycznej. W tym omówieniu pojmam rozważania nad wersyfikacją i innymi zagadnieniami formalnymi, starając się przedstawić kwintesencję poglądów Miłosza

na istotę samej poezji. Autor nie stawia bynajmniej ołtarza ku jej czci i oddaje głos obrazoburcy, Witoldowi Gombrowiczowi, dla którego poezja jest tworem równie sztucznym, co aria operowa. Ich wymiana uwag polemicznych jest zabawnym intermedium w stylu buffo, ale lekkość stylu stanowi tylko przebranie. W gruncie rzeczy obaj poruszają zagadnienia wykraczające poza ramy sporów czysto literackich. Cały zresztą tom Miłosza nie jest adresowany do garstki badaczy, lecz do dociekliwych czytelników, którzy, jak i autor, pragną dojść do jakiejś zasadniczej prawdy o naszych czasach. Wiele zawartych w tej książce uwag uderza celnością i prostotą sformułowań. Chciałabym w tym miejscu powołać się na jedną cytate, która mogłaby stanowić motto rozważań, zebranych w *Zaczynając od moich ulic*: „Wszystko co zalicza się do kultury (...) zagęszcza, intensyfikuje życie, bo jest to czas utrwalony, dotykalny, heraklitejska rzeka form nie całkiem przemijających i nie całkiem skazanych na zapomnienie”.

Trzecim głównym motywem tomu jest kwestia najpełniej wyłożona w *Ziemi Ulro*, a mianowicie europejski kryzys intelektualny, którego początki sięgają reformacji, choć wielu myślicieli przyjmuje datę dużo późniejszą — przełom XVIII i XIX wieku. Sprowadzając spór do słów-haseł, chodzi o przeciwstawienie rozum — wiara i stopniową ewolucję pojęcia Bóg-Człowiek w Człowiek-bóg. To przeciwstawienie zrodziło większość koncepcji i doktryn filozoficznych, które w XX wieku przybrały rozmiary lawiny, grożącej ostateczną zagładą świata. Człowiekowi odebrano wymiar metafizyczny. Boga zastąpiono Historią. Optymistycznej wiary w Postęp nie starczyło na długo. Zburzono system wartości. Mimo gwałtownego rozwoju nauki rzeczywistość stała się jeszcze bardziej niepojęta i groźna, a człowiek, w obliczu masakr i terroru na niespotykaną przedtem skalę, coraz częściej odczuwa byt jako absurd, tym bardziej, że i od środka draży go poczucie pustki, wydziedziczenia.

Miłosz, powołując się w swoich szkicach na filozofów i pisarzy takich jak Swedenborg, Lew Szestow, Dostojewski, Jean Paul Sartre, Simone Weil, reprezentujących różne stanowiska w tym sporze, stara się dotrzeć do źródeł tego przełomu i przedstawia zarazem krótki zarys historii intelektualnej ostatnich trzech wieków. Najwięcej miejsca poświęca Dostojewskiemu, ponieważ jest on człowiekiem obsesyjnie zakochanym w Rosji, która jest *de facto* bohaterką jego powieści. Dostojewski fascynuje Miłosza nie jako powieściopisarz, lecz myśliciel, który sięgnął do najistotniejszych w gruncie rzeczy problemów, przekazanych nam w spadku przez XIX wiek. I słusznie zwraca uwagę na zaskakujące podobieństwo postaw inteligencji rosyjskiej przedstawi-

nych w *Biesach* i *Braciach Karamazow* z poglądami intelektualistów zachodnich sto lat później, ogarniętych taką samą gorączką. W obu wypadkach można postawić podobną diagnozę. Przyczyną tego polowania na cele — pisze Miłosz — jest osłabienie bytu. Stąd jego surowa ocena działalności literackiej i politycznej Sartre'a, któremu zarzuca przejście do retoryki rewolucji z całkowitym pominięciem kwestii źródeł władzy, co prowadzi w końcu do dyktatury „kilku wiedzących”.

Autor powyższych uwag nie jest bynajmniej mistykiem i gdy zaleca jako antidotum lekturę pism Szestowa i Simone Weil, nie uprawia eskapizmu intelektualnego. Oboje odwołują się bowiem do człowieka nie przyciętego do dwu wymiarów. Usiłują — każde na swój sposób — rozwiązać konflikt między wiarą a rozumem.

W młodości Miłosz zaliczany był do katastrofistów. Teraz mimo wszystko częściej głosi nadzieję. I najnowsze jego szkice z tomu *Zaczynając od moich ulic* są tego dowodem. Nie dlatego, żeby świat w jego mniemaniu zmienił się na lepsze. Ale artysta, jak zresztą każdy człowiek, musi zapobiegać stale grożącej katastrofie i umacniać dobro, nazywając je po imieniu.

Renata GORCZYŃSKA

Próba angielszczyzny

Powiadają, że ten czy ów poeta jest mniej lub bardziej przetłumaczalny, lepiej lub gorzej znosi przekład na inny język. Należałoby za każdym razem uściślać — na jaki mianowicie język. Istnieją, rzecz prosta, przypadki skrajne: większość wierszy Różewicza da się bez trudu przełożyć na każdy chyba język świata, z większością wierszy Białośzewskiego będzie miał poważne kłopoty każdy tłumacz niezależnie od swojej narodowości. Między tymi skrajnościami istnieje jednak rozległa strefa pośrednia, okupowana przez poetów, którzy świetnie się sprawdzają w przekładzie, dajmy na to, na język francuski, a fatalnie brzmią np. w wersji rosyjskiej, lub też dobrze znoszą przekłady na języki słowiańskie, a nie „siedzą” w germańskich. Pytanie, dlaczego tak się dzieje, mogłoby stanowić punkt wyjścia dla zawitych rozważań z dziedziny teorii tłumaczenia — rozważań mających tyleż wspólnego z zagadnieniami ściśle lingwistycznymi co z problemem „go-

towości" danej tradycji literackiej na przyjęcie i przyswojenie właściwości stylu czy wizji świata tłumaczonego poety.

Próba angielszczyzny, którą przeszły — lub przejść nie potrafiły — wiersze wielu poetów polskich, wydaje się szczególnie wymagająca. Ktokolwiek narzeka na luki w istniejących amerykańskich czy angielskich przekładach polskiej poezji, powinien zastanowić się chwilę i zdać sobie sprawę, jakim rewolucyjnym aktem byłoby przekonujące artystycznie przyswojenie czytelnikowi anglosaskiemu takiego np. Leśmiana. Na przyjęcie autora „Łąki” nie jest „gotowa” zarówno natura języka angielskiego jak i tradycja anglojęzycznej liryki, i trzeba by doprawdy genialnego tłumacza, aby narzucić czy wręcz wmusić angielszczyźnie tego rodzaju poetę. Trudno tu mówić o szerszych prawidłowościach, ale jest chyba regułą, że gorzej wypadają po angielsku poeci, których magia ma swoje źródła w wykorzystywaniu swoiście polskich możliwości składni, słotwotwórstwa czy wersyfikacji: stąd nieprzewyciężone problemy z Sępem Szarzyńskim, Norwidem czy Tuwimem. Z drugiej strony, dobrze mieszczą się w głównym nurcie anglosaskiej tradycji — i nawet ten nurt wzbogacają — poeci, których wiersze polegają na rozwinięciu pewnego pojęciowego konceptu, na grze logiki raczej aniżeli na grze brzmień i znaczeń: stąd sukcesy Herberta czy ostatnio Szymborskiej.

Mała antologia pięciu poetów polskich, opublikowana jakiś czas temu w dalekim Vancouver przez Andrzeja Buszę i Bogdana Czaykowskiego*, stanowi interesujący przykład ambitnego przewyciężania takich właśnie translatorskich trudności. Ten elegancko wydany, bibliofilski druk (nakład 200 egzemplarzy) prezentuje pod jedną okładką pięciu autorów, różniących się pod każdym prawie względem — również pod względem stopnia oporu, stawianego tłumaczowi na język angielski. Wspólne mianowniki są dwa: gatunek i temat. Pięć zestawionych ze sobą utworów — Iwazkiewicza „Mapa pogody”, Wierzyńskiego „Piąta pora roku”, Jastruna „Sezon w Alpach”, Miłosza „Gucio zaczarowany” i Białoszewskiego „Autobiografia” — to pięć „nowoczesnych elegii”, zgłębiających różnie rozumiany problem Czasu. Jak wyjaśniają we wstępie autorzy wyboru, zamiarem ich było zademonstrowanie możliwości, jakie we współczesnej poezji wciąż jeszcze posiada gatunek dłuższego rozmiarami poematu, a *long poem*. Podawany w wątpliwość od czasów Poe’go i Baudelaire’a, a w Polsce otwarcie i programowo wyklęty przez Awangardę Krakowską (gdyż stał w niezgodzie z jej postulatem maksymalnej zwięzłości, a także, dodałbym, z zasadą ścisłego rozdziału pomiędzy liryką a innymi rodzajami literackimi), gatunek dłuższego poematu odrodził się w drugiej połowie naszego stulecia (znów uzupełniłbym wywód tłumaczy o informację, że wbrew swoim

początkowym teoriom dłuższe poematy pisywał w okresie międzywojennym sam Peiper; warto byłoby też wspomnieć o oryginalnych propozycjach powojennych np. Wata, Ważyka, Wirpszy, Karpowicza czy Woroszyńskiego). Oczywiście, pięć zaprezentowanych poematów wykorzystuje możliwości gatunku na różne sposoby. Elegia Wierzyńskiego ma formę „rozwinętego liryku”; Iwazkiewicza „Mapa pogody” to właściwie cykl poetycki; narracyjno-dyskursywny poemat Jastruna stanowi skondensowaną wersję romantycznego modelu gatunku; „Autobiografia” Białoszewskiego używa techniki luźnych skojarzeń, bliskich strumieniowi świadomości; Miłosz wreszcie konstruuje swój poemat z gry zmiennych punktów widzenia, dystansów i perspektyw. Podobnie rozmaicie przedstawiają się podejścia poetów do wspólnego wszystkim pięciu utworom tematu Czasu. Dla Jastruna — w dalszym ciągu streszczam wstęp Buszy i Czaykowskiego — czynnikiem nadającym Czasowi kształt i sens jest historia; uwagę Wierzyńskiego przyciąga wzorec ciągłości kultury, obecny w następstwie pór roku i pokoleń; zarówno dla Iwazkiewicza jak i Białoszewskiego, choć na różne sposoby, Czas sprowadza się do trwania jednostkowego „ja” w potoku przemijania; w wypadku Miłosza wreszcie władza Czasu znajduje swoją przeciwwagę w sztuce, a także w pojęciu „poszukiwania”.

Można by się oczywiście spierać, czy cały tom nie zyskałby na dodaniu jeszcze jednego czy paru przykładów analogicznego powiązania gatunku z tematem (przypuszczam, że tłumacze musieli rozważać kandydaturę np. „Labiryntu” Ważyka, utworu co prawda o znacznie większych rozmiarach niż którakolwiek z „pięciu elegii”), ale samo zestawienie tych tak różnych utworów wydaje się eksperymentem dostatecznie przekonującym i poznawczo opłacalnym. Powrócić trzeba natomiast do podstawowego pytania: jak poszczególne poeci sprawdzają się w wersji angielskiej? Busza i Czaykowski to tłumacze wrażliwi, pomysłowi i skrupulatni. Jeśli więc przyswojenie danego utworu angielszczyźnie nie udaje się za każdym razem jednakowo, przyczyną są zapewne naturalne bariery językowo-literackie, o jakich mowa była na wstępie tej recenzji.

Kto wypada po angielsku najgorzej? Oczywiście Iwazkiewicz. Powiadam „oczywiście”, bo można się było tego spodziewać. Uroki poezji Iwazkiewicza (jeśli kto jest ich amatorem) polegają między innymi na igraniu kontrastem między kulturalno-erudycyjnym wyrafinowaniem a pozą naiwnej prostoty, objawiającą się czasem wprost, lecz częściej jeszcze w sposób pośredni, przez np. „naiwne”, rudymenarne rymy lub układy rytmiczne. Kiedy np. w „Mapie pogody” czytamy:

Gromniczne ciche polecenie
Zimowe żółtych świec palenie
Zalewu światła wynurzenie
Znad fali dymy i płomienie

* *Gathering Time: Five Modern Polish Elegies*. (Iwazkiewicz — Wierzyński — Jastrun — Miłosz — Białoszewski). Translated and introduced by Andrzej Busza and Bogdan Czaykowski. Barbarian Press (British Columbia) 1983, str. 63.

książkę; jest to wstrząsające, krótkie opowiadanie pt. „W stepie, w ostach i burzanach”, będące rodzajem modlitwy przedśmiernej łagrowego *dochodiagi* i zwrócone tyle do Boga, co do obojętnej ludzkości poza Systemem. Inne opowiadania pisane są w trzeciej osobie, ale wszystkie mają tę samą jakość kosmaru, jak gdyby narrator nie dowierzał własnym oczom i pamięci, a równocześnie dzielił z protagonistami ich otepiałość od cierpienia. Opowiadania pt. „Bóg z tobą, synu...”, w którym Odojewski opisuje jak tortura „słupka” w sowieckim obozie przegradza się w upiorną mszę wielkoczwartkową, nie wahałbym się zestawzić z opowiadaniem kołymskim Szałamowa — co mówi coś o jakości i sile wyobraźni autora.

Użyte w tytule tego omówienia słowa są cytatem z opowiadania „Ku Dunzynańskiemu Wzgórzu idzie las”. Jest to rodzaj fragmentu powieściowego, usytuowanego już na powojennym Zachodzie, ale związanego ze zbrodnią katyńską. Bohaterowi opowiadania wpada w ręce coś, co jest śladem tej zbrodni, ale śladem zbyt słabym, by mógł służyć za dowód — jest więc znów tylko dręczącym przypomnieniem tego, co zdaje się dręczyć samego autora: że sowieckie zbrodnie nikogo nic nie obchodzą (por. też fragment „Listu”: „... nas Polaków, z naszymi sprawami, mają tutaj i tak dość powszechnie za hochsztaplerów historii...”), choć są równie realne jak zbrodnie niemieckie, a ponadto w przeciwieństwie do tamtych nigdy nie zostały okupione klęską czy choćby przyznaniem się do winy zbrodniarzy, a więc trwają i urągają poczuciu sprawiedliwości. Niemniej bohater opowiadania ma isierkę nadziei: jest nią rozmiar tych zbrodni, które — w jego odczuciu — muszą z czasem przemienić się w ruchomy las idący na Macbetha. „... mimo lat, jakie przeminięły, jestem wciąż stamtąd i nie zatruty mnie te czady zwątpień i rozkładu stąd. Może istotnie w ludziach jest niewiele miłości, ale jest za to dużo przerażenia, pamięć zbrodni i wyobraźnia. Dlatego on, ten las, dojdzie do Dunzynańskiego Wzgórza, tak musi być. Inaczej nie byłoby żadnego porządku w historii, a pewnie i w naturze...” (str. 116).

Co do istnienia „porządku w historii” można mieć zastrzeżenia, ale nie można ich mieć wobec zasady zabezpieczania śladów, gdyż jest to jeden z obowiązków, jakie nakłada na ludzi cywilizacja. Prawdę mówiąc, nie bardzo lubię literaturę martyrologiczną, bo łatwo w niej o *self-pity* i zamianę walorów literackich emocjami patriotycznymi. Niemniej literatura stanowi rodzaj pamięci narodowej i pewne rzeczy nie powinny być z niej wymazane; dotyczy to nie tylko sprawozdań faktów, ale i uczuć gniewu, przerażenia, nie-możliwości-zapomnienia. Te właśnie uczucia wyraża książka Odojewskiego i to — dzięki sile jej ekspresji — wyraża dobitnie i pięknie. Gwoli ścisłości i dla rozładowania patosu jedna uwaga krytyczna na zakończenie: narrator „Listu” nie mógł widzieć Krzyża Południa (str. 27) w Centralnej Azji, bo świeci on tylko na południowej półkuli.

M. BRONSKI

„Dwie rozmowy” Alaina Besançon

Nowa książka Alaina Besançon, „Falsyfikacja dobra. Sołowiowi i Orwell”, składa się z dwu części, nazwanych „rozmowami”. Rozmowy poświęcone są — jak wszystko, co przez minione dwa dziesiątki lat napisał Besançon, jeden z najwybitniejszych francuskich historyków — najważniejszemu zjawisku XX wieku — komunizmowi. Autor potraktował temat tym razem z nowego, nieoczekiwanego punktu widzenia.

Pierwsza część książki — „Falsyfikacja dobra” — dotyczy wybitnego rosyjskiego filozofa, niemal nieznanego Zachodowi i świadomie zapomnianego z ZSSR; druga, zatytułowana „Usprawiedliwienie zła”, poświęcona jest angielskiemu pisarzowi, o którym wiele mówiło się w 1984 roku. Zaskakujące zestawienie dwóch myślicieli, teologa i agnostyka, wydaje się na pierwszy rzut oka paradoksalne. Alain Besançon pisze w przedmowie: „Sołowiowi i Orwell nie mają ze sobą nic wspólnego. Nie łączy ich ani miejsce, ani czas, ani myśl”. Dorzuca jednak: „W dialogu O'Briena jest wyraźnie opisana sylwetka tej samej postaci, która została rozpoznana i nazwana w 'Trzech rozmowach' — diabła”.

Alain Besançon szczegółowo analizuje dwie książki: napisane w 1900 roku „Trzy rozmowy” Władimira Sołowiowa i wydany w 1949 roku „Rok 1984” Orwella. Na pierwszy rzut oka obydwie książki i obydwu autorów rzeczywiście wszystko różni. Przyjrzyjmy się jednak bliżej: Władimir Sołowiowi i George Orwell umarli tuż po skończeniu swych głównych dzieł. Można być niemal pewnym, że Orwell nie znał „Trzech rozmów”, natomiast nie tylko czytał „My” Zamiatina, ale zapożyczył od niego temat „1984”. W powieści Zamiatina wódz Jedyne Państwa — wszechmogący tyran, żarłok i kat w jednej osobie — nazywa się Dobroczyńcą. Antychryst w „Trzech rozmowach” też nazywa się Dobroczyńcą. Antychryst-Dobroczyńca-Starszy Brat są hipostazami diabła.

Niedługo przed śmiercią Władimir Sołowiowi zapytał (mając na myśli „Trzy rozmowy”): „Jak myślicie, co mi za to zrobią? — Kto? — spytał rozmówca. — No zainteresowany. Sam...!” — odparł Sołowiowi.

„Zainteresowany” właśnie, czyli będący przedmiotem rozważań diabeł łączy książkę rosyjskiego filozofa z powieścią Orwella. Przedstawiają go odmiennie: Sołowiowi w masce dobra i przebrańcu dobroczyńcy ludzkości; Orwell — z podniesioną przyłbicą, otwarcie cynicznego, twierdzącego, że zło jest nie do pokonania, bo zło jest siłą. W „Trzech rozmowach” diabeł fałszuje — pod-

szywa się pod dobro, w „1984” usprawiedliwia zło i żąda, aby człowiek pokochał go jako jego wcielenie.

Badając historię naszego wieku Alain Besançon używa pojęć dobra i zła. Zaczyna od definicji zła. Grecki filozof z III wieku, Plotyn, sporządził klasyczną definicję zła, którą przyjął Kościół: zło — to niedostatek dobra. Władimir Sołowiow zaczyna „Trzy rozmowy” od pytania: „Czy zło jest tylko naturalnym niedostatkiem, niedoskonałością, która zanika wraz ze wzrostem dobra, czy też prawdziwą siłą, która włada światem, wystawiając go na pokusy?”. Rosyjski filozof odpowiada: zło jest prawdziwą siłą, kuszącą człowieka i wykorzystującą jako instrument dobro. Alain Besançon przyjmuje ten pogląd za punkt wyjścia swych rozważań o falsyfikacji dobra.

Francuski historyk podjął temat niezwykle aktualny: jak działają „instrumenty deprawacji”, jakie maski przyobleka zło, aby się wedrzeć w duszę człowieka? W „Trzech rozmowach” Alain Besançon dostrzega ostrą i głęboką krytykę filozoficznych poglądów Tołstoja i Dostojewskiego, które nie miało się przyczyniły do narodzin w XIX wieku ideologii, fałszerczego substytutu religii.

Tołstojowska idea niesprzeciwiania się złu była szalenie modna w końcu ubiegłego wieku, kiedy Sołowiow pisał „Trzy rozmowy”. Jednak Sołowiow nie zadowolił się krytyką zewnętrznych, ewidentnie słabych punktów tołstojostwa, lecz zaatakował istotę „niesprzeciwiania się złu”, „moralny optymizm”, wiarę w „postęp”, obiecujący coraz więcej dobra i zwalczanie w ten sposób zła. Alain Besançon zwraca uwagę, że nie przypadkiem Lenin, szukający sojuszników w dziele rozbijania społeczeństwa, radośnie okrzyknął Tołstoja „zwierciadłem rewolucji rosyjskiej”.

Nie mniej ostro wystąpił Sołowiow przeciw temu, co Besançon nazywa „nad-chrześcijaństwem” Dostojewskiego. W słynnym dylemacie Dostojewskiego — jeśli mi matematycznie dowiodą, że prawda nie leży w Chrystusie, wybiorę Chrystusa, nie prawdę — Sołowiow upatrywał szczelinę, przez którą przenika zło. Alain Besançon uważa poglądy Dostojewskiego za zgodę na falsyfikację dobra. Orwell, który dobrze znał „dylemat Dostojewskiego”, przeciwstawia mu złamanego torturami Winstona Smitha, który notuje: „Wolność to niewola” i „dwa plus dwa równa się pięć”.

Francuski historyk szczególną uwagę zwraca na centralny epizod „Trzech rozmów” — „Krótkie opowiadanie o Antychryście”. Alain Besançon uważa sołowiowskiego „dobroczyńcę ludzkości” za odpowiedź rosyjskiego filozofa na poglądy Tołstoja i Dostojewskiego, prorocze doprowadzenie ich idei do logicznego, „matematycznie ścisłego” końca — do uznania Samozwańca za Mesjasza.

„Pierwsza rozmowa” dotyczy książki Sołowiowa, narodzin ideologii w Rosji, dróg, jakimi zło przeniknęło w dusze Rosjan. Sołowiow w 1900 roku przepowiedział, że Antychryst-Dobroczyńca po dojściu do władzy oznajmi: „Pokój wam, narody świata!”, „Każdemu według jego możliwości — a każdej możliwości według pracy i zasługi”; „ustanawiajcie równość powszechnej sy-

tości”. Minęło siedemnaście lat i 25 października na II Zjeździe sowietów Lenin dosłownie powtórzył słowa „zainteresowanego”.

Jest wielką zasługą Besançona, że badając myśl rosyjską, kusieli i skuszonych, dostrzega — jeden z niewielu — uniwersalny charakter pokusy. W „Drugiej rozmowie” zajmuje się złem w myśli zachodniej, odkrywa nowe drogi, jakimi ono przenika w duszę człowieka. To, co genialnie przewidział i przeczuł Władimir Sołowiow, Eric Blaire, piszący pod pseudonimem George Orwell, spotkał twarzą w twarz. Autor „1984” pisał swe dzieło w latach wielkości Antychrysta, kiedy zdawało się, że siły zła odniosły ostateczne zwycięstwo. W tych latach wyrazem „moralnego optymizmu” było usprawiedliwianie zła.

„Rozmowa” poświęcona Orwellowi jest niewątpliwie najlepszym studium autora „1984”. Wynika to w niemałym stopniu z faktu, że rozmyślenia o Orwellu poprzedza „rozmowa” o Sołowiowie. Książka Besançona staje się w ten sposób historią zła w XX wieku. Między przeczuciami Sołowiowa a koszmarem Orwella upłynęło pół wieku: Dobroczyńca przerodził się w Starszego Brata. W „Krótkim opowiadaniu o Antychryście” ludzkość pokochała Dobroczyńcę, skuszona obietnicą dobra i nie dostrzegającą w swym zaślepieniu, że chodzi o fałszywy substytut. W „1984” ostatniego człowieka, Winstona Smitha, zmuszają bestialskimi torturami, by pokochał Starszego Brata. Wydawałoby się, że wynik jest ten sam. Alain Besançon podkreśla jednak niezwykle ważny element, zmianę znaczenia słowa „kochać”: „Miłość, wolne uczucie zwrócone ku istniejącemu przedmiotowi, została zamieniona na system imitujących miłość odruchów”.

U schyłku XX wieku francuski historyk, który zestawiał ze sobą rosyjskiego filozofa i angielskiego pisarza, „bo niezwykle żywo uświadamiali sobie istnienie zła, zła w historii, jego nieuchronności”, bada postępy zła od początku wieku do naszych dni. Sukcesy jego widzi w degeneracji i rozpadzie ludzkich uczuć i pojęć.

Alain Besançon nie uważa sukcesów zła za dowód jego nieuchronnego zwycięstwa. Jego książka dowodzi, że można stawiać opór. Historia narastania zła w XX wieku dostarcza pouczającej lekcji. Alain Besançon zauważa, że „nagiej prawdzie zawężonej zarczu się 'jednostronność', 'powierzchnowość'”. Naga prawda, którą francuski historyk odkrył u Sołowiowa i Orwella, polega na odwróceniu się od „utopii” i powrocie do rzeczywistości, do normalnego życia z jego rzeczywistymi satysfakcjami, przyjaźnią, pracą, zabawą.

Autor „Falsyfikacji dobra” wspomina wiersz Zbigniewa Herberta „Potwór Pana Cogito”. Pan Cogito wie, że w dolinie mieszka smok. Trudno go opisać, wymyka się definicjom. Uciska kraj, który zasnuł gęstą mgłą. Kładzie się kamieniem na dusze i pokrywa pleśnią chleb. Dowodem wystarczającym — choć nie wprost — istnienia potwora są jego ofiary. Rozsądni ludzie mówią, że można współżyć z potworem — należy tylko unikać gwałtownych ruchów, gwałtownej mowy, w przypadku zagrożenia

przyjąć formę kamienia albo liścia, nie oddychać... Pan Cogito wychodzi na poszukiwanie potwora, chce stanąć do walki, ale widzi tylko ogromny pysk pustki.

Alain Besançon zwraca uwagę, jak niewielu pisarzy stanęło do boju z potworem; jeszcze mniej liczni okazali się godnymi go przeciwnikami. Nie widzi wśród nich ani jednego Francuza, wymienia natomiast Rosjanina: „szczęśliwszy od Pana Cogito Sołżenicyn jak święty Jerzy stanął do walki z potworem i nazwał go — kłamstwem”.

Francuscy recenzenci docenili liczne zalety „Falsyfikacji dobra”: wspaniały język, lekkość, z jaką autor uprzystępnia czytelnikowi swą rozległą wiedzę historyczną, filozoficzną i teologiczną, krótko mówiąc ów słynny „francuski styl”, którym dziś tylko nieliczni władają. Dodałbym do tego, że opowieść jest porównawczą. Książkę Besançona należałoby nazwać powieścią przygodową, w której opisane zostały przygody myśli i przeszkody, które musi pokonać na drodze do celu.

Alain Besançon tym się przede wszystkim różni od innych historyków, że potrafi dostrzec w przeszłości terażniejszość, a w terażniejszości korzenie przeszłości. „Falsyfikacja dobra. Solowiow i Orwell” jest nie tylko interesującą, ale i potrzebną książką. Przydatną dla historyków i tych wszystkich, których interesuje przeszłość, terażniejszość i przyszłość naszego świata.

Michał HELLER

Wojsko od podszewki

(Uwagi i komentarze do ostatniej pracy Z. S. Siemaszki¹)

Ostatnia książka Zbigniewa Siemaszki, inżyniera z zawodu, a poczytnego historyka z powołania, to niezmiernie ciekawy, dobrze dobrany zbiór wesołych i smutnych żołnierskich historyjek i kawałów, które krążyły wśród prostych żołnierzy Wojska Polskiego na Zachodzie w czasie ubiegłej wojny. To bardzo udana, trafna i potrzebna próba pokazania wojska bez upiększeń i retuszu, oraz wszystkich blasków i cieni służby wojskowej. Służby chmurnej i dumnej, ale często też nudnej i durnej. Służby na rozkaz, ale często też wbrew rozkazowi.

Dla Siemaszki wojsko i służba wojskowa nie mają żadnych

1. Z. S. Siemaszko, *Wojsko od podszewki: sylwetki i sytuacje*, Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn 1984, str. 158. Skład Główny: Z. S. Siemaszko, 64 Twyford Ave., London W3 9QB. Cena wraz z przesyłką £ 7.00 lub równowartość w innych walutach.

tajemnic i niespodzianek, gdyż poznał i przejrzał ją na wskroś i ze wszystkich stron, jak przystało byłemu szeregowemu, a następnie podchorążemu wojsk łączności z długim stażem i wysługą lat. Stąd, jego żołnierskie opowiadania i anegdoty, gęsto przeplatane jego własnymi wspomnieniami, wspaniale oddają nastroje i atmosferę, jaka panowała w oddziałach PSZ w różnych okresach ich istnienia. Od chwili ich powstania po klęskę wrześniowej, aż do momentu ich likwidacji w latach 1945-1947.

Książka Siemaszki wiernie pokazuje dole i niedole żołnierskiego życia z dala od kraju, rodzin i domowych pieleszy, oraz odsłania najgłębsze tajniki, jakby to Piłsudski określił, „duszy” prostego, polskiego żołnierza.

Duszy silnej, jasnej i rogatej, która stanowiła podstawę tego tułaczego, w istocie ochotniczego wojska, które wiele przeżyło i nigdy się nie załamało. Wojska, które nie dawało sobie pluć w kaszę byle komu, bez względu na stopień i stanowisko, i nie uznawało tanich, wyświechtanych autorytetów. Wojska, które „wielkie sprawy” nosiło głęboko w sercu i nie lubiło, gdy mu ktoś prawić ekliwe patriotyczne frazesy i komunały.

Wojska o wielkim poczuciu wewnętrznej raczej niż zewnętrznej dyscypliny oraz własnej wartości i godności.

Wojska gotowego wszystko zrobić dla dobrych i lubianych dowódców, którzy potrafili znaleźć z nim wspólny język i przemówić mu do serca i rozumu, ale nie cierpiącego wręcz wszelkiego rodzaju rutyniarzy i tępych, zadufanych w sobie wielkości. Do takich dowódców i oficerów żołnierze odnosili się z ledwie ukrywaną pogardą.

Nie ulega kwestii, że ktokolwiek będzie chciał w przyszłości szczegółowo opisać całą epopeję tego żołnierza-tułacza, który nie z własnej winy utknął na obczyźnie w pół drogi do kraju, będzie musiał często sięgać do małej, ale treściwej książeczki Siemaszki. Z niej bowiem właśnie dowie się najlepiej i najłatwiej, co czuli, co myśleli i jak zachowywali się w najróżniejszych okolicznościach i sytuacjach żołnierze Sikorskiego, Andersa i Maczka, oraz w jakich warunkach pełnili swą trudną i ciężką służbę wojskową. Dowie się, co tych żołnierzy śmieszyło i bawiło, a co doprowadzało do żez i wściekłości.

Dowie się z niej o tym wszystkim szybciej i w bardziej przystępny sposób, niż z wielu innych publikacji na temat PSZ, opartych na suchych dokumentach sztabowych i wspomnieniach wyższych dowódców.

W tego typu pracach prosty, szary żołnierz i jego przyziemne sprawy giną po prostu pośród polityczno-strategicznych analiz i rozważań lub występują w postaci niewiele mówiących uogólnień, uproszczeń oraz danych statystycznych, z których trudno odgadnąć, że kryją się za nimi żywi ludzie. Ludzie z krwi i kości z ich wszystkimi zaletami, słabostkami, potrzebami i śmiesznościami. Ludzie oderwani od kraju i bliskich, żyjący w ciągłym prawie napięciu i niepewności, dla których przez długie lata ich

oddział macierzysty był namiastką domu i rodziny oraz prawdziwą szkołą życia w całym tego słowa znaczeniu.

PSZ było bowiem czymś więcej niż zwykłym wojskiem, bo kto słyszał o wojsku, w którym istniały szkoły średnie wszelkiego rodzaju, w którym obok gazet i periodyków wydawano książki z zakresu literatury pięknej, a nawet uczono malować. Było to wojsko specjalne, a w wielu starych, frontowych oddziałach panowały wręcz raczej familijno-koleżeńskie, niż czysto regulaminowe stosunki.

Jan CIECHANOWSKI

UKRAIŃSKI OŚRODEK WYDAWNICZY I WYSYŁKOWY

Jak wiadomo emigracja ukraińska posiada wiele domów wydawniczych w Europie, w Stanach Zjednoczonych, Kanadzie, w państwach Ameryki Łacińskiej i Australii. W każdym kraju, w którym znajduje się większe skupienie Ukraińców ukazują się jakieś czasopisma — niektóre efemeryczne — pojawiają się jakieś okolicznościowe publikacje itp. Rynek wydawniczy ukraiński jest szeroki, gdyż emigracja ukraińska jest liczna, a w państwach o dużych skupiskach młoda i dynamiczna; przeważają tam przybysze z lat powojennych. Ponadto posiada znaczny procent osób wykształconych. Należą do nich również dzieci dawnych emigrantów, wśród których jest wielu specjalistów, naukowców, lekarzy, adwokatów itp.

Prawie wszystkie wydawnictwa ukraińskie mają charakter społeczny. Opierają się na organizacjach religijnych, politycznych, społecznych, dotychczas indywidualnych itp., co jednak nie znaczy, że są one deficytowe. Większość — jeśli nawet korzysta z pewnych społecznych i organizacyjnych pomocy — jest samowystarczalna. Dotyczy to przede wszystkim wydawnictw naukowych, Towarzystwa Naukowego im. T. Szewczenki, Encyklopedii Ukraińskiej itp. Sporo jest także inicjatyw prywatnych często opartych na subskrypcjach.

Bolączką większości wspomnianych wydawnictw jest kolportaż. Ilość księgarń i innych punktów sprzedaży jest ograniczona, znajdują się tylko w dużych miastach. Wydawnictwa związane z czasopismami — albo na odwrót czasopiśmiennymi publikującymi również książki — docierają łatwiej i szybciej, nie tylko do swoich abonentów.

Pewnego rodzaju centralą wysyłkową dla publikacji ukraińskich we wszystkich językach jest wydawnictwo SMOŁOSKYP (Pochodnia, Zagiew), posiadające statut organizacji niedochodowej. We własnym zakresie publikuje ona m.in. kwartalnik, w którym znajdują się wiadomości dotyczące wszystkich aspektów gwałcenia praw ludzkich na Ukrainie oraz w Europie Wschodniej, sytuacji więźniów politycznych oraz akcji podjętych w ich obronę. SMOŁOSKYP jest wydawcą kilku zasadniczych dzieł politycznych oraz publikacji ukraińskiego „Samizdatu”. Siedzibą wydawnictwa jest Ellicot City w stanie Maryland, USA. Na składzie posiada ono obok publikacji w języku ukraińskim także książki w językach: angielskim, francuskim, niemieckim i rosyjskim. Podziemne publikacje ukraińskie docierają dzięki tym przekładom do wielu czytelników na całym świecie. Osobnym działem wy-

dawnictwa są publikacje dokumentów i materiałów „samizdatu” ukraińskiego, ale szczególną pozycją jest dzieło zakrojone na szeroką skalę: *Martyrologia ukraińskich cerkwi*. Ukazał się niedawno tom 2, pt. „Ukraińska katolicka cerkiew”, a tom 1 pt. „Ukraińska prawosławna cerkiew”, zapowiedziany jest na przyszły rok. W 1987 roku ukaże się tom trzeci pt. „Wyznania protestanckie na Ukrainie” a w 1988 roku tom czwarty — ostatni — pt. „Zniszczone ukraińskie cerkwie i klasztory”, który będzie również zawierał uzupełnienia do poprzednich tomów.

Tę pomnikową publikację rozpoczęto tomem drugim poświęconym katolickiej cerkwi dlatego, że w bieżącym 1985 roku przypada 40-ta rocznica przymusowej likwidacji tego kościoła na etnicznych obszarach ukraińskich, uwięzienia wszystkich biskupów oraz masowych aresztowań księży tego obrządku.

Tom ten ma ukazać się w przyszłym roku w języku angielskim.

B. H.

Nadesłane nowości wydawnicze

- STERLING (Claire). *Anatomia zamachu. Dociekania na temat prawdy niezależnej od prawd oficjalnie uznanych*. Str. 386 i 6 nlb. (Wyd. Edizioni Mundus, Rzym-Mediolan 1985).
- NOWAK (Jan). *Wojna w eterze. Wspomnienia tom I. 1948-1956*. Str. 302 i 2 nlb. (Wyd. Odnowa, Londyn 1985).
- BŁAŻYŃSKI (Zbigniew, opr.). *Mówi Józef Światło. Za kulisami bezpieki i partii*. Str. 319 i 1 nlb. (Wyd. PFK, Londyn 1985).
- CASTORIADIS (Cornelius). *W obliczu wojny. Z francuskiego przeł. Maria Li. Str. 94*. (Wyd. Aneks, Londyn 1985, cena £ 3, \$ US 7).
- WINCZAKIEWICZ (Jan). *Przypowieści bluźniercze*. Str. 63 i 1 nlb. (Wyd. OPiM, Londyn 1985).
- Informator paryski*. Str. 87 i 1 nlb. (Wyd. Kontakt, Paryż 1985).
- DUSZA (Edward). *Pieśniarz z pozogi*. Str. 39 i 3 nlb. (Wyd. Biblioteka „Contry”, vol. XXI, A. R. Poray Book Publ., Nowy Jork 1985).
- RODZIEWICZÓWNA (Maria). *Macierz*. Str. 198 i 2 nlb. (Wyd. A. Poray Book Publ., Nowy Jork 1984).
- ŚWIĘCICKI (Marian, zebrał i opr.). *Trzy epokowe wydarzenia na skalę światową*. Str. 47 i 1 nlb. (Wyd. Libra Publishing, Minneapolis, USA, 1985).
- Złot AK 1984, Londyn* (w: *Biuletyn informacyjny* nr 60 Koła AK, Londyn). Str. 165 i 1 nlb. (Wyd. Zarząd Główny Koła b. Żołnierzy AK, Londyn 1985).
- ŚWIĘCICKI (Marian). *Życie na wulkanie*. Str. 179 i 1 nlb. (Wyd. A. Poray Book Publ., Nowy Jork 1984).
- ŁASZEWSKI (Bolesław T.). *Kraków. Karta z dziejów dwudziestolecia*. Str. 132 i 4 nlb. (Wyd. Bicentennial Publ. Corp., Nowy Jork 1985).
- KELUS (Jan Krzysztof). *Piosenki prawie zebrane*. Str. 118 i 2 nlb. (Wyd. PFK, Londyn 1985).
- NASIELSKI (Adam). *Na Norfolk Island. (Notatnik z podróży)*. Str. 15 i 1 nlb. (Wyd. Lubelskie Zakłady Graficzne, 1984).
- DUNIN (Janusz), KNOROWSKI (Zdzisław). *Polskie powieściowe serie zeszytowe. Materiały bibliograficzne*. Str. 138 i 2 nlb. (Wyd. Uniwersytet Łódzki, Łódź 1984, cena zł 95).

Les contacts religieux franco-polonais du Moyen Age à nos jours. Relations, influences, images d'un pays vu par l'autre. (Colloque international organisé par le CNRS, GRECO N° 2 Histoire religieuse moderne et contemporaine et le Centre Interdisciplinaire d'Etudes des Religions de l'Université de Lille III. Lille 5-7 października 1981. Wyd. Editions du Dialogue przy współpracy CNRS, Paryż 1985). Str. 646 i 2 nlb.

The Other Languages of England. Linguistic Minorities Project. Str. 429 i 1 nlb. (Wyd. Routledge and Kegan Paul, Londyn-Boston-Melbourne i Henley, cena £ 11.95).

CZERSKA (Ludwika). *From the Land of Slavery.* Str. 61 i 3 nlb. (Wyd. A. Poray, Nowy Jork 1984).

MOZEJKO (Edward). *Jordan Yovkov.* Str. 117 i 3 nlb. (Wyd. Slavica Publishers, Columbus Ohio, 1984).

SAUNDERS (David). *The Ukrainian Impact on Russian Culture 1750-1850.* Str. 415 i 7 nlb. (Wyd. Canadian Institute of Ukrainian Studies, University of Alberta, Edmonton 1985).

HAVLICEK (Dusan). *Public Information in the Soviet Political Systems.* KENDE (Peter). *Cenzor-*

ship in Hungary. Str. 54. (Wyd. w serii „Research Project Crises in Soviet-Type Systems”, Index, Kolonia 1985).

GARLIŃSKI (Józef). *Poland in the Second World War.* Str. 387 i 3 nlb. (Wyd. The Macmillan Press, Wielka Brytania).

HALICZ (Emanuel). *Russian Policy towards the Scandinavian Countries in 1856-1864.* (Wyd. Humanistisk Fakultet, University of Copenhagen, 1985).

ZINKIEWICZ (Osip), LONCHYNA (Taras R.) — red. i opr. *Martyrologia ukraińskich Cerkwi. Tom II: Ukraińska katołycka Cerkwa. Dokumenty, materiały, chrystianskyj samwydaw w Ukraini.* Str. 839 i 1 nlb. (Wyd. Smolospyp Publ., Toronto-Baltimore 1985).

MALIA (Martin). *K ponimaniju russkoj rewoluciji.* Str. 288. (Wyd. Overseas Publ., Londyn 1985).

KŁYCZKOW (Siergiej). *Stichotworienija.* Opr. M. Nikë. Str. 176 i 6 nlb. (Wyd. YMCA-Press, Paryż 1985).

KWINITADZE (Georgij I., generał). *Moi wospominanija w gody niezawisimosti Gruzji 1917-1921.* Str. 471 i 5 nlb. (Wyd. YMCA-Press, Paryż 1985).

KRAJ — BLOK WSCHODNI

29-6-85

Zmarł w Warszawie w wieku 57 lat Andrzej Kijowski, wybitny pisarz i krytyk literacki. Twórczość Andrzeja Kijowskiego będzie omówiona w jednym z najbliższych numerów *Kultury*.

1-7-85

Został zwolniony z więzienia Jerzy Kowalczyk, który odsiedział 13 lat. W 1971 roku Jerzy Kowalczyk i jego brat Ryszard wysadzili w powietrze pustą aulę Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Opolu, w której następnego dnia miała się odbyć akademii ku czci MO i SB. Ryszard Kowalczyk został skazany na 25 lat więzienia, a Jerzy Kowalczyk na karę śmierci, którą następnie zmieniono w drodze łaski na 25 lat więzienia. W 1983 roku Rada Państwa PRL w drodze łaski uwolniła z więzienia Ryszarda Kowalczyka. Obecnie zaś na wniosek Sądu Penitencjarnego w Olsztynie został zwolniony Jerzy Kowalczyk. W historii PRL jest on jednym z najdłużej więzionych przestępców politycznych.

10-8-85

Centrum Badania Opinii Społecznej przeprowadziło wśród 1.500 osób ankietę na temat działalności Milicji Obywatelskiej. 36,5 % ankietowanych oceniło pracę milicjantów pozytywnie, 41 % uważa, że sprawność działania MO jest średnia, 16 % sądzi, że aktywność zawodowa i kultura osobista milicjantów pozostawiają wiele do życzenia. Tylko 4 % ankietowanych sądzi, że MO w Polsce nie ma żadnych cech negatywnych, reszta przejawia bardzo daleko idący krytycyzm — 25 % uważa, że nadużywanie władzy przez MO w dużym stopniu zagraża społeczeństwu. Na zapytanie czy milicjanci spotykają się ze zrozumieniem i pomocą ze strony obywateli, tylko 1 % stwierdził — że tak. 19 % ankietowanych uważa, że milicjanci są źle wykształceni. Co dwudziesty ankietowany stwierdzał, że w opinii milicjantów ludzie są równi i równiejsi.

15-8-85

Ankieta OBoP stwierdziła, że język rosyjski zna 50 % Polaków, w tym dobrze — tylko 13 %; język niemiecki — 20 %, w tym dobrze 6 %; język angielski 7 %, w tym dobrze 1 %; język francuski — 3 %, w tym dobrze 0,5 %. ■ *Tygodnik Powszechny* podaje, że według *Socjalistycznej Industarii* na utrzymanie samochodów służbowych oraz płace kierowców wydaje się w ZSSR tyle, ile kosztuje utrzymanie w całym kraju komunikacji miejskiej. Obliczono, że jeśli tylko 10 % kadry kierowniczej zechciałoby prowadzić samochody samodzielnie, to dla potrzeb komunikacji zwolniłoby się 60 tys. kierowców. ■ Ponownie wprowadzono na okres od 15 sierpnia br. do 15 listopada br. tryb przyspieszony w Kolegiach do Spraw Wykroczeń w sprawach takich jak np. nieopuszczenie zbiegowiska publicznego mimo wezwania, zakłócanie porządku publicznego, wytwarzanie i noszenie odznak organizacji zakazanej lub prawnie nieistniejącej, umieszczanie afiszów, napisów i rysunków w miejscach do tego nieprzeznaczonych, usuwanie lub uszkodzenie ogłoszeń państwowych lub organizacji społecznych, rzucanie kamieniami czy innymi przedmiotami w pojazd mechaniczny znajdujący się w ruchu.

18-8-85

Komitet Kultury Niezależnej ustanowił doroczną Nagrodę im. Andrzeja

LIBELLA

12, Rue Saint-Louis-en-l'Île — 75004 Paris

Métro: Pont Marie.

Tél.: 326-51-09.

KSIĄŻKI POLSKIE • KSIĄŻKI FRANCUSKIE DOTYCZĄCE POLSKI I EUROPY WSCHODNIEJ • PRZEKŁADY Z JĘZYKA POLSKIEGO NA FRANCUSKI

Katalogi bezpłatne wysyłamy na każde żądanie

Kijowskiego, przyznawaną w rocznicę Jego śmierci, 29 czerwca, za najwybitniejszy tekst publicystyczny. ■ NOWA wydała broszurkę z propozycją repertuarową kaset video. Obejmuje ona 48 tytułów, m.in. „Człowieka z marmuru” i „Człowieka z żelaza” Wajdy, „Gorączkę” i „Kobietę samotną” Hollanda, „Matkę królów” Zaorskiego, „Przesłuchanie” Bugajskiego, „Wierną rzekę” Chmielewskiego; zagraniczne filmy o „Solidarności” — „Strajk” i „Kwadratura koła”; głośne — nieznanne u nas tytuły — „Doktor Żiwago”, „Łowca jeleni”, „Wyznanie”, „Wojenne łowy”; filmy według Orwella parodokument o Sacharowie, sensacyjne filmy o Rosji, aż po serię z Jamesem Bondem. ■ „Na głos” to mówiony miesięcznik literacki: autorzy sami odczytują swoje wiersze, prozę, eseje, recenzje, felietony. Działają w krakowskim Klubie Inteligencji Katolickiej, powołali go do życia i prowadzą: historycy literatury — Włodzimierz Maciąg i Wiesław Szymański, krytyk i prozaik Jerzy Pilch oraz poeta i eseista Bronisław Maj — jako naczelny redaktor. Pierwszy numer zaprezentowano w grudniu 1983, dotychczas było ich 11, ostatni — w kwietniu 1985. Są w „Na głos” wszystkie działy, jakie powinny znajdować się w przyzwoitym miesięczniku literackim; najlepiej będzie przedstawić autorów występujących w piśmie. Swoje wiersze czytali m.in. Wiesława Szymborska, Julia Hartwig, Ryszard Krynicki, Julian Kornhauser, Artur Międzyrzecki, Jan Polkowski, Bronisław Maj; prozę: m.in. Jan Józef Szczepański, Kornel Filipowicz; eseje o literaturze: m.in. Jan Błoński, Jerzy Kwiatkowski, Tomasz Burek, Włodzimierz Maciąg, Jan Prokop, Roman Zimand. Prezentowano przekłady poezji (m.in. Seiferta, Borgesa) prozy, publicystyki (Bukowski), wywiady (z Herlingiem-Grudzińskim, Kunderą). W każdym numerze występuje zazwyczaj 10-13 autorów, prezentacja jednego numeru trwa nieraz ponad trzy godziny.

21-8-85

Poligrafia w PRL jest w katastrofalnym stanie. Przykładem może być drukowanie ponad 3 mln podręczników szkolnych za granicą.

1-9-85

Z Instytutu Badań Literackich PAN usunięto z pracy z powodów wyłącznie politycznych Marka Jarosława Rymkiewicza i Jana Walca.

ZACHÓD — EMIGRACJA

1-7-85

We Włoszech przebywa obecnie około 1.370 Polaków, którzy starają się o azyl lub stały pobyt we Włoszech. Dziennie zgłasza się na włoską policję około 40 osób. Rekrutują się głównie z pielgrzymek z Kraju, organizowanych przez władze kościelne lub z wycieczek orbisowskich. Władze włoskie nie udzielają azylu, ale nikogo jeszcze nie deportowano do Polski. Ostatnio rozpatrywano prośby o azyl 116 petentów, z czego azylu udzielono czterem osobom, odmówiono 32 osobom, a reszta zrezygnowała ze starań. W pierwszej połowie br. przy pomocy organizacji PAIRC wyemigrowało: do Stanów Zjednoczonych 104 osoby, do Kanady — 58, do Australii — 6, do Niemiec — 3, a powróciło do PRL — 5. Obecnie załatwia się sprawę emigracji dla dalszych 204 osób.

28-7-85

Na cmentarzu w Haakvik, na wybrzeżu Ankenes (Dania), gdzie są pochowani żołnierze Brygady Strzelców Podhalańskich, złożono wieńce. Ponadto tego samego dnia we fjordzie Rombak, gdzie zatonął kontrtorpedowiec ORP Grom i gdzie zginęło 62 marynarzy, rzucono wieńce z szarfami ze stosownym napisem od Stowarzyszenia Marynarki Wojennej.

1-8-85

Zbigniew Błażyński z powodów zdrowotnych ustąpił ze stanowiska dyrektora Polskiej Fundacji Kulturalnej. Na jego miejsce, jako pełniący obowiązki dyrektora, przyszedł Stefan Soboniewski, przewodniczący Rady Federacji S.P.K. Przewodniczącym trustu trzech spółek, które tworzą Polską Fundację Kulturalną (Polish Daily Ltd., Drukarnia w Hove i Dom Wydawniczy) jest Edward Raczyński, powiernikami: T. Zawadzki, St. Soboniewski, E. Szczepanik i L. Łubiński. Redaktorem naczelnym pism jest Mikołaj Szumski, z tym że J. Biliński jest redaktorem *Tygodnia*, a E. Chudzyński — *Dziennika Polskiego*.

15-8-85

W Melbourne (Australia) ukazało się nowe pismo polskie pt. *Suverenność — Religia — Polityka — Społeczeństwo*. Wydawcą jest środowisko najnowszej, solidarnościowej emigracji polskiej. Prawdopodobnie *Suverenność* ukazywać się będzie jako miesięcznik.

21-8-85

Z okazji 5-tej rocznicy powstania „Solidarności” zorganizowano w Norwegii — w Stawanger, Oslo, Bergen i Trondheim — uliczną wystawę obrazującą działalność „Solidarności” w latach 1980-1985. W Stawanger urządzono liczną wystawę, pokazy polskich filmów, przedstawienia teatralne oraz koncert polskiej muzyki. Na koncercie przemawiał Jakob Aano, przewodniczący Komitetu zagranicznego parlamentu norweskiego. Organizatorem tych wszystkich imprez była organizacja „Solidaritet Norge - Polen”.

1-9-85

Zmarł w Monachium w wieku 61 lat Wojciech Gniatczyński, poeta, krytyk malarski i muzyczny, dziennikarz. Od 1954 roku pracował w rozgłośni polskiej RWE w dziale kulturalnym. ■ Od października 1984 roku ukazało się siedem numerów *Tygodnika Nowojorskiego* — nowego pisma polskiego w Stanach Zjednoczonych. Zapewne chwilowo pismo wychodzi jako miesięcznik. Redaguje go Julita Michalska. *Tygodnik* można powitać jako w sumie udaną imprezę. Zwracają uwagę artykuły Zdzisława Baua, Zbigniewa Byrskiego, Renaty Gorczyńskiej, Tomasza Mianowicza, Anny Frajlich-Zajac, Jolanty Strzeleckiej, Romana Karsta, Kazimierza Zamorskiego i Roberta Kostrzewy. Pismo jest żywe o szerokim wachlarzu zainteresowań — każdy numer zamyka krótki suplement w języku angielskim.

6-9-85

Zmarł w Londynie w wieku 77 lat komandor Bohdan Wroński, wieloletni dyrektor Instytutu Polskiego i Muzeum Generała Sikorskiego.

14-9-85

W Londynie miała miejsce inauguracja Kongresu Kultury Polskiej na Obczyźnie. Kongres będzie trwał do 20 września br. Omówimy go w jednym z najbliższych numerów *Kultury*. ■ Zmarł w Berlinie na skutek ciężkiej choroby Witold Wirpsza, wybitny poeta, pisarz i krytyk literacki. W jednym z najbliższych numerów *Kultura* poświęci mu specjalny esej.

15-9-85

W lokalu OPON w Sztokholmie odbył się pokaz filmu *video* o *Kulturze* w reżyserii Agnieszki Holland.

20-9-85

W sali Akademii Szwedzkiej w Sztokholmie odbył się odczyt Jana Nowaka z okazji wydania jego nowej książki pt. „Wojna w eterze (1948-1956)”.

KRONIKA AMERYKAŃSKA

Tak zwana poprawka demokracji z Massachusetts, Edwarda Bolanda, uchwalona przez Kongres USA w roku 1982 zakazywała Stanom Zjednoczonym wszelkiej pomocy dla powstańców w Nikaragui. Poprawka ta przestała obowiązywać 8 sierpnia 1985 roku. Od tego momentu prawo amerykańskie nie zabrania udzielania pomocy powstańcom, walczącym z rządem sandynistów. Ponieważ z drugiej strony Kongres nie uchwalił żadnych kredytów na pomoc partyzantom, poza nieznacznymi sumami na niezbyt jasno sprecyzowane cele humanitarne, wytworzyła się legalna próżnia, w którą władza wykonawcza może wkroczyć, o ile będzie dysponować środkami materialnymi. Kongres ich nie dostarczył i chyba nie będzie się kwapiał z ich uchwaleniem, tym bardziej, że jest na wakacjach. Biały Dom wznowił więc pomoc dla powstańców w Nikaragui, korzystając z prywatnych subwencji. Działa głównie poprzez Narodową Radę Bezpieczeństwa, którą kieruje Robert McFarlane. Bezpośrednio odpowiedzialnym wobec niego za działalność w Nikaragui jest jego zastępca od spraw polityczno-wojskowych płk North. Na tle tej dość osobliwej sytuacji, w stosunku do Nikaragui powstały między agencjami rządowymi biurokratyczne antagonizmy. Zastrzeżenia przeciwko wznowieniu pomocy dla antysandynistów wysunął dyrektor CIA William Casey. Poparł go b. krótkotrwający dyrektor CIA w okresie prezydentury Cartera, emerytowany admirał Turner. Odmienne natomiast stanowisko zajął Zbigniew Brzezinski, który oświadczył, że Narodowa Rada Bezpieczeństwa jako organ władzy prezydenta Stanów działa w oparciu o przepisy prawne. Od strony legalnej wydaje się, że sprawa przedstawia się bez zarzutu, chociaż rzecz wygląda nieco paradoksalnie w związku z udziałem w niej „prywatnej inicjatywy”. ■ Chcąc przekonać się z kim zawierają znajomości pracownicy ambasady amerykańskiej w Moskwie, KGB dyskretnie rozpyliło wśród nich prosek pod nazwą NPDD (Nitropherydential). Prosek ten jest szkodliwy dla zdrowia, ale ochrona zdrowia pracowników obcych ambasad ani nawet własnych obywateli nie należy do obowiązków KGB. Jego troską jest ochrona bezpieczeństwa państwa. Właściwości NPDD są takie, że zapyłony nim osobnik zapyla z kolei tego, z którym ma kontakt. Prosek spełnia rolę motylka, a pracownicy ambasady USA w Moskwie i stykający się z nimi obywatele sowieccy — zapyłonych kwiatków. Dzięki tej nowej metodzie zapyłania KGB może dojść, z kim stykają się urzędnicy amerykańskiej ambasady, następnie z kim stykają się ci, z którymi oni się stykają itd. Ponieważ zbliża się spotkanie na szczycie prezydenta Reagana z sekretarzem Gorbaczowem, ten ostatni zaprzeczył stanowczo oskarżeniom. ■ Wśród większości członków Partii Republikańskiej w Stanach jak również w sferach konserwatywnych rośnie niezadowolenie z polityki Sekretarza Stanu George'a Shulza, którego wpływ na prezydenta Reagana wydaje się niezmiernie szkodliwy. Wpływową organizacją konserwatywną „Peace through Strength” („Pokój poprzez siłę”), dotychczas gorliwie wspierająca Reagana, domaga się ustąpienia Shulza. Jak dotąd żadna obietnica prezydenta dotycząca natychmiastowego ukarania terrorystów w wypadku zabójstwa Amerykanów nie została spełniona. Jest to wpływ — jak twierdzi „Peace through Strength” — Departamentu Stanu, który każdą ostrzejszą decyzję prezydenta usuwa zdyplomatyzować i rozcieńczyć próbami zakulisowych rozmów z samymi terrorystami względnie z organizacjami lub rządami wspierającymi terrorystów. Czy w istocie, jak twierdzi „Peace through Strength”, główny ciężar odpowiedzialności spada na Departament Stanu i Sekretarza Stanu Shulza — trudno orzec. Wielu zwolenników Ronalda Reagana, których entuzjazm z

początkiem jego drugiej kadencji znacznie przygasł, uważa, że Departament Stanu działa w drugiej harmonii z prezydentem. Dowodem tego ma być odsunięcie Jeane Kirkpatrick od wszelkiego wpływu na politykę bezpieczeństwa Stanów. Ewolucję polityczną prezydenta przypisuje się między innymi rosnącemu wpływowi jego żony Nancy. ■ W związku ze zbliżającym się spotkaniem sekretarza Gorbaczowa z prezydentem Reaganem w Genewie, po którym naprawdę nikt niczego się nie spodziewa, wyjechała (również nie wiadomo po co) do Moskwy delegacja senacka USA z udziałem senatora Byrda — demokracji z Wirginii i senatora Warnera — republikanina z tego samego stanu. Obydwaj panowie będąc już w Moskwie ukazali się w nowojorskiej telewizji 1 września. Senator Warner wyrażał się o przyszłym spotkaniu na szczycie wstrzemięźliwie i sceptycznie. Senator Byrd odwrótnie: — „Wszyscy chcą pokoju” — oświadczył, tak jakby ktokolwiek w to wątpił. — „Pokoju chce i nasz prezydent i p. Gorbaczow. Naród sowiecki i naród amerykański i cały świat” i w ogóle wszystko jest nieporozumieniem, ale gdy się porządnie porozumiemy, to okaże się, że nic nas nie dzieli, co nie mogłoby być między nami uzgodnione. Mowa senatora Byrda, wybitnego działacza demokratycznego, przypominała pogadankę dla maluchów w przedszkolu baptystycznym. To że nadał ją w telewizji skądinąd rozsądny komentator David Brinkley dowodzi, że w Stanach pomiędzy maluchami a dorosłymi nie ma wielkiej różnicy w rozeznaniu spraw tego świata. ■ Biały Dom wydał komunikat, że we wrześniu (bez wskazania dokładnej daty) nastąpi pierwsza próba zniszczenia satelity komunikacyjnego. Pocisk przeciwko satelicie komunikacyjnemu wystrzelony zostanie z samolotu F-15. Zniszczenie satelity nastąpi w kilku fazach i poprzedzone będzie dokładnym ustaleniem przy pomocy namiaru radarowego, gdzie się mieści najczulsza część satelity — jego „oko”. Sam satelita komunikacyjny jest niewielkim obiektem o rozmiarze ok. 35 cm. Wystrzelony pocisk nie spowoduje żadnej eksplozji i zniszczy „oko” satelity samym mechanicznym uderzeniem. Jedynie urządzenie do niszczenia satelitów komunikacyjnych mają dotąd Sowiety. Obecnie będą je posiadać Stany Zjednoczone. Z tego powodu test amerykański potraktowany został przez sowieckie agencje informacyjne jako prowokacja i próba stoperdowania spotkania na szczycie. ■ 11 lipca Kongres uchwalił 12 i pół miliarda dolarów kredytów na pomoc dla powstańców, zwalczających marksistowskie reżymy. Wprawdzie reżymy o których mowa są nie tyle marksistowskie, ile sowieckie albo sowiecko-podobne, ale nie chodzi tu o użycie tej czy innej terminologii. Przyznanie kredytów wpłynie na zaktywizowanie działalności anty-wietnamskiej w Kambodży, Afganistanie i Angoli. Kwestia użycia kredytów dla wzmocnienia ruchu partyzanckiego w Nikaragui pozostawiona została — prawdopodobnie celowo — niejasna, ponieważ jak pisałem powyżej, w tej sprawie trwa silna opozycja w Kongresie. Poza Afganistanem uchwalone kredyty będą miały szczególne znaczenie dla organizacji UNITY w Angoli, którą od szeregu lat z dużym powodzeniem kieruje Jonas Savimbi, jednoczący potężny front antykomunistyczny w Angoli. Według informacji pochodzących z wielu źródeł, rząd prosowiecki, zainstalowany krótko po upadku dyktatury w Portugalii przez sympatyzujące z komunistami krótkotrwałe władze w Lizbonie, znajduje się w Angoli w coraz trudniejszym położeniu. Poza stolicą, Luandą, kontroluje tylko kilka większych miast. Uchwalona przez Kongres Amerykański pomoc dla UNITY może przynieść rychły upadek narzuconego Angoli reżymu. Zachwieje to bardzo ważnym filarem wpływów sowieckich na świecie. Niezależnie jednak od tego, czy wydarzenie to nastąpi, warto odnotować stopniowe otrzeźwienie członków Kongresu. Przedstawiciele obydwu izb są przypuszczalnie receptorami zmieniającej się opinii publicznej, dla której ekspansjonizm sowiecki przestaje być mitem, a staje się realną groźbą. ■ Od blisko dwóch lat na rynku amerykańskim

staje się coraz popularniejszy słownik polsko-angielski i angielsko-polski, którego autorem jest Iwo Cyprian Pogonowski. Słownik Pogonowskiego, nieoceniony zwłaszcza dla Polaków w pierwszych latach pobytu w Ameryce, jest również niezmiernie przydatny dla Amerykanów mających do czynienia z tekstami polskimi. Słownik Pogonowskiego zawiera bardzo dokładną fonetykę w części polsko-angielskiej dla posługujących się słownikiem Amerykanów i w części angielsko-polskiej — dla Polaków. Jest bardzo precyzyjny i znacznie góruje nad słownikiem polsko-angielskim wydanym w 1965 roku przez Fundację Kościuszkowską. ■ Mike Wallace ze stacji telewizyjnej CBS zajął się osobą B. Szewczenki, b. urzędnika ONZ z „klucza” sowieckiego oraz b. wysokiego funkcjonariusza KGB. Prawdopodobnie p. Szewczenko nie był i nie jest osobą świetlaną. Daleko mu do tego, ale niedwuznaczną intencją Mike Wallace'a było ukazanie Szewczenki jako kanalii nie dlatego, że pracował dla KGB, ale dlatego, że przestał. Zona Szewczenki — której mąż nie zdążył poinformować o motywach swej ucieczki — została natychmiast załodowana na samolot przed urzędników KGB w Nowym Jorku i wysłana do Moskwy, gdzie (według Wallace'a) popełniła samobójstwo. Na ekranie ukazuje się niezwykle miła twarz zmarłej. Postać jej musi budzić współczucie. Odpowiedzialność za jej śmierć kojarzyć się będzie widzowi amerykańskiemu nie z systemem sowieckim i tajną służbą, która barbarzyńsko karze odstępców i ich rodziny, ale z osobą Szewczenki, przez którego właśnie to wszystko się stało. Oczywiście potwierdza to z Moskwy syn Szewczenki, obciążając ojca-zdrajcę winą za śmierć matki. Tak jakby Szewczenko junior mógł coś innego powiedzieć z Moskwy i jakby CBS o tym nie wiedziało. Potem na ekranie ukazuje się twarz bardzo przystojnej blondynki — Amerykanki, z którą Szewczenko-wdowiec bardzo szybko się ożenił. Wszystkie te szczegóły biograficzne wywołują w umyśle amerykańskiego telewidza obraz podłego gatunku ludzi, którzy zrywają z matką Rosją i jej organem KGB. Mike Wallace, nieustannie pokazujący się amerykańskiej publiczności, która ma wyjątkowo złą pamięć, skompromitował się kilka lat temu wywiadem przeprowadzonym z Żydem, obywatelem syryjskim. Mike Wallace twierdził, że zupełnie przypadkowo spotkał swego rozmówcę w synagodze w Damaszku. Żyd z damasceńskiej synagogi okazał się niezmiernie patriotycznym Syryjczykiem. Zapewniał, że w wypadku wojny z Izraelem będzie walczył za Syrię i za prezydenta Assada do ostatniej kropli swej żydowsko-syryjskiej krwi. W wyniku listów i zapytań, które nastąpiły po tym telewizyjnym wywiadzie, Mike Wallace zapewnił jeszcze raz, że spotkany Żydo-Syryjczyk był osobą zupełnie przypadkową, którego mu nikt nie podesłał. Przyznał się tylko, że nie wspominał o jednym drobnym szczególe, mianowicie, że przez cały czas rozmowy niewidocznym dla telewidzów świadkiem tej rozmowy był funkcjonariusz syryjskiego ministerstwa informacji.

Zbigniew BYRSKI

KRONIKA FRANCUSKA

W dniach 26-31 sierpnia br. d był w się w Aix-en-Provence Światowy Kongres Socjologii Prawa, w którym wzięło udział około 200 osób ze wszystkich kontynentów. Z Polski przyjechali: prof. M. Borucka-Aretowa (U.J.), prof. J. Kurczewski (U.W.), dr G. Skąpska (PAN) i prof. J. Wróblewski (U.Ł.). Wybitnemu socjologowi prawa, prof. J. Kwaśniewskiemu (U.W.), władze PRL odmówiły wydania paszportu. W dniu 26 sierpnia br., na sesji poświęconej systemom społecznym i prawnym, na której miał wygłosić ważny referat właśnie prof. Kwaśniewski, 80 uczestników protestowało przeciwko decyzji władz PRL. Prof. Kwaśniewski jest autorem opracowania „Społeczeństwo i dewiacje”, które ukazało się na Zachodzie w języku angiel-

skim. ■ 31 sierpnia br. miały miejsce w Paryżu liczne uroczystości i manifestacje w związku z 5-tą rocznicą podpisania Porozumień Sierpniowych. M.in. na placu Trocadero, Chatelet, przed Centre Georges Pompidou oraz na bulwarze Saint-Germain przechodnie mogli zobaczyć jak się drukuje ulotki przy użyciu metod, które stosuje się w pracy konspiracyjnej w Polsce. W tym samym czasie z paryskich dachów posypały się setki solidarnościowych ulotek. Ponadto wyświetlono słynny film „Robotnicy 80”. Komitet Koordynacyjny NSZZ „Solidarność” zorganizował konferencję prasową z udziałem przedstawicieli najważniejszych francuskich związków zawodowych oraz przygotował na użytek prasowy specjalny dokument, który m.in. przypomina pięcioletnią historię „Solidarności” i zawiera wypowiedzi Leszka Kołakowskiego, Jerzego Milewskiego i Aleksandra Smolara na temat aktualnej sytuacji polskiego związku i jego międzynarodowego znaczenia. FO, CFDT, CFTC, FEN i CGC — francuskie centrale związkowe — ogłosiły wspólną deklarację pt. „Polska — próba sił trwa”. Francuscy związkowcy wyrażają zdecydowane poparcie dla „Solidarności” i surowo potępiają represyjne działania władz PRL. Te same centrale związkowe wystosowały kilka dni wcześniej list do premiera Francji — Laurent Fabiusa — apelując o podjęcie starań mających na celu uwolnienie wszystkich działaczy „Solidarności”, więzionych w Polsce. Autorzy listu domagają się także żeby rząd francuski na drodze dyplomatycznej domagał się przestrzegania przez PRL umów helsińskich i konwencji Międzynarodowej Organizacji Pracy. W niedzielę, 1 września br., w kościele polskim w Paryżu celebrowano uroczystą mszę św. poświęconą gdańskiej rocznicy. Homilię wygłosił ks. Pająk.

W. SIKORA

KRONIKA RZYMSKA „HIOB” KAROLA WOJTYŁY

Po przedstawieniu „Przed sklepem jubilera” przyszła kolei na „Hioba”. Ten młodzieżowy poemat Karola Wojtyły (pisał go w czasie okupacji mając lat 20) wystawiono na początku sierpnia na teatralnym festiwalu ludowym w San Miniato pod Sieną, a następnie w Rimini na festiwalu młodzieżowej, katolickiej organizacji *Comunione e Liberazione*, w reżyserii Aleksandry Kurczab i pod nadzorem artystycznym Krzysztofa Zanussiego. Według jedynomyślnie opinii znawców, krytyków i polonistów, utwór ten pozbawiony jest wartości literackiej.

Sam Jan Paweł II powiedział kiedyś w gronie polskich kapłanów, że gdyby nie wybór na Stolicę Piotrową, nikt by się jego twórczością literacką nie zainteresował. Zdaje sobie więc sprawę z właściwych proporcji jakie należy przykładać do jego młodzieżowych wprawek religijno-literackich. Iniejatorzy wystawienia „Hioba” we Włoszech w opracowaniu teatralnym dodali „efekty filmowe”, jak te wstawki określił Zanussi w jednym z licznych wywiadów. Do „efektów” tych czyli pantomim należą symboliczne odтворzenie zabójstwa przywódcy włoskiej chadecji Aldo Moro, męczeńskiej śmierci ks. Jerzego Popiełuszki i katastrofalnego przerwania tamy w basenie wodnym w Dolomitach, co spowodowało śmierć ponad stu osób. Typowo papierskie pomysły, które wartości literackiej i dramatycznej utworowi papieskiemu nie przydadzą.

„UNIwersYTET LETNI POLONII” CZYLI NIEWYPAŁ

Podobnie jak w roku ubiegłym, także i w tym roku na przełomie lipca i sierpnia odbyła się w Rzymie w Domu Polskim Jana Pawła II sesja „Uniwersytetu Letniego Polonii Świata”. Zorganizowana przez prof. Henri Adamczewskiego i ks. Ksawerego Sokołowskiego (karnie zdymisjonowanego dyrektora Domu Polskiego) i w obecności Jana Kaszuby z Toronto, prezesa „Polonii Wolnego Świata”, zgromadziła zaledwie kilkanaście osób, przeważnie z Kanady i USA. Okazało się powtórnie, że brak tej inicjatywie jasno określonej koncepcji i wszystko sprowadza się do improwizacji oraz przypadkowego doboru tematów i prelegentów. Jednym słowem niewypał. Sytuację uratował w pewnej mierze Stefan Frankiewicz, członek kolegium redakcyjnego *Więzi* i obecnie zastępca redaktora polskiej edycji *L'Osservatore Romano*, który mówił niebanalnie o głównych wątkach pontyfikatu i niedomaganiach jego odbioru przez rodaków Papieża. W tym samym czasie gościła w Domu Polskim grupa młodzieży polonijnej, zbierającej się co roku we Włoszech na kursach letnich pod egidą biskupa Szczepana Wesołego, delegata Prymasa Polski dla duszpasterstwa emigracji. Pomiedzy obydwojma grupami polonijnymi nie było żadnego kontaktu, nie mówiąc o braku wszelkiej koordynacji i pomyślenia, że warto by zaprosić na taki „Uniwersytet Letni” także kilka choćby osób z kraju. W dalszym ciągu więc mamy do czynienia z polską bezmyślnością, radosną twórczością, czyli fingowanym aktywizmem w cieniu Spizowej Bramy.

**POLNISCHE BUCHHANDLUNG
KSIEGARNIA POLSKA**

1070 Wien, Burggasse 22
Tel.: 0222/93 87 222

GODZINY OTWARCIA / ÖFFNUNGSZEITEN:
CODZIENNIE / TÄGLICH 10.00 - 18.00
SOBOTA / SAMSTAG 9.00 - 12.00
SPRZEDAŻ WYSYŁKOWA / BUCHVERSAND
KONTO POCZTOWE PSK 7227.556

**W A W E L
PIERWSZA POLSKA KSIEGARNIA
w Niemczech Zachodnich**

Wszystko na temat Europy Wschodniej:

- Literatura piękna i fachowa,
- Albumy, plakaty, pamiątki,
- Książki antykwaryczne.

Wydawnictwa antykwaryczne krajowe i emigracyjne oraz książki w językach obcych.

Stephanstrasse 11, 5000 Köln, 1.

Tel.: 0221/24-61-60.

Godziny otwarcia od 10.00 do 18.30.

Również sprzedaż wysyłkowa.

Listy do Redakcji

Poznań, 20 sierpnia 1985.

Szanowny Panie Redaktorze!

Poniewczasie uświadomiłem sobie, co mnie dotąd niepokoiło w moim wierszu „Listek, skrawek nieba”. Obawiam się, że z mojej winy mógłby on być rozumiany wbrew temu, co próbowałem w nim powiedzieć — bowiem jego początek może sprawiać wrażenie aluzji czy wręcz polemiki poetyckiej. Tego na pewno nie chciałem. Wiem, że tłumaczenie intencji wiersza byłoby nie na miejscu i niewiele by pomogło — i choć mnie to nie usprawiedliwia — żałuję, że tak się stało.

Z wyrazami szacunku

Ryszard KRYNICKI

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Czytelników nadsyłających nam swoje artykuły i utwory prosimy o pamiętanie, że Redakcja nie zwraca rękopisów nie zamówionych. Wobec nawału pracy odpowiadać będziemy tylko w niniejszej rubryce.

J.P., USA; A.M.R., FRN; J.W., USA; P.K., Australia; B.S., Austria; R.G. w Kraju; J.R., Francja; B.C., Anglia; A.G. w Kraju; T.W., RFN; K.G. w Kraju; M.U., RFN; K.O., USA; M.Ch., RFN; M.B., Hiszpania; T.A., Australia; E.N., Francja; A.M. w Kraju; S.M. w Kraju: — Z wierszy nie skorzystamy.

T.W., USA: — Pana *Wodogrzmoty* napisane są z dużą swadą, ale brak im jakiejś głębszej motywacji pisarskiej. Sam Pan zresztą najlepiej dostrzega i odsłania ten brak w rozdziale *Grubo po północy*.

K.P. w Kraju: — Pana *Rancho obronne*, coś w rodzaju połączenia Mrożka z *Folwarkiem zwierzęcym*, wydaje nam się zanadto jednoznaczne i monotonne w pomysle.

J.P., Dania: — Nie możemy spełnić Pana prośby, gdyż z zasady nie przedrukujemy fragmentów książek już wydanych.

J.O., USA: — Przysłane przez Panią opowiadanie studenta z Kraju nie nadaje się do druku.

L.D., Francja: — Z czterech Pana opowiadań tylko jedno jest chwilami dość zabawne, *Ten trzeci*. Wszystkie jednak są opowiadaniem o niczym.

J.Z., RFN: — Te „dwa dni z pamiętnika Polaka” ujmują swoją szczerością, ale nie wydają nam się zbyt ciekawe.

A.B., Kanada: — Ma Pani rację, Caravaggio żył trzydzieści siedem a nie pięćdziesiąt lat (jak przez omyłkę napisał Herling-Grudziński w swoim dzienniku).



VIDEO-KONTAKT

152, rue Saint Maur
75 011 Paris
France
tel. (1) 581.20.31

FILMY NA VIDEO-KASETACH

KALENDARZ WOJNY

Film jest drobiazgowym opisem rzeczywistości polsko-jaruzelskiej wojny, przedstawia najważniejsze wydarzenia w Polsce od 13 grudnia 1981 roku, aż do pogrzebu ks. Jerzego Popiełuszki w październiku 1984 roku. Dokument zrealizowany jest w oparciu o archiwalne materiały filmowe. Unikalne obrazy widziane okiem kamer, które uszły uwadze strażnikom pogrudniowego porządku. (czas 50 min., cena 50 dol. USA)

KULTURA

Jerzy Giedroyc, Zofia Hertz, Józef Czapski, Gustaw Herling-Grudziński oraz Konstanty Jeleński i Czesław Miłosz – twórcy i współpracownicy Instytutu Literackiego w Paryżu opowiadają o powstaniu, historii i dniu codziennym Instytutu, który jest w polskim życiu politycznym i kulturalnym fenomenem nie mającym sobie równych. (czas 50 min., cena 50 dol. USA)

WZLOT

Teatr Ósmego Dnia jest jednym z najwybitniejszych i najciekawszych teatrów w Polsce, od lat prześladowanym przez milicję i cenzorów peerelowskiego państwa. Film jest zapisem zrealizowanego w okresie stanu wojennego spektaklu „Wzlot” opartego na poezji Osipa Mandelsztama. (czas 50 min., cena 50 dol. USA)

Sprzedaż wysyłkowa kaset w standardzie VHS (PAL-SECAM-NTSC). Na specjalne zamówienie wykonujemy kasyety w systemie U-MATIC (PAL-SECAM-NTSC).

Dokumenty

NIE MOŻE BYĆ POJEDNANIA BEZ PAMIĘCI O PRZESZŁOŚCI

Fragmety mowy prezydenta Republiki Federalnej Niemiec przed Bundestagiem w Bonn 8 maja 1985 roku w 40-tą rocznicę zakończenia drugiej wojny światowej.

Wiele narodów rozpamiętuje dziś ów dzień, w którym dobiegła końca druga wojna światowa. Każdy z nich, zależnie od swego losu, łączy z tym dniem swoje własne uczucia. Zwycięstwo lub klęska, uwolnienie spod bezprawia i obcego panowania albo doznanie nowych zależności, podziałów, nowych sojuszków czy gwałtownych przesunięć sił — 8 maja 1945 jest datą o decydującym historycznym znaczeniu dla Europy. (...)

8 maja jest dla nas przede wszystkim dniem pamięci o ludzkim cierpieniu. Jest on jednocześnie dniem refleksji nad biegiem naszej historii. Im rzetelniej go obchodzimy, tym wolniejsi jesteśmy w podejmowaniu odpowiedzialności za jego następstwa. 8 maja nie jest dla nas, Niemców, dniem święta. Ci, którzy go świadomie przeżyli, łączą z nim bardzo osobiste, a więc bardzo różne doświadczenia. (...)

Trudno było w owych dniach o szybką orientację. Nad krajem ciążyła niepewność. Kapitulacja była bezwarunkowa, los nasz spoczywał w rękach wrogów. Przeszłość była straszna, szczególnie dla wielu spośród naszych nieprzyjaciół. Czy nie będą się chcieli zemścić na nas za to, cośmy im uczynili? Większość Niemców wierzyła, iż cierpią i walczą o dobrą sprawę własnego kraju. I oto się okazało, że wszystko było nie tylko daremne i bez sensu, ale służyło nieludzkim celom zbrodniczego przywództwa (...)

A jednak z dnia na dzień stawało się coraz jaśniejsze to, co dziś z całym naciskiem wszyscy musimy powiedzieć: 8 maja był dniem wyzwolenia. Uwolnił on nas wszystkich od nieludzkiego systemu narodowo-socjalistycznych rządów przemocy.

Nikt z powodu tego wyzwolenia nie zapomina cierpień, które dla wielu rozpoczęły się właśnie po 8 maja. Ale przyczyn ucieczek, wygnania i niewoli nie możemy się doszukiwać w końcu

wojny. Leżą one u jej początku, u źródeł tej dyktatury, która do wojny doprowadziła. Nie wolno nam 8 maja 1945 oddzielać od 30 stycznia 1933 roku.

Nie mamy doprawdy powodu, ażeby brać udział w dzisiejszych uroczystych obchodach zwycięstwa. Ale mamy wszelkie powody po temu, aby uznać 8 maja jako kres błędnej drogi niemieckiej historii, zawierający ziarno nadziei na lepszą przyszłość. (...)

Pogrążeni w żałobie pamiętamy dziś o wszystkich ofiarach wojny i tyranii. W szczególności pamiętamy o 6 milionach Żydów, którzy zostali zamordowani w niemieckich obozach koncentracyjnych. Pamiętamy o wszystkich narodach, które ucierpiały w czasie wojny, przede wszystkim o niezliczonych rzeszach obywateli Związku Sowieckiego i Polski, którzy stracili życie. Jako Niemcy wspominamy w żałobie własnych rodaków, którzy zginęli jako żołnierze, podczas bombardowań, w niewoli i w trakcie przesiedleń. Pamiętamy o zamordowanych Cyganach, o zabitych homoseksualistach i umyślowo chorych, o wszystkich, którzy z powodu religijnych czy politycznych przekonań skazani zostali na śmierć. Pamiętamy o rozstrzelanych zakładnikach. Wspominamy ofiary oporu we wszystkich okupowanych przez nas państwach. Jako Niemcy czcimy też pamięć ofiar niemieckiego oporu obywatelskiego, wojskowego i kościelnego, oporu wśród robotników i związków zawodowych, oporu komunistów. Wspominamy tych, którzy nie brali czynnego udziału w ruchu oporu, ale wybierali raczej śmierć, aniżeli sprzeniewierzenie się własnemu sumieniu.

Pamiętamy nie tylko o niezliczonych ofiarach śmiertelnych, ale także o nieograniczonych cierpieniach porażonych i pokaleczonych, brutalnie przymusowo sterylizowanych, koszmarze nocnych nalotów, ucieczek i przesiedleń, zgwałceń i rabunków, pracy przymusowej, bezprawia i tortur, głodu i nędzy, lęku przed aresztowaniem i śmiercią, utratą wszystkiego w co się zładnie wierzyło. Rozpamiętujemy dzisiaj ogrom tego ludzkiego cierpienia i pochylamy się przed nim w żałobie.

Największy chyba ciężar z tego, cośmy przeżyli spadł na barki kobiet wszystkich narodów. O ich cierpieniach, wyrzeczeniach i cichej mocy dzieje świata zapominają zbyt łatwo. (...) A przecież jeśli w obliczu zniszczeń, spustoszeń, okrucieństw i barbarzyństwa narody nie załamały się wewnętrznie i po wojnie stopniowo odnajdywały siebie — zawdzięczały to przede wszystkim kobietom.

U źródła dyktatury leżała nieprzejednana nienawiść Hitlera do naszych żydowskich współobywateli. Hitler nie tylko nigdy się z tym przed opinią publiczną nie krył, ale naród cały uczynił narzędziem tej nienawiści. (...) Nie ma chyba żadnego państwa, które by nie było w swej historii uwikłane z własnej winy w wojny i przemoc. Ludobójstwo dokonane na Żydach jest jednak w historii bez precedensu.

Dokonywanie zbrodni leżało w rękach niewielu. Ukrywane było przed okiem publicznym. Ale każdy Niemiec mógł dostrzec, co znosili jego żydowscy współobywatele, poczynawszy od chłodnej obojętności poprzez skrytą nietolerancję aż po otwartą nienawiść. Któż mógł po pożarach synagog, grabieżach, stygmatyzacji gwiazdą Dawida, wyzuciu z praw i bezustannym deptaniu godności człowieka pozostać bez winy i skazy? Kto miał oczy i uszy otwarte, kto chciał widzieć, ten nie mógł przeoczyć biegu pociągów deportacyjnych. Wyobraźni ludzkiej mogło zabraknąć dla uprzymtomnienia sobie metod i rozmiaru zagłady. Ale w rzeczywistości samej zbrodni towarzyszyło usiłowanie zbyt wielu nie przyjmowania do świadomości tego, co się dokoła działo. Dotyczyło to również mego pokolenia, choć jako młodzi udziału w planowaniu i realizacji wydarzeń nie braliśmy. Istniało wiele sposobów słumienia sumienia, odsunięcia odpowiedzialności, odwrócenia uwagi i milczenia. Gdy później przy końcu wojny ujawniła się straszna prawda Holocaustu, zbyt wielu spośród nas zasłaniało się twierdzeniem, iż nic nie wiedzieli.

Nie istnieje pojęcie winy albo nieskazitelności w odniesieniu do całego narodu. Wina, podobnie jak nieskazitelność, nie są zbiorowe, lecz indywidualne. Są winy ludzkie ujawnione i pozostające w ukryciu, winy do których ludzie się przyznają albo których się wypierają. Niech każdy, kto świadomie ten okres przeżył zapyta dziś siebie w cichości sumienia, jak dalece sam był uwikłany.

Większość naszej dzisiejszej ludności znajdowała się w tamtych czasach albo w wieku dziecięcym, albo jej w ogóle jeszcze na świecie nie było. Nie może się więc ona przyznawać do nie swoich win za czyny, których nie popełniła. Żaden rzetelny człowiek nie może domagać się przywdziewania włościennicy jedynie dlatego, że się jest Niemcem. Przodkowie pozostawili nam jednak trudny spadek. Wszyscy — winni czy niewinni, starzy czy młodzi — musimy się z naszą przeszłością pogodzić. Wszyscy jesteśmy dotknięci jej skutkami i za nie odpowiadamy. Młodzi i starsi powinni i mogą sobie wzajemnie pomóc w zrozumieniu, dlaczego tak niesłychanie ważne jest zachowanie pamięci o przeszłości. Nie chodzi o to, by uporać się z przeszłością. Jest to niemożliwe. Nie sposób jej przecież ani dowolnie zmieniać ani uznać za niebyłą. Kto zaś zamyka oczy na przeszłość, ten staje się ślepy na teraźniejszość. Kto nie chce pamiętać o okrucieństwach staje się znowu podatnym na niebezpieczeństwo nowej infekcji. (...)

8 maja stanowi głęboką cezurę w historii nie tylko Niemiec, ale też całej Europy. Europejska wojna domowa dobiegała końca, stary europejski świat runął. „Europa wykończyła się” (Michał Stürmer). Spotkanie amerykańskich i sowieckich żołnierzy nad Łabą stało się symbolem prowizorycznego zakończenia europejskiej ery.

Ten rozwój wypadków miał oczywiście swoje dawne historyczne korzenie. Od ponad stu lat Europa była widownią konfronta-

cji wybujałych nacjonalizmów. Po zakończeniu pierwszej wojny światowej doszło do zawarcia traktatów pokojowych, pozbawionych jednak dostatecznej mocy, by ugruntować pokój. Rozbijała niebawem namiętności nacjonalistyczne pogłębione zostały krytyczną sytuacją socjalną.

Na tej drodze wiodącej do katastrofy Hitler stał się siłą napędową. Pobudzał on i wykorzystywał histerię mas. Słaba demokracja nie była zdolna mu się przeciwstawić. Również mocarstwa zachodnie — według oceny Churchilla „bez złej myśli, ale nie bez winy” — przyczyniły się przez swoją słabość do tego zgubnego rozwoju sytuacji. Ameryka, która ponownie po pierwszej wojnie światowej wyczołgała się z Europy, w latach 30-tych nie miała na nią wpływu.

Hitler dążył do panowania nad Europą, i to drogą wojny. Szukał więc do niej sposobności, aż znalazł w Polsce.

23 maja 1939 roku oświadczył przed niemiecką generalicją: „Dalsze sukcesy są nie do osiągnięcia bez rozlewu krwi... Gdańsk nie jest celem, o który chodzi. Dla nas istotne jest rozszerzenie przestrzeni życiowej na Wschodzie i zabezpieczenie sytuacji aprowizacyjnej... Odpada więc problem oszczędzania Polski, pozostaje decyzja zaatakowania jej przy pierwszej nadarzącej się okazji... Trzeba dążyć do zadania nieprzyjacielowi od razu poważnego ciosu lub do jego całkowitego zniszczenia. Prawo czy bezprawie albo traktaty nie odgrywają tu żadnej roli”.

23 sierpnia zawarty został niemiecko-sowiecki pakt o nieagresji. Tajny załącznik do protokołu regulował przewidziany rozbiór Polski.

Pakt ten został zawarty w celu ułatwienia Hitlerowi wkroczenia do Polski. Ówczesne kierownictwo Związku Sowieckiego zdało sobie w pełni z tego sprawę. Dla wszystkich politycznych myślących było oczywiste, że pakt niemiecko-sowiecki oznacza atak Hitlera na Polskę, a tym samym drugą wojnę światową. Nie zmniejsza to niemieckiej winy za jej wybuch. Związek Sowiecki godził się na wojnę innych narodów, aby przy tym skorzystać. Ale inicjatywa wojny wyszła od Niemiec, nie od Związku Sowieckiego. Hitler był tym, który użył przemocy. Wybuch drugiej wojny światowej pozostanie związany z imieniem Niemiec.

W czasie tej wojny reżym narodowo-socjalistyczny znęcał się i gnębił wiele narodów. W końcu pozostał tylko jeden naród do zgnębienia, zniewolenia i zhańbienia: naród niemiecki. Hitler wielokrotnie powtarzał: „Jeśli naród niemiecki nie jest w stanie tej wojny wygrać, to niech zginie. Inne narody padły ofiarą wojny idącej z Niemiec zanim sami staliśmy się ofiarą naszej własnej wojny”.

8 maja rozpoczął się podział Niemiec na zony. Tymczasem Związek Sowiecki wkroczył do wszystkich państw Europy Wschodniej i Południowo-Wschodniej, zajętych w czasie wojny przez Niemców. Z wyjątkiem Grecji wszystkie one stały się państwami socjalistycznymi. Rozpoczął się proces podziału Europy na dwa odmienne politycznie systemy. Ale dopiero powojenny roz-

wój wypadków ten podział umocnił. Nie doszłoby jednak nigdy do niego bez rozpoczętej przez Hitlera wojny. Pamiętają o tym narody, przypominając sobie rozpętaną przez Niemcy wojnę. Patrząc na podział naszego własnego kraju i na straty dużej części niemieckiego obszaru państwowego i my o tym pamiętamy. Kardynał Meissner z Berlina Wschodniego powiedział w swym kazaniu na 8 maja: „Rozpaczliwym rezultatem grzechu jest zaw sze rozłąka”.

Przypadkowość zniszczeń wpływała na dowolność w podziale ciężarów. Niewinni bywali ścigani, winnym udawało się uciec. Jedni mieli szczęście, bo mogli u siebie w bliskim otoczeniu rozpocząć budowę nowego życia, innych wygnano z własnej ojczyzny. My, w późniejszej Republice Federalnej Niemiec, uzyskaliśmy cenną szansę wolności. Wiele milionów naszych rodaków do dziś jest jej pozbawionych. (...)

Nie możemy wspominać 8 maja nie zdając sobie sprawy z tego, ile przewyżczonych trudności kosztowała naszych dawnych nieprzyjaciół gotowość do pojednania. Czy potrafimy rzeczywiście wczuć się w sytuację rodzin ofiar warszawskiego getta czy masakry w Lidice? Ileż oporów musiał przełamać mieszkaniec Rotterdamu czy Londynu aby wspierać odbudowę naszego kraju, z którego pochodziły bomby, które tak niedawno spadały na jego miasto. Ażebymy do tego doszło, musiało powoli narastać przekonanie, że Niemcy nie podejmą ponownie próby skorygowania siłą swej klęski.

U nas samych najczęściej wymagało się od przesiedleńców. Jeszcze długo po 8 maja doznawali gorzkiej niedoli i krzywd. Dla zrozumienia ich ciężkiego losu brakowało nam, tubylcom, często wyobraźni i otwartego serca. Ale już wkrótce wzrosła gotowość niesienia pomocy. Udzielono schronienia wielu milionom uchodźców i przesiedleńców, którzy zakorzenili się tu w ciągu lat i ustabilizowali. Ich dzieci i wnuki odczuwają wprawdzie nadal sentyment i związek z ojczystą kulturą swych przodków, ale sami znaleźli już tu nową ojczyznę. (...)

Przykładnie i wczesnie wyrzekli się przesiedleńcy wszelkiej myśli o użyciu siły. Nie było to wyrzeczenie się przemijające i wynikłe z chwili słabości, tylko wyznanie o charakterze nieprzemijającym. Wyrzeczenie się użycia siły oznacza otwarcie możliwości narastania wzajemnego zaufania, obowiązującego również odradzające się Niemcy. Własna ojczyzna stała się z czasem ojczyzną innych. Na wielu starych cmentarzach na Wschodzie jest dziś więcej polskich aniżeli niemieckich grobów. W ślad za wymuszoną wędrówką milionów Niemców na Zachód postępowywały miliony Polaków a za nimi znów miliony Rosjan. Są to ludzie, których nikt nie pytał, ludzie, którym się działo krzywda, którzy stali się bezbronnym przedmiotem wypadków politycznych, którym żaden rachunek krzywd ani konfrontacja z roszczeniami prawnymi nie są w stanie wyrównać tego, co ich spotkało.

Zrzeczenie się użycia siły oznacza dziś zapewnienie ludziom gdziekolwiek ich los rzucił po 8 maja i gdzie obecnie od dzie-

sięcioleci zamieszkują, stałego politycznie nienaruszalnego bezpieczeństwa na przyszłość. Oznacza podporządkowanie sprzecznych ze sobą prawnych pretensji nakazowi porozumienia. W tym leży zasadniczy humanitarny wkład w europejski ład pokojowy, na który potrafimy się zdobyć. (...)

Niemcy uczuciowo nie mniej są związani ze swoją ojczyzną, niż inne narody europejskie. Któż by mógł ufać narodowi i jego zapewnieniom o umiłowaniu pokoju, który zapomina o swojej ojczyźnie? Wola pokoju uwydatnia się właśnie w tym, że się nie zapomina o ojczyźnie i czyni wszystko, by w spokoju żyć ze sobą. Miłość ojczyzny przesiedleńców nie jest rewanżyzmem.

Ostatnia wojna rozbudziła w sercach ludzkich większą niż kiedykolwiek tęsknotę za pokojem. Z głębokim oddźwiękiem spotkała się praca pojednawcza kościołów. Należy tu wymienić „Aktion Sühnezeichen” („akcja pokuty”), grupującą młodzież [niemiecką] i działającą w Polsce i w Izraelu. Nadreńskie miasto Kleve otrzymało niedawno od polskich gmin chleb jako symbol pojednania i wspólnoty. Jeden z tych bochenków odesłano z Kleve dalej do Anglii. Stamtąd bowiem nadszedł list od nauczyciela, proszący o jakiś znak pojednania, gdyż w czasie wojny jako lotnik bombardował kościoły i domy mieszkalne w Kleve. Wielkim ułatwieniem w osiągnięciu pokoju jest nie czekać na innych, tylko wyjść samemu naprzeciw — tak jak ów nauczyciel.

Konsekwencje wojny zbliżyły dawnych przeciwników. Już w 1946 roku amerykański minister spraw zagranicznych Byrnes nawoływał w swoim pamiętnym stuttgarckim przemówieniu do porozumienia w Europie oraz do udzielenia narodowi niemieckiemu pomocy w jego drodze ku wolnej i pokojowej przyszłości. Niezliczeni obywatele amerykańscy pomagali pokonanym Niemcom w leczeniu powojennych ran. Dzięki dalekowzroczności Francuzów Jean Monneta i Roberta Schumana oraz ich współpracy z Konradem Adenauerem ustała raz na zawsze nienawiść między Francuzami a Niemcami. (...)

Zamiast przymusu ustanowiliśmy u siebie demokratyczne swobody. 8 maja 1949 roku, dokładnie w cztery lata po zakończeniu wojny, zgromadzenie parlamentarne uchwaliło naszą konstytucję. Demokratyczni posłowie, wnosząc się ponad partyjne interesy, odcięli się od wojny i tyranii w pierwszym artykule naszej konstytucji: „Naród niemiecki uznaje nietykalne przyrodzone prawa człowieka jako fundament każdej ludzkiej społeczności, pokoju i sprawiedliwości w świecie”. Również i o tym znaczeniu 8 maja należy dzisiaj pamiętać. (...)

Nie mamy doprawdy powodów do zarozumiałości czy faryzeuszostwa. Ale wolno nam na rozwój tych 40 lat patrzeć z wdzięcznością, zwłaszcza gdy naszą historyczną pamięć wykorzystamy jako linię przewodnią w postępowaniu aktualnym.

— Gdy sobie przypomnimy, że chorzy umysłowo byli w czasie III Rzeszy uśmierceni — będziemy wsparcie psychicznie chorych traktowali jako nasz szczególny obowiązek.

- Gdy sobie przypomnimy, że prześladowani z powodów rasistowskich, religijnych czy politycznych i zagrożeni pewną śmiercią stawali często przed zamkniętymi granicami innych państw nie będziemy przed prawdziwymi ofiarami dzisiejszych prześladowań zamykali drzwi, gdy szukać będą u nas schronienia.
- Gdy sobie przypomnimy prześladowania wolności słowa w okresie dyktatury — będziemy strzec każdej myśli i każdej krytyki.
- Ten, który osądza stosunki na Bliskim Wschodzie, niech pomyśli o losie jaki Niemcy zgotowali swoim żydowskim bliźnim i co przyczyniło się do powstania państwa izraelskiego w warunkach, które jeszcze obecnie są dla mieszkańców tamtego regionu obciążeniem.
- Gdy pomyślimy o tym, co nasi wschodni sąsiedzi musieli znieść w czasie wojny — zrozumiemy lepiej, iż pojednanie i pokojowe stosunki sąsiedzkie z tymi krajami pozostają głównym zadaniem niemieckiej polityki zagranicznej. To znaczy, że obie strony muszą pamiętać i nawzajem się szanować. Generalny Sekretarz komunistycznej partii Związku Sowieckiego, Gorbaczow, oświadczył, że kierownictwu sowieckiemu nie chodzi o rozniecanie w 40-tą rocznicę zakończenia wojny uczuć antyniemieckich. Związek Sowiecki opowiada się za przyjaźnią między narodami. Właśnie gdy z naszej strony padają pytania również o sowiecki wkład do porozumienia Wschód-Zachód oraz o poszanowanie praw człowieka we wszystkich częściach Europy, nie chcemy tego sygnału z Moskwy nie dosłyszeć. My chcemy przyjaźni z narodami Związku Sowieckiego.

W 40 lat po zakończeniu wojny naród niemiecki pozostaje wciąż podzielony. (...) Ale my, Niemcy, stanowimy jeden naród. Czujemy się wspólnotą, bowiem wiąże nas nasza historia. Również 8 maja 1945 przeżyliśmy jako wspólny los naszego narodu, co nas też łączy. Czujemy się wspólnotą w naszej woli pokoju. Z ziemi niemieckiej obu państw winna promieniować idea pokoju i dobrosąsiedzkich stosunków ze wszystkimi krajami. Ale niech i nikt inny nie czyni z niej niebezpieczeństwa dla pokoju. Ludzie w Niemczech pragną pokoju, sprawiedliwości i praw człowieka dla wszystkich narodów, również dla niemieckiego. Nie Europa murów potrafi dokonać pojednania ponad granicami, ale kontynent, który granicom swoim odbierze charakter przegród. Do tego właśnie nawołuje nas doświadczenie drugiej wojny światowej. Ufamy, że 8 maja nie pozostanie w naszej historii ostatnią datą, wiążącą wszystkich Niemców.

Niejeden z młodych zapytywał w ostatnich miesiącach i siebie i nas dlaczego 40 lat po zakończeniu wojny doszło do tak ożywionych dyskusji nad przeszłością. Czemu są one bardziej żywe aniżeli w 25-cio- czy 30-lecie? Gdzie leży przyczyna tej nieodpowiedzialności?

Nie łatwo o odpowiedź na podobne pytania. Nie powinniśmy

jednak przyczyn tego doszukiwać się głównie we wpływach zewnętrznych. 40 lat, to okres czasu odgrywający w losach ludzi i narodów ogromną rolę. Proszę mi pozwolić odwołać się tu do Starego Testamentu, który kryje w sobie głębokie myśli dla każdego człowieka, niezależnie od jego wiary. Otóż, w Starym Testamencie 40 lat odgrywa powtarzającą się stale istotną rolę. 40 lat Izraelczycy mieli pozostać w pustyni, nim się rozpoczął nowy rozdział w ich historii wejściem do ziemi obiecanej. 40 lat było konieczne dla całkowitej zmiany odpowiedzialnego wówczas pokolenia ojców. W Księdze Sędziów zaś czytamy jak często pamiętać o doznanej pomocy i ratunku trwa jedynie 40 lat. Skoro się urywa — kończy się spokój. Tak więc 40 lat oznacza zawsze poważną cezurę, utrwalającą się w świadomości ludzkiej bądź jako zakończenie ponurego okresu i nadzieja na nową i lepszą przyszłość, bądź jako niebezpieczeństwo zapomnienia i ostrzeżenie przed jego skutkami. Nad jednym i nad drugim warto się zastanowić.

Nowe pokolenie dojrzało u nas do politycznej odpowiedzialności. Młodzi nie odpowiadają za to co wówczas się wydarzyło, ale są odpowiedzialni za wyciągnięcie odpowiednich z tego wniosków.

My, starsi, winni jesteśmy młodzieży nie ziszczenie jej marzeń, ale szczerość. Musimy dopomóc jej zrozumieć, dlaczego zachowanie czujnej pamięci jest tak ogromnie ważne. Musimy jej pomóc w przyswajaniu prawdy historycznej na trzeźwo, bezstronnie i bez ucieczki w utopijne teorie zbawcze, ale również bez moralnej zarozumiałości. Z doświadczenia naszej własnej historii wiemy do czego człowiek jest zdolny. Dlatego nie powinniśmy sobie wmawiać, że jako ludzie staliśmy się teraz inni i lepsi. Nie ma definitywnie osiągniętej doskonałości moralnej. Wiemy, że jako ludzie pozostajemy zagrożeni. Ale posiadamy siłę, by to zagrożenie stale od nowa przezwyciężać.

Hitler działał ustawicznie rozniecając przesady, wrogość i nienawiść. Prośba do młodych brzmi: Nie pozwólcie się wepchnąć we wrogość i nienawiść wobec innych ludzi — Rosjan, Amerykanów, Żydów, Turków, konserwatystów czy alternatywnych ugrupowań politycznych, Czarnych czy Białych. Uczcie się żyć razem, a nie jeden przeciw drugiemu.

Czcijmy wolność! Pracujmy dla pokoju! Przestrzegajmy prawa! Służmy zgodnie z naszym sumieniem sprawiedliwości! Patrzmy dziś, w dniu 8 maja, tak dobrze jak umiemy, prawdzie w oczy!

Richard von WEIZSACKER

(Tłumaczyła z niemieckiego Nina KOZŁOWSKA)

WPŁATY NA POMOC DLA WALCZĄCYCH W KRAJU „ZEBY POLSKA BYŁA POLSKĄ”

E.M., Paryż — na prześladowanych w Polsce	F. 200,00
Tadeusz Gołąb, Indianapolis, IN (USA) — dla rodziców ks. J. Popiełuszki w rocznicę jego męczeńskiej śmierci — \$ 50,00	F. 440,00
W drugą rocznicę śmierci inż. Walerego Starczewskiego — na pomoc rodzinom więźniów politycznych w PRL przesyła Wdowa — \$ 100,00	F. 880,00
W trzecią rocznicę śmierci śp. Jerzego Jana Piórkowskiego zm. 1. 10. 1982 w Nowym Jorku — od Żony i Córek: — \$ 60,00	F. 528,00

WPŁATY NA FUNDUSZ DRUKARSKI IM. WŁADYSŁAWA GŁOWACKIEGO

Erika i Andrzej Chileccy, Kolonia (RFN) — zamiast kwiatów na trumnę śp. Witolda Wirpszy — DM 100,00	F. 305,00
Martin Jobst, Berlin Zachodni — DM 30,00	F. 91,50
Wojciech Szczygielski, Zurych — F. szwajc. 30,00	F. 108,00



Komitet Pomocy Obroncom Praw Ludzkich i Obywatelskich w Polsce przy Wydziale na stan Illinois Kongresu Polonii Amerykańskiej (nadeszła: dyr. KPA i przewodniczący Komitetu Bonawentura Migala oraz skarbnik — Jan Jurewicz):

— na „Solidarność” w Kraju — \$ 2.000,00	F.17.600,00
— na „Solidarność” we Wrocławiu — \$ 1.000,00	F.8.800,00
— na „Solidarność” Kraków-Nowa Huta — \$ 500,00 ...	F.4.400,00
— na Fundusz dziennikarsko-drukarski w Krakowie — \$ 500,00	F.4.400,00
— na Komitet Prymasowski przy kościele św. Marcina w Warszawie — \$ 500,00	F.4.400,00



Tadeusz Mączyński, Chicago, IL (USA) na:	
— Fundusz drukarski im. Wł. Głowackiego — \$ 25,00 ..	F. 220,00
— Pomoc dla walczących w Kraju „Zeby Polska była Polską” — \$ 20,00	F. 176,00
— Fundusz „Kultury” (po raz 11-ty) — \$ 51,00	F. 448,80



- Sp. Wanda Podoska, zmarła w Los Angeles, CA w czerwcu br., wdowa po zmarłym tamże w 1970 roku artyście-grafiku, Wiktorze Podoskim, przekazała pośmiertnie sumę \$ 5.500,00 na następujące cele:
- na pomoc rodzinom uwięzionych w Polsce — \$ 1.000,00 F.8.800,00
 - na Fundusz „Kultury” — \$ 500,00 F.4.400,00
 - na ufundowanie stypendium im. Wiktora Podoskiego dla artystów z Polski według uznania zespołu „Kultury” pod przewodnictwem Jerzego Giedroycia i Józefa Czap-
skiego — \$ 4.000,00 F.35.200,00
(czek na łączną sumę \$ 5.500,00 nadesłała Irena Plesz-
czyńska z Santa Barbara, CA).

Nowości wydawnicze

W BIBLIOTECE « KULTURY »

TOM 409 — WIKTORIA KRAŚNIEWSKA

“PO WYZWOLENIU”... (1944-1956)

Wspomnienia młodej Polki, która po „wyzwoleniu” została zaaresztowana wraz z innymi Akowcami i następnie wywieziona do Związku Sowieckiego gdzie w więzieniu i łagrach przeżyła 12 lat. O cierpieniach Polaków wywiezionych do ZSSR po klęsce wrześniowej ukazały się setki książek i wspomnień, ale nie mieliśmy dotąd świadectwa tych których wywieźli „wyzwoliciele”. Wstrząsające wspomnienia Wiktorii Kraśniewskiej wypełniają tę lukę.

Str. 272.

Cena F. 95,00.

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE

91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.

Commission Paritaire N° 60789.

Dépôt légal: 4^e trimestre 1985.

Imprimé en France
N° d'imprimeur 7293.

KULTURA

REDAKTOR: JERZY GIEDROYC

Adres Redakcji: 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 Maisons-Laffitte - Telefon: (1) 39.62.19.04

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	roczna
Ceny na rok 1985			
AFRYKA POLUDNIOWA: Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str. New Muckleneuk, Pretoria 0181	F. 38,00	F. 220,00	F. 400,00
ARGENTYNA: « Libreria Polaca », Serrano 2076, 1425 Buenos Aires	F. 38,00	F. 220,00	F. 400,00
AUSTRALIA: Księgarnia Polska VISTULA, King York House, 32 York St., 6 Floor, Suite 2, Sydney, NSW 2000. Tel. 29 1248	\$ A. 6,50	\$ A. 35,00	\$ A. 67,00
AUSTRIA: Henryk Odianicki-Poczobut, 1011 Wien, Schönlaterngasse Nr 5/2, Stiege/Türe 14. Tel. 52-60-175	F. 38,00	F. 220,00	F. 400,00
BELGIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji « Kultury »	F.B. 300,00	F.B. 1500,00	F.B. 2750,00
BRAZYLIA: prosimy o przysyłanie czeków do administracji « Kultury »	\$ US 5,00	\$ US 28,00	\$ US 52,00
DANIA: O. T. Zalewski, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd ..	F. 38,00	F. 220,00	F. 400,00
FRANCJA: do nabycia w redakcji « Kultury » i w księgarniach polskich w Paryżu	F. 38,00	F. 220,00	F. 400,00
HOLANDIA: Mrs. J. Minkiewicz, Wjelingenlaan 6, 4382 B L Vlissingen. Tel. (01 184) 14073, Postgiro 1379176.	Fl h 15,00	Fl h 85,00	Fl h 155,00
IZRAEL: Księgarnia Polska, E. Neustein, 94, Allenby Rd., Tel-Aviv, P.O.B. 29443. Tel. 621311	F. 38,00	F. 220,00	F. 400,00
KANADA: Krystyna Krakowska, 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.O. J4W 1S5. Tel. (514) 465-2362; B. Krasuski, 8 High Park Blvd., Toronto, Ont. M6R 1M4; Very rev. Donald Malinowski, 23 Coralberry Ave., Winnipeg, Man. R2V 2P2. Tel. 339-5577; Z. Micherdzinski, 285-287 Ottawa St.N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8. Tel. 545-2115; J. Korwin-Lopuszanski, 90 Hilliard Avenue, Ottawa K2E 6C2; « Polish Voice Publishing » Co., 390 Roncesvalles Ave., Toronto, Ont. M6R 2M9; Polish Alliance Press, Ltd. (« Zwiakzowiec »), 1638 Bloor St. west, Toronto, Ont. M6P 4A8	\$ Can. 6,00 DM 13,00 F. 38,00	\$ Can. 35,00 DM 75,00 F. 220,00	\$ Can. 60,00 DM 140,00 F. 400,00
NIEMCY: St. Mikicluk, 8 München 45, Gablonzerstr. 7/1.	F.S. 11,00	F.S. 65,00	F.S. 115,00
NORWEGIA: Br. Lubinski, Klommenstengt 8, 1500 Moss. ...	K.S. 36,00	K.S. 200,00	K.S. 380,00
SZWAJCARIA: Maria Wasung, 6, rue des Lilas, C.P. 74. 1211 Genève 7. Tel. 44-32-51. Nr konta pocztowe. 12.14431.			
SZWECJA: Norbert Zaba, Kalskärsgatan 3/IV, 115 33 Stockholm. Tel. (08) 60-15-70. Postgirokonto Nr 48 82 34-6.			
U.S.A.: S. Dobczynski, Alma Shipping Co., 119 St. Marks Pl., New York, N.Y. 10009. Tel. 475 8886; Ada Dzialewska, 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, Wis. 53211; T. Konopacki, 27437 Detroit Rd., Cleveland, Ohio, 44145. Tel. 871-48-47; Irena Kretowicz, 4254 - 34-th St., San Diego, Cal. 92104; Krystyna Leser, 1725 - 17th St., N.W. Washington D.C. 20009; H. Kosciuch, 41963 Utica Rd., Sterling HTS, MI 48078; POLONIA Bookstore, 2886 Milwaukee Avenue, Chicago, IL 60618. Tel. (312) 489-2554; Jan Wojcik, 674, Farmington Avenue, New Britain, Conn. 06053; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347, Chene Street, Detroit, Mich. 48211; Szwede Slavic Books, 2233, El Camino Real, Palo Alto, Cal. 94302. Tel. (415) 327-5590 & 851-0748; Księgarnia « Nowego Dziennika », 21, West 38-th Street, New York, N.Y., 10018. Tel. (212) 354-0492; Polish Books & Arts, Inc., 97 East 7th St., New York, N.Y. 10009, tel. (212) 254-8457	\$ US 5,00	\$ US 28,00	\$ US 52,00
WIELKA BRYTANIA: Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London SW5. ORD. Tel. (01) 370 2210	F. 38,00	F. 220,00	F. 400,00
WŁOCHY: Witold Zahorski, 00183 Roma, via Gallia 60 Int. 27. Tel. 75-67-241	F. 38,00	F. 220,00	F. 400,00

W krajach niewymienionych prenumerata roczna — F. 400; półroczna — F. 220.
Przesyłka pojedynczego numeru — F. 5,00.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe:

INSTITUT LITTERAIRE, 91 avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,
par 78600 MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18 228-56 (z Francji)

lub C.C.P. PARIS 18-228-38 (z zagranicy).

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 408 — CZESŁAW MIŁOSZ

ZACZYNAJĄC OD MOICH ULIC

Tom 12 „Dzieł Zbiorowych” zawiera następujące eseje: *Dykcyonarz wileńskich ulic*; *Do Tomasa Venclovy*; *Noty o wygnaniu*; *List pół-prywatny o poezji*; *Dialog o poezji* (z Witoldem Gombrowiczem); Portrety: *Dwight Macdonald*, *Teodor Bujnicki*, *Józef Czechowicz*, *La Combe* (Stanisław Vincenz), *Jeffers*, *Szestow albo czystość rozpaczy*; *Swedenborg i Dostojewski*; *Dostojewski i Sartre*; *Pożegnania: Podzwonne*, *Był raz...*, *Śmierć Józefa Szadzika*, *Sukiennicki*, *Andrzejewski*.

Str. 366.

Cena F. 120,00.



TOM 410 — WOJCIECH GIEŁŻYŃSKI

BUDOWANIE NIEPODLEGŁEJ

Treść tej książki określają tytuły jej trzech głównych części: I. „Walczyć nawet bez nadziei” to opis technik konspiracyjnych w latach między Powstaniem Styczniowym a pierwszą wojną światową; II. „Myśleć jak walczyć skutecznie” — to analiza różnych nurtów myśli politycznej, ulegających zmianie pod wpływem zmiennych sytuacji; III. „Iść kiedy pora” — to opis sytuacji narodu u progu Niepodległości i postawa Polaków w obliczu śmiertelnego zagrożenia sowieckiego.

Str. 336.

Cena F. 100,00.



TOM 411 — EWA MARIA ŚLASKA

DOCHODZENIE

Polska tuż po ogłoszeniu stanu wojennego. W dużym mieście w domu, w którym mieszka kilkudziesięciu lokatorów, jeden z nich młody podoficer wojska polskiego znalazł w noc sylwestrową w zsypie na śmieci trupa młodej dziewczyny. Nikt nie wie kim jest dziewczyna, czy ktoś ją zabił, czy popełniła samobójstwo. Milicja prowadzi dochodzenie przesłuchując wszystkich lokatorów domu. Daje to w rezultacie świetny przekrój społeczeństwa polskiego kilkanaście dni po policyjno-wojskowym ataku na „Solidarność”. Ten swego rodzaju dreszczowiec czyta się jak najlepszy „kryminał”.

Str. 128.

Cena F. 50,00.